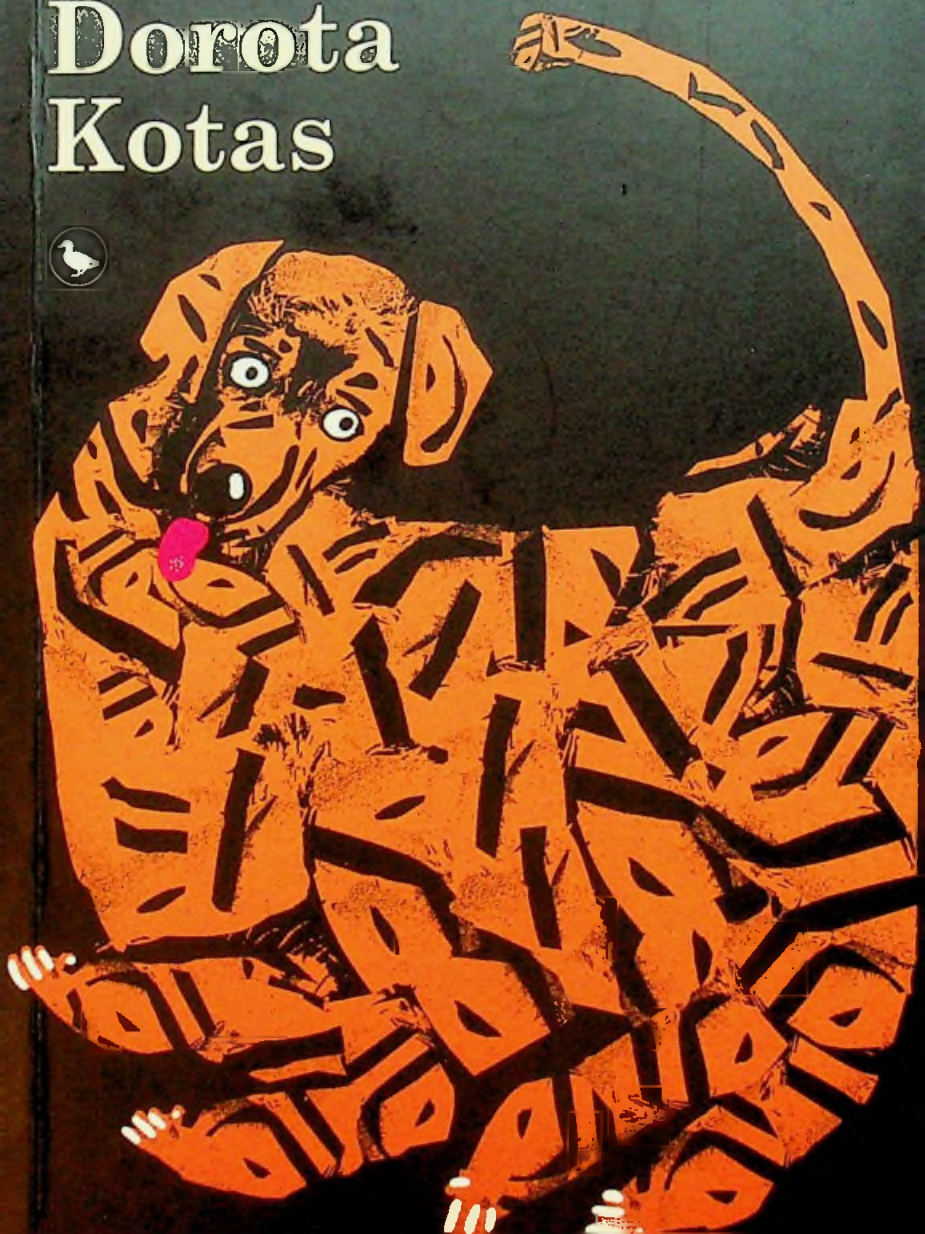
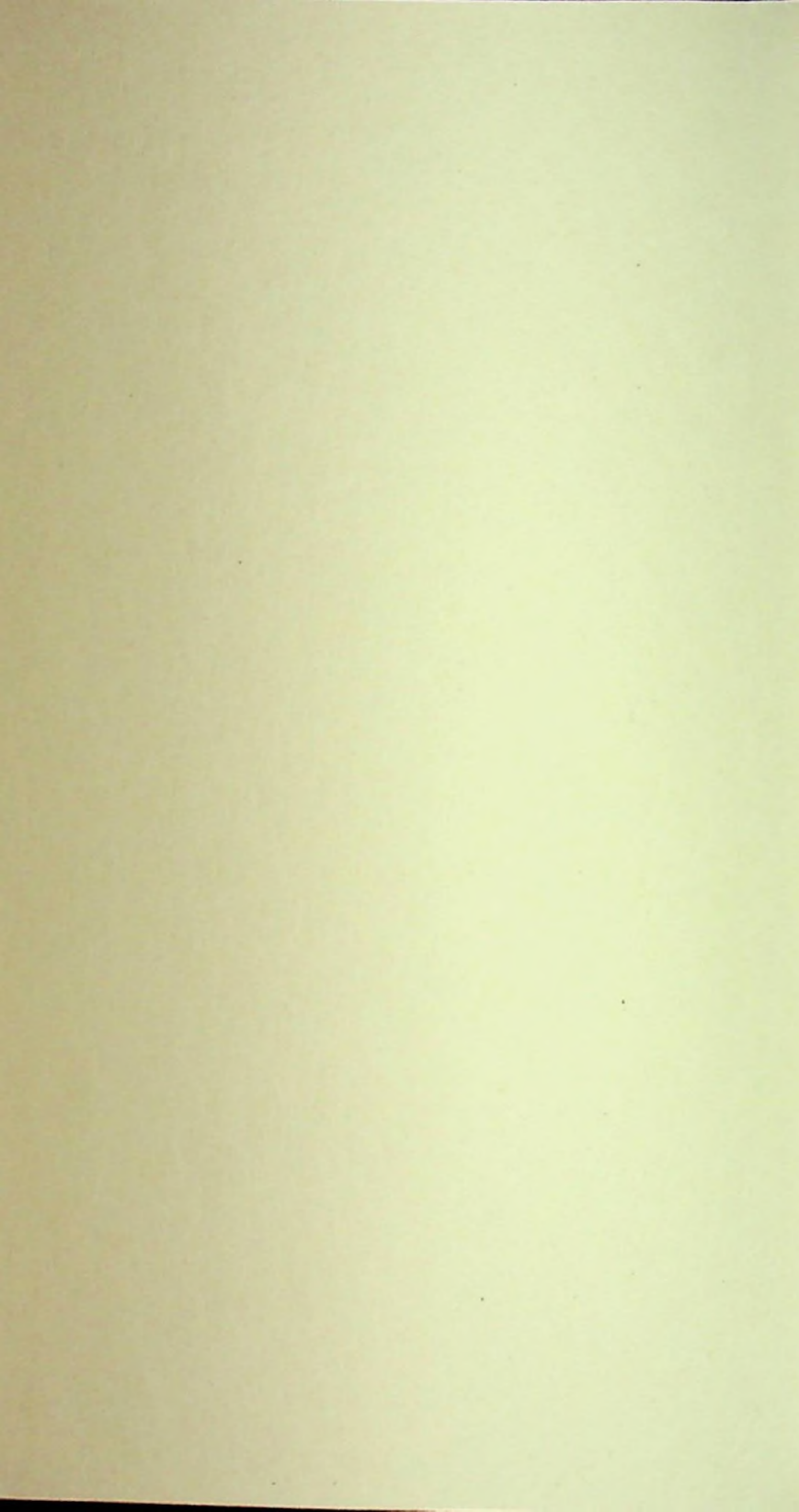


# CUKRY

Dorota  
Kotas









Dorota Kotas

Cukry

WYDAWNICTWO CYRANKA

**Copyright © Dorota Kotas, 2021**

**Wydanie 1**

**Warszawa 2021**

## wstęp

Chciałabym napisać samą prawdę. Już prawie od roku nie napisałam jednak ani słowa. Zamiast pisać, oglądam skarpetki na AliExpress, dodaję odzież do koszyka na Zalando i zamawiam z magazynu w Chinach fokę uszytą ze szmaty, czyli poliestrowej mieszanki poliuretanowej bawełny z okrywą poliestrową, ale bardzo realistyczną. Kupuję ją, ponieważ czuję się tak samotna, że potrzebuję jakichkolwiek przyjaciół. Można by pomyśleć, że to smutne, ale opis mówi, że foczka wnosi do domu ciepłą atmosferę. Innych rzeczy nie potrzebuję. Wystarcza mi, że wyobrażam sobie, jak by to było je mieć. Chodzę też do Carrefoura. To działa jak nałóg. Kiedy jestem w domu zbyt długo, zaczynam pragnąć widoku jakichkolwiek ludzi i spaceru dokądkolwiek. Dlatego chodzę między alejkami regałów, patrzę na artykuły w promocjach, a gdy wychodzę ze sklepu, niespodziewanie jest zima, więc wracam do mieszkania i znowu kładę się spać. Tak wygląda moje życie po wygraniu dużej nagrody w konkursie literackim, życie w ścisłym centrum dużego miasta. Prawie zawsze jest późna jesień, wszystko można kupić, niczego nie można znaleźć, zawsze jest zbyt dużo światła, gołębi, podziemnych przejść i spotkań z przyjezdnymi, którzy pytają, jak gdzieś trafić,

zupełnie jakby było po co tam iść. Ciągłe uczucie zmęczenia i niedowierzania.

Na dobry początek przestawiłam w mieszkaniu meble. Zainspirowały mnie do tego aplikacje w telefonie. Chciałam zamieszkać na Pinterście, więc kupiłam kolory: miedziany oranż, modne khaki, tajemnicze indygo i róż. Namalowałam na ścianach plamy i wyglądały one bardzo awangardowo. Myślałam, że może będzie to dobra metoda na nowy początek. Okazało się, że nie bardzo. Zrobiłam też wielkie przearanżowanie – zamianę funkcji każdego pomieszczenia w domu, spodziewając się, że to przewietrzy mi trochę umysł. Mały metraż nie pozostawiał jednak dużego wyboru. Żeby wydzielić strefy, musiałam je mocno skompresować. Na sypialnię, w której najczęściej piszę, zostały dwa metry kwadratowe. Śpię teraz w takiej cieśninie: w najgłębszym kącie pokoju zastawionym z jednej strony trzydrzwiową szafą, a z drugiej kredensem art déco. Szafa jest oczywiście po zmarłych sąsiadach z Grochowa. Przywiozłam ją na Mírów w kilku częściach tramwajem. Zrobiłam cztery kursy na zniżkowych biletach, wykorzystując fałszywą legitymację studencką. Duchy przyjechały za mną. Zaoszczędziliśmy razem majątek i nawet trochę się ucieszyłam, bo wyjątkowo lubię promocje. Brzmi to jak pierwsza książka, ale to tylko mały pomost.

Nie mogąc pisać, spałam przez wiele miesięcy z przerwami na spotkania autorskie, które odbywały się w internecie albo przez telefon. Odpowiadałam na pytania o to, jaka jest rola literatury w czasach zarazy oraz czy czuję się już prawdziwą pisarką i po co obciąłam włosy. Starłam się, żeby

wszyscy mnie polubili, ale nie zawsze było to możliwe. Ubierałam się starannie, wkładałam rajstopy i byłam elegancka, nawet gdy nikt mnie nie widział. Przeczytałam porady, jak wyglądem okazać ludziom szacunek. Mówiłam też dużo na temat tego, jak odnieść sukces i napisać książkę, którą każdy z przyjemnością wyda, i gdzie zamieszkać, żeby to się udało. Przed pierwszym spotkaniem autorskim sprawdziłam w wyszukiwarce Google, co pisze się w dedykacjach, i nauczyłam się kilku szablonów od innych znanych pisarzy. Później znalazłam własną metodę, zaczęłam pytać osoby, które do mnie podchodziły, co chciałyby, żebym napisała im w książce. Rysowałam na stronie tytułowej Kotasa i była to nawet przyjemna zabawa, z czasem osiągnęłam dużą wprawę w wykonywaniu naprędce podobizn kotków. Niektóre osoby mówiły, że opisałam dokładnie to, co czują. Trochę mnie to wystraszyło, ale też spodobało mi się, że możemy coś w końcu czuć razem. Każde takie spotkanie odsypiałam przez tydzień za szafą, pod baldachimem z brudnych firanek. Tak działają na mnie sytuacje, w których jest dużo emocji. Nieważne, czy są dobre, czy złe. Liczy się intensywność. Po emocjach wracam do mieszkania i leżę jakiś czas na podłodze w przedpokoju, bo jestem zbyt zmęczona, żeby iść do pokoju. Jeśli przez okno wpadają dźwięki i światło, jest jeszcze gorzej, wywołuje to we mnie taki niepokój, że mam ochotę ułożyć się do snu w szafce pod zlewem albo w szczelinie za pralką. Byle było bezpiecznie. A jednak Kocham spotkania autorskie. To wielka przyjemność mówić do ludzi, którzy najczęściej coś już o mnie wiedzą, więc nie trzeba tłumaczyć wszystkiego od początku i można od razu

czytać fragmenty o tym, że wszystkiego się boję, a czasami trafia się nawet ktoś, kto ma tak samo albo podobnie. Miłe zaskoczenie!

Pierwszej nocy w nowym miejscu śni mi się, że piszę książkę pod tytułem 08400. Niestety jestem zdyskwalifikowana we wszystkich konkursach literackich z powodu słabego tytułu. Nikt nawet nie sprawdza treści, bo kogo interesuje książka w okładce, na której jest tyle cyfr? Kody pocztowe to imiona zbyt niepopularne, by z sukcesem nadawać je rzeczom, czytam w uzasadnieniu. Nie mogę dostać żadnej nagrody, a po chwili śnię drugi sezon. Pierwszy odcinek jest o tym, że mieszkam na dworcu PKS w Garwolinie, jestem bezdomną narkomanką i śpię pod mozaiką przedstawiającą wielkie słońce, zaraz przy wejściu do toalety – moje życie wygląda dokładnie tak, jak wyobrażałam je sobie w dzieciństwie.

Ten sen mógłby być niezłą powieścią. Łatwo można by umieścić ją na Netflixie, więc warto byłoby ją drukować. Niestety wiem, że moja druga książka nikomu się nie spodoba, a wiem to, ponieważ tak mówią wszystkie koleżanki pisarki: uważaj, druga książka nikomu się nie spodoba! To nie ułatwia pisania. Najstraszniejsze jest jednak to, że teraz w ogóle go nie potrzebuję. Pierwszy raz w życiu wystarczy mi sama myśl o tym, że mogłabym pisać i że kiedyś to zrobię, ale jeszcze nie dziś. Żałuję, że depresja nie jest gatunkiem literackim. Gdyby była, napisałabym depresję i mogłabym zatytułować moją książkę F33, co oznacza zaburzenia depresyjne nawracające, ale nie trzeba byłoby tego wyjaśniać, bo taki kod to ostatnio popularne imię.

Dobrze wiem, jak się do tego zabrać, więc zostawiam komputer włączony na cały dzień. Laptop huczy na stole, który jest tak krzywy, że z jednej strony musi opierać się o ścianę. W plikach na pulpicie nadal mam teksty, które pisałam do gazety szkolnej „Trajektoria”, i często je czytam, zazdroszcząc sobie tego, jak dużo i dobrze umiałam pisać w szkole i jaką miałam wtedy wyobraźnię, a teraz zero, nic. Kiedyś lubiłam siebie bardziej niż teraz. Gdybym miała wybór, wolałabym być starą sobą, tyle że teraz. Teraz jednak chodzę po mieszkaniu jako nowa ja, robię sobie mnóstwo kaw i staram się napisać cokolwiek, a moje tempo jest równe jednemu zdaniu na godzinę. Po każdej kropce muszę zakropić oczy, a każdy akapit to nowa herbata i kilka spacerów. Czuję się strasznie wyschnięta, tak że piję po trzy kubki jeden po drugim. Stąd bierze się moja pewność, że jeśli wena istnieje, to tylko w płynie. Kiedy piszę to zdanie, dostaję w telefonie alert, że w Warszawie prószy śnieg. Przez okno wygląda jak puder na murzynku. Patrzę na to i myślę: oczywiście, znowu zima! To dowodzi, że wszystko, co piszę, jest prawdą. Nie wiem, która to już z kolei zima w tym roku, ale wychodzę na dwór sprawdzić i policzyć śnieg. Okazuje się, że to jedyna rzecz, jaka nie jest dla mnie nadmiarem. Wszystkiego poza śniegiem jest po prostu za dużo. Śnieg to trochę nic. Roztopia się w minutę i jest w nim wielka obietnica tymczasowości. Śnieg to tylko moment, więc chyba dam radę jakoś go przetrwać.

Pisanie jest teraz takie trudne, ponieważ nie zawsze mam siłę. Zdarza się, że nie wstaję z łóżka przez cały dzień. Często nawet nie zauważam dnia. Czasami wchodzę w stan

wielkiej mobilizacji, ale zaraz umieram ze zmęczenia i nie ma w tym żadnej przygody. Pewnie byłoby miło, gdyby książka była wesoła, pełna wartkiej akcji oraz kontaktu z czytelnikiem. Przed pisaniem tego tekstu przeczytałam na swój temat wszystkie złe opinie w internecie. Postanowiłam, że wyciągnę wnioski i ulepszę warsztat. Później się rozmyśliłam. Zdecydowałam, że to nie jest ważne, nie wszystko jest w każdej chwili możliwe, na razie musi mi wystarczyć to, co mam: wielki zapas łez na każdą okazję, za słone zdania autotematyczne i zbyt długie wieczory. Inna możliwość kodu, która mogłaby być moim tematem, to F84.5: *autism spectrum disorder*. Tak, jestem osobą z diagnozą: zaburzenia ze spektrum autyzmu – zespół Aspergera. Wierzę, że pisanie o jednostkowym doświadczeniu to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić. To jest właśnie prawda i moja perspektywa. Autyzm wysokofunkcjonujący mieści się w spektrum. Jak wynika z samej nazwy, zaburzenia ze spektrum autyzmu to bardzo zróżnicowany zbiór przypadków. Termin może dotyczyć zarówno osób z całościowymi zaburzeniami rozwoju i zaburzeniami współistniejącymi, jak i osób niezwykle inteligentnych, zupełnie samodzielnych, chociaż postrzeganych jako dość ekscentryczne. Najlepiej poczytać o tym w literaturze fachowej. Ja mam do zaoferowania tylko siebie. Z kilkoma kontekstami, ale jednak z innego miejsca, z pozycji aspi.

Teraz podam skrócony biogram: urodziłam się w małym mieście wbrew własnej woli. Podobno wydarzyło się to dwudziestego piątego dnia miesiąca w piątek o piątej. Mój ojciec jest po zawodowce hydraulicznej, a matka zakończyła

edukację na technikum ekonomicznym. Urodziłam się jako pierwsza z trójki ich dzieci, nie licząc przyrodniego rodzeństwa, które pojawiło się w wyniku romansu mojego ojca z jego księżową. W naszym domu nigdy nie było zbyt dużo pieniędzy. Nauczyłam się czytać i pisać, kiedy skończyłam trzy lata. Chodziłam do publicznej szkoły podstawowej. W mojej klasie był chłopiec z ADHD, który przeniósł się z Warszawy, ściągając na siebie mnóstwo uwagi. Miałam kłopoty z nauką i z utrzymywaniem relacji. Byłam zagrożona z przedmiotów ścisłych, ale miałam pewną taryfę ulgową, ponieważ pisałam najlepiej w szkole. Maturę rozszerzoną z polskiego zdałam na sto punktów. Było to dla mnie łatwe, bo rozumiałam ten system i wiedziałam, jak pisać, żeby zdobywać punkty. Zaczęłam studia na polonistyce, bo to też był łatwy wybór. W trakcie zaczęłam jeszcze wiele innych kierunków. Miałam mnóstwo dorywczych prac i ciągle szukałam nowych. Często je zmieniałam, bo nigdzie nie umiałam się poczuć na miejscu. Zmieniałam też osoby i domy. Było w tym wiele nieporozumień. Nie zawsze wiedziałam, co robię i dlaczego. Podjęłam wiele nieudanych prób chodzenia na terapię. Miałam kilka momentów, kiedy myśl o śmierci była dla mnie najbardziej pocieszająca ze wszystkich planów na przyszłość. W końcu w Centrum Aktywizacji Zawodowej i Społecznej dla Dorosłych Osób z Autyzmem w Gdyni dostałam opinię potwierdzającą spektrum autyzmu.

Nie jestem chora na autyzm, bo to nie choroba. Jestem osobą nieneurotypową. To oznacza, że mój mózg działa trochę inaczej. Może się to wydawać pod wieloma względami

nieznośne. Często czuję się zagubiona. Słabo rozumiem ludzi. Rozmowy z nimi traktuję jak wielki rebus z teleturnieju *Idź na całość*. Czasami udaje mi się wygrać, ale najczęściej nie. Zachowuję się dziwnie, chociaż wkładam dużo wysiłku w to, żeby robić wszystko, jak należy. Mam wrażenie, że ciągle muszę strasznie się starać, żeby dobrze wypaść i żeby nikt się nie zorientował, że coś jest nie tak. Włożyłam już dużo pracy w nauczenie się, jak należy postępować i co mówić (głównie czytając książki i oglądając telewizję), a to i tak nie do końca działa. We wszystkich opracowaniach na temat autyzmu, które widziałam do tej pory, znajduję bardzo dużo elementów mi bliskich. Czytam o poszczególnych osobach i ciągle myślę: no tak, to logiczne!, ponieważ czuję ogromne podobieństwo. To sprawiło, że postanowiłam w końcu sprawdzić, co jest ze mną nie tak.

Zapisałam się na proces diagnostyczny pomiędzy Nagrodą Literacką Gdynia a Nagrodą im. Josepha Conrada. To jest odpowiedź dla osób, które lubią pytać, ile jest autorki w narratorce (lub na odwrót). Teraz podaję właściwą odpowiedź: jest po równo. Dokładnie tyle, ile dałam radę spisać. Teraz chcę napisać o diagnostyce. To dla mnie świeży temat, bo było to bardzo niedawno, więc wciąż jeszcze oswajam się z nową wiedzą o sobie. Jestem dorosłą kobietą. Dostałam opinię, kiedy skończyłam dwadzieścia sześć lat. Takie osoby rzadko się diagnozuje. Brakuje też do tego narzędzi, metodologia w dużej mierze jest dostosowana do badania dzieci, u których autyzm jest bardzo wyraźny, łatwiejszy do wychwycenia w testach. Jest też wiele stereotypów. Niektórym osobom nadal wydaje się, że autyzm to patrzący w okno

chłopiec z niebieskim balonikiem. Dziewczyny są w tym systemie niewidoczne. Jeśli mogą, to znajdują własne strategie, które pomagają im się przystosować. Lepiej naśladują pożądane zachowania, a może też są wychowywane inaczej, z innymi oczekiwaniami ze strony dorosłych. Wydaje mi się, że jest to konsekwencją męskocentryzmu świata, w którym to chłopiec ma być wzorowo odważny, waleczny i pewny siebie, a dziewczynka może być żadna. To świat, w którym dziewczynka może być wypełnieniem ładnej sukienki albo przyjemnym rekwizytem na zdjęciu rodzinnym. Jest głównie swoim wyglądem, niewymagającym widzenia od wewnątrz. Wystarczy, że jest czysta i cicha. Problemem jest też brak wiedzy. A tak naprawdę jest mnóstwo problemów.

Są osoby, które mnie znają i myślą, że przecież można się ze mną jakoś dogadać, więc diagnoza jest nieprawdziwa, bo nie widać po mnie autyzmu. Chętnie też mówią: kiedyś nie było autyzmu i jakoś żyliśmy! Wierzą, że to modna przypadłość, którą można sobie wymyślić. To liczna grupa, dla której psychiatria jest fanaberią – jeśli w ogóle istnieje autyzm, to podaje się go w szczepionce, która oczywiście zawiera także komórki nowotworowe abortowanych płodów. Przedstawiciele tej grupy chętnie kwestionują też depresję – a ona często jest połączona ze spektrum – bo uważają, że jest wymysłem, na który najlepiej działają czekolada i sport. Życzę jej reprezentantom wiele zdrowia i cieszę się ich szczęściem. Najczęściej spotykam się z lekkim pobłażaniem. Kiedy wspominam, że chciałabym zrobić autystyczny *coming out* i napisać coś o spektrum, osoby, którym to mówię, zazwyczaj patrzą na mnie wzrokiem mówiącym: daj

spokój, Dorota, masz autyzm dopiero od miesiąca. To sprawia, że często sama podaję wszystko w wątpliwość. Diagnoza była dla mnie wielką ulgą, ale kiedy postanowiłam powiedzieć o niej kilku najbliższym osobom, usłyszałam, że wymyślam i że mam autyzm, bo tego chciałam, bo wiedziałam, co zaznaczyć w testach, więc świadczy to wyłącznie o tym, że byłam dobrze przygotowana. A jednak autyzm istnieje. Ja go nie wymyśliłam. Wszystko wskazuje na to, że jest też moim doświadczeniem. Nie chcę być wyjątkowa. Stwarza to zbyt wiele problemów. Ale cieszę się, że jest na to nazwa i że nie jestem w tym sama oraz że ciągle mogę szukać sposobów na to, żeby było łatwiej. Chcę o nich opowiedzieć. O tym, jak można to przetrwać i czasami nawet dobrze się bawić. Chciałabym, żeby ta książka mówiła: hej, ja też! Niech mówi tak do wszystkich, którzy czują się tak, jakby spadli z księżyca. Wierzę, że to coś znaczy.

Mam w sobie obawę, że po tylu stronach pisania głównie o sobie znowu ściągnę na siebie złą ocenę miliona blogerów, którzy uznają, że jestem zbyt egocentryczna, żeby w ogóle mnie czytać, że to strata czasu i słów. Jest też lekkie ryzyko, że zostanę ukarana niską liczbą złotych gwiazdek za narzekanie, do tego minus dwie gwiazdy za nieprzyjazną postawę. Proszę, nie piszcie tego w internecie. Może tego po mnie nie widać, ale bardzo się tym przejmuję! Mam nadzieję, że tym razem nikt nie umieści na bookstagramie notatki, że to nie jest prawdziwa literatura, a ja nie mam duszy i że taką książkę mógł napisać tylko ktoś chory psychicznie. W pewnym sensie byłaby to prawda. Moja dusza jest chora psychicznie. Źle to brzmi, ale się leczę. Stygmatyzacja

pacjentów psychiatrycznych to niemiłe zajęcie. Myślę, że można lepiej spędzać czas wolny. Jednostkowa perspektywa – dla mnie właśnie na tym polega sens pisania. Czytam tekst, dzięki któremu poznaję czyjąś perspektywę, przez co mój ogląd świata staje się pełniejszy. Im więcej w tym szczegółów osobistych, tym lepiej dla mnie.

Gdybym była mężczyzną, mogłabym ciągle pisać o sobie i nikt nie miałby mi tego za złe. Nawet gdyby to było sześć tomów o moim życiu, z całym rozdziałem o robieniu kupy w lesie. Wszyscy byłiby pod wrażeniem z powodu mojej szczerości. Mogłabym też pisać o tym, jak jeżdżę po Polsce samochodem z ekologicznym termosem na kawę, i to byłoby w porządku. Nie byłoby dylematu, czy mnie wydać, czy czytać i czy to się komuś opłaci. Ale jestem dziewczyną, a to podnosi oczekiwania. Więcej rzeczy jest dla mnie objętych zakazem, a jednocześnie muszę się bardziej starać, bo inaczej moja twórczość zostanie naznaczona jako literatura kobieca, czyli do niczego, bo literatura kobieca nie jest dla ludzi ani o nich. Czy to ma sens?

Jest we mnie coś, co brzmi jak słowo „jad”, ale chętniej myślę o tym, że tak właśnie wygląda myślenie. Bardzo często jestem nieumyślnie niemiła. Mówię coś nie tak, jak trzeba. Nie do końca umiem się posługiwać ironią, nie zawsze dobrze odczytuję intencje. Podam przykład: niedawno osoba, z którą jestem w związku, zwróciła mi uwagę, jak niegościnnie się zachowałam, gdy przyszli do nas goście – ktoś powiedział: napiłbym się herbaty, a ja nawet nie drgnęłam. Nie przyszło mi do głowy, że to jest komunikat skierowany do mnie i że była to prośba, bym zrobiła herbatę.

Nie usłyszałam w tym pytania ani polecenia, było zbyt dużo innych bodźców, nie skupiłam się na treści. Podobne sytuacje zdarzają się często. Wczoraj zadzwonił mój telefon. Zamierzałam go zignorować, ale moja dziewczyna powiedziała: odbierz. Zrobiłam to bez namysłu. Odebrałam telefon i zaczęłam tłumaczyć, że nie mogę teraz rozmawiać, bo oglądamy ostatni odcinek serialu *The Act* i muszę się dowiedzieć, czy sprawca morderstwa dostanie wyrok śmierci, a więc mogę oddzwonić za godzinę. P. powiedziała, że to było niegrzeczne i że nie musiałam opowiadać serialu. Nie widziałam w tych słowach nic złego, bo wszystko, co powiedziałam, było zgodne z rzeczywistością. Nie chciałam być niemila, ale i tak przeżywałam to przez cały wieczór, jakbym zrobiła coś najgorszego na świecie, bo było mi wstyd, że znowu nieświadomie zachowałam się niewłaściwie i przekroczyłam normę. Może to dobry czas, żeby powiedzieć: mój mózg działa trochę inaczej. Zazwyczaj rozumiem wszystko tak, jak ktoś to mówi, i tylko tyle, ile ktoś mi powie. Nie znam się na sugestiach. Znam je teoretycznie, wiele się o nich nauczyłam, ale przyporządkowanie właściwego znaczenia z wielu dostępnych możliwości dużo mnie kosztuje.

Rzeczywistość jest męcząca i stanowi wyzwanie. W pierwszej kolejności dostrzegam z niej szczegóły. Wszystko poza nimi się rozmywa. Kiedyś napisałam wypracowanie na temat początku roku szkolnego – całe o tym, co odbijało się pierwszego września w szybie auta, obok którego stałam na apelu. To jest dobry przykład tego, że moja pamięć przechowuje głównie rzeczy dziwaczne. Składają się na

nią wrażenia: zbyt głośne dźwięki, drażniące jasne słońce i kształty refleksów światła albo jaką długość miał mój cień na spacerze po osiedlu Korczaka w środku lipca. Czasami z całego spotkania towarzyskiego mogę zapamiętać tylko cierpki smak naparu z hibiskusa i nasiąknięte fusy w szklance, a z tego, co było w szkole, to, że nauczyciel chodził na katedrze w porządku: dwa kroki do przodu i dwa do tyłu, poruszając przy tym dziwnie głową, i za nic nie mogę sobie przypomnieć, co wtedy mówił, ale doskonale pamiętam falowanie jego włosów w rytmie chodzenia w miejscu. Często zdarza się, że nie wiem, co ktoś powiedział, jeśli jednocześnie się poruszał, bo to już dla mnie zbyt dużo, nie mieści mi się to w głowie i mam ochotę się rozplakać. Ale jest też we mnie ogrom rzeczy dziwnych, które są moimi składnikami. Wymienię kilka. Niech będą ilustracją tego, kim jestem. To, co teraz napiszę, może pozwolić na podjęcie decyzji, czy chce się być mną. Niech będzie to decyzja odpowiedzialna. W przypadku nagłego wstrętu, lepiej przerwać czytanie i nigdy do niego nie wracać. Będzie to możliwie dokładna prezentacja podmiotu lirycznego tej książki.

Najchętniej zjadam rzeczy, które chrupią, są niezdrowe i słodkie. Zazwyczaj ciągle to samo. Inne jedzenie trochę mnie brzydzi, ale umiem się zmusić. Nie toleruję włosów. Co tydzień obcinam je maszynką, bo dłuższe niż osiem milimetrów swędzą mnie w głowę. Drapię się do krwi od niektórych ubrań i duszę się w ubraniach z dekoltem znajdującym się zbyt blisko szyi. Najchętniej nie nosiłabym butów ani ubrań. Zazwyczaj jest mi bardzo zimno lub bardzo gorąco, bez niczego pomiędzy. Nie czuję dobrze temperatury,

kiedy dotykam czegoś bardzo gorącego rękami. Często czuję dopiero oparzenia. Dotyk mnie łaskocze albo sprawia ból, kiedy jest nie taki, jak lubię. Ale lubię przytulanie i potrzebuję go mnóstwo. Zazwyczaj nie słyszę muzyki. Jeśli jest włączona, mogę jej nie zauważyć, dopóki ktoś czegoś o niej nie powie i wtedy nagle zaczynam ją słyszeć. Nie okazuję specjalnie emocji lub bardzo krótkotrwale. Często wyobrażam sobie dla dobrego efektu, że jestem postacią z serialu i staram się znaleźć dla niej odpowiedni wyraz twarzy. Ale czasami zaczynam nagle płakać albo krzyczeć, to się dzieje tylko wtedy, kiedy jestem w domu, głównie nocą, bo nie zawsze umiem poradzić sobie z nagromadzonym napięciem. W moim ciele pojawia się impuls ruchu. Czasami mam ataki paniki, a wtedy trzęsę się i kopię, nie mogę oddychać, wydaje mi się, że umieram. Pomaga mi wtedy kołdra obciążeniowa albo kiedy ktoś się na mnie położy i mocno przycisnie całym ciężarem ciała. Śpię na kolczastej macie do akupresury. W pracy robię sobie przekąski ruchowe. Polegają one na tym, że wiszę kilka minut na drążku w drzwiach do kuchni, stoję na głowie albo podskakuję. Mam ulubione sztuczce. Denerwuję się, kiedy muszę zjeść innymi. Nigdy nie umiałam się bawić. Spędziłam całe przedszkole, siedząc w tym samym miejscu i nie robiąc niczego poza czekaniem na wyjście do domu. Teraz pamiętam, że czasami rysowałam. Były to zawsze smoki i wilki na urwiskach wyjące do księżyca. Bardzo trudne jest dla mnie patrzenie w oczy, ale wiem, że to ważne, dlatego trochę się tego nauczyłam. Nie potrafię zmusić się do zajmowania się rzeczami, które mnie nie interesują. Trudno mi

pracować w jednym miejscu dłużej niż miesiąc – rezygnuję albo jestem wyrzucana z różnych powodów, które nie są do końca jasne. Lubię, kiedy pomieszczenia są monochromatyczne, wszystko jest w jednym kolorze, wtedy łatwiej mi się myśli. W łazience mam przemalowane na zielono gniazdka z prądem oraz kabel od pralki. Lubię zapisywać. Robię listy rzeczy i to mi bardzo pomaga w organizacji. Zapisuję wszystko, bo inaczej o niczym nie pamiętam. Każda rzecz w moim mieszkaniu ma bardzo dokładnie wybrane miejsce. Lubię układać przedmioty w dobrych miejscach, ale nie lubię sprzątać. Trudno jest mi mieszkać z innymi ludźmi. Wywołuję awantury, ponieważ podczas kłótni nigdy nie rezygnuję ze swojego zdania i nie do końca wierzę w to, że ktoś może mieć inne zdanie niż ja. Zapamiętuję ceny. Pamiętam, ile kosztowały rzeczy, które kupowałam w sklepie, kiedy byłam dzieckiem, albo ile kosztowały spodnie, które teraz mam na sobie. Mogę zasnąć tylko w jednej pozycji z dokładnym ułożeniem łokci pod tym samym kątem. Wpadam w małą histerię, kiedy dzieje się coś nowego – wyjazd na wakacje albo każda mała zmiana, kiedy muszę pożyczyć czyjś rower i siodełko jest zbyt nisko albo dostaję źle posmarowany chleb. Czasami nic nie słyszę, kiedy ktoś mówi do mnie bez uprzedzenia. Słyszę dźwięk mówienia, ale muszę się specjalnie skoncentrować, żeby słyszeć słowa, które ta osoba mówi, a nie tylko dźwięk słów. Nie zapamiętuję i nie rozpoznaję twarzy, za to dokładnie pamiętam kolory ubrań, które ktoś miał na sobie, kiedy się poznaliśmy, i pamiętam zapach osób, które przytuliły mnie więcej niż pięć razy w życiu, chociaż czasami nie pamiętam

ich imion i wszystkie męskie imiona brzmią dla mnie dokładnie tak samo, jak jedno wielkie męskie imię. Każdy ma trochę inaczej. Na tym polega neuroróżnorodność. Temple Grandin – wysokofunkcjonująca osoba w spektrum i doktorka zootechniki – przekonuje, że świat potrzebuje wszystkich mózgów. To oczywiście racja, zgadzam się z nią. Niestety świat nie zawsze daje po sobie poznać, że potrzebuje mózgów takich jak mój.

Podoba mi się, że o tym piszę. Znowu chce mi się tym zajmować. To bardzo ekscytujące, że w końcu mogę. Kiedy zasypiam, myślę o wszystkich rzeczach, które mam jeszcze do napisania. Przerywam teraz niechętnie. To dopiero początek.

## dziecko

Nie mam zbyt wielu wspomnień. Najwięcej zapamiętuję z tych, które przychodzą we śnie. To bardzo odświeżające, bo nie muszę wszystkiego dokładnie zapamiętywać ani składować w głowie zbyt wielu danych. Sny są niezawodne. To moja ulubiona metoda poruszania się w czasie. Wszystko jest w nich dokładnie takie, jakie powinno być. Z całego dzieciństwa lepiej pamiętam dopiero rok 2000: sylwester w nowym domu; w różowej sukience ze sztruksu kroję tort, a masa w nim jest tylko masłem i cukrem, ponieważ mój ojciec uparł się, że to najlepszy przepis. Później prawie zero wspomnień – tylko kilka nieważnych sytuacji, co do których nie mam pewności, czy wydarzyły się naprawdę ani czy zapamiętałam je takie, jakie były. Być może jest to tylko zwiłokrotniony w głowie zapis scen życia rodzinnego z albumu. Cykl wspomnień utrwalonych dzięki kliszy fotograficznej i kartkowany tyle razy, aż śliski papier z fiszkami przesączył się na dobre do głowy. To bardzo mało, ale mimo tych braków chciałabym napisać o moim dzieciństwie i o tym, dlaczego trochę nienawidzę mojej rodziny. Uważam, że sny są świetną podstawą do rekonstrukcji historycznej. Materiałem źródłowym nie musi być pamięć ani wiedza. Wiem o tym z doświadczenia, dlatego mogę pisać. W moim

ciele jest nadal dużo pamięci, której nie ma głowa. Pamięć wyzwalają też we mnie domy. Moje życie dzielę na okresy zamieszkiwania. Każda zmiana mieszkania sprawia, że umownie staję się nową osobą. Wyobrażam sobie, że przeprowadzki to coś tak wielkiego, że nie mogą pozostać bez śladu i że w nowym domu nie da się być wciąż tą samą osobą co w poprzednim, to niemożliwe. Domy zmieniają wszystko i najczęściej staję się w nich taka, jak one. To naturalne przeobrażenie, dostosowanie się do otoczenia. To jest jak niewidzialne – ale odczuwalne – rozlanie się ciała, którego ciepło wypełnia miejsce pomiędzy parkietem a sufitem i pomiędzy ściankami umeblowanych pomieszczeń. Z powodu tego wyobrażenia staram się wybierać domy odpowiedzialnie, bo wiem, że mocno na siebie oddziałujemy i że taka już jest nasza natura. Czy to jest dziwne? Tak, ale nic na to nie poradzę. Po prostu tak czuję przestrzeń.

Kiedy próbuję sobie przypomnieć okres, kiedy byłam dzieckiem, zazwyczaj wygląda to tak: wchodzę w myślach do bloku z ósemką. Na schodach klatki jest szare lastryko, które wygląda jak grób wszystkich dawnych mieszkańców – jest to być może najlepszy rodzaj posadzki do aranżacji przestrzeni wspólnych, *memento mori* dizajnu. Na klatce mijam małą dziewczynkę i jej opiekunkę, które idą w drugą stronę. Wychodzą na dwór, a opiekunka tłumaczy dziecku, że nic nie mówię, ponieważ nie mam języczka. Na wszelki wypadek sprawdzam, ale jest. Gdyby go brakowało, to też nie byłoby dużej straty. Nigdy nie byłam specjalnie rozmowna, a na pewno nie w tamtym czasie. Odpowiedź jednym ulubionym słowem na każde możliwe pytanie to moja

najczęstsza reakcja, gdy koniecznie trzeba coś powiedzieć. Wiem, że i tak nie dałabym rady przenieść całego swojego doświadczenia w mówienie. Nie chce mi się nawet próbować, bo to już wtedy była mało pojemna metoda. Gdybym miała wybrać jedną rzecz, której nigdy się nie nauczę, to mówienie byłoby moim pierwszym wyborem. Najbardziej lubię dotykać.

Otwieram drzwi. Mieszkanie przechowujące całe dzieciństwo mieści się na parterze bloku, po lewej stronie klatki. Od wewnętrznej strony drzwi są miękkie i chłodne. Mają czekoladową skórkę ze skaju. W korytarzu jest pomarańczowy telefon stacjonarny z kablem sprężynką, stoi na stoliku z białą serwetką. Obok książka telefoniczna, pomarańczowo-niebieska okładka z literką t, a nad telefonem lustro. To praktyczne rozmieszczenie przedmiotów w przestrzeni. Rozmawiając z kimś przez telefon, można spojrzeć na swoje odbicie i przypomnieć sobie o tym, że nadal się jest, to bardzo przydatne podczas wymiany zdań. W lustrze odbijają się też połyskliwa boazeria i szafa wnękowa. Jest w niej mój ulubiony czerwony płaszcz z wełny z guzikami na wkładane do pętelek drewnianka. Niestety za duży o pięćdziesiąt rozmiarów, bo należy do kogoś innego. W drzwiach do kuchni drewniana huśtawka dla dzieci, na białych linkach, trochę szorstka w dotyku. Żeby usiąść, trzeba podnieść drewnianą poręcz do góry, ale żeby to było możliwe, trzeba być strasznie dużym.

W kuchni jest radio. Obok niego wiele kaset z kolędami, których taśmy przewija się długopisem. Stoją przy nich szklane zielone butelki zwrotne z rysunkiem pomarańczy.

Wzdłuż krawędzi starych szafek z wytartym wzorem w plamki prowadzi w głąb srebrna, połyskliwa linia na wykończeniu ich frontów. Można też dostrzec szklanę z mieniącą się naklejką w kształcie serca i biały kubek z rodziną misiów w aucie. Na wprost wejścia jest kaloryfer, którego gałka ma symbole w kolorach czerwonym i niebieskim. Oczywiście kiedy ustawi się niebieski na maksymalną wartość, to w kuchni pada śnieg, a gdy pokręci się do maksymalnej czerwieni, robi się upał i trzeba włożyć strój do pływania albo przynajmniej rozebrać się do samych majtek. Pod oknem stół oraz taborety. Można tam siedzieć i gnieść na stolnicy ciasto na pierogi albo robić z tatą deser dla pszczół: słodką kulę z cukru pudru i wody. W szafce kuchennej przy oknie jest też baranek boży z czerwoną chorągwią. Mieszka cały rok między solniczką a kieliszkiem na jajka. Czasami wspinam się do niego i oblizuję mu ciało, to mój ulubiony rytuał religijny. Można go jeść tylko w ciągu dnia, bo babcia Wanda mówi, że po zmroku to jest już grzech. Cała kuchnia ma dla mnie smak cukru. To najlepszy smak. Nie pamiętam, żeby w dzieciństwie jadła coś innego niż cukier. Przypomina mi się jeszcze chleb z cukrem, na pewno mam z nim jedno zdjęcie, czy to możliwe, że był zmoczony wodą? Oraz do picia przygotowana woda z czajnika, przelewana do wystudzenia do słoika, który stał na okiennym parapecie i od osadu miał żółte dno – wyglądało jak kamień. Niedawno dowiedziałam się, że to charakterystyczna metoda postępowania z wodą w Garwolinie. W tym mieście prawie każdy człowiek odlewa sobie na zapas zimną wodę z czajnika. Dzięki temu

można szybko przygotować herbatę po garwolińsku – lip-  
tona dla gości albo minutkę na co dzień z torebki zalanej  
pół na pół wrzątkiem i zimną wodą ze słoika stojącego na  
parapecie okna w kuchni. Zimną wodą z czajnika można  
też poić dzieci, bo jeśli przypadkiem dzieci napiją się wody  
z kranu, to umrą od nadmiaru minerałów, taką wiedzę  
przyswoiłam w domu. Wodę słodzę przynajmniej dwiema  
łyżkami cukru. Jej zwykły smak jest dla mnie nie do znie-  
sienia. Do tej pory nie lubię wody. Co innego wrzątek! Bar-  
dzo chętnie piję smak ciepła.

Mamy trzy pokoje, jeden nazywa się salon i jest po prawej  
stronie od wejścia. Rośnie tam fototapeta z leśną pola-  
ną, pod nią stoi brązowy narożnik, a poduszki są uszyte  
z materiału o strukturze wafelka. Wygląda to wszystko  
trochę jak dom Baby-Jagi. Pod oknem jest duży stół, a obok  
wyjście na balkon, przy ścianie naprzeciwko dwa fotele  
i ława. Pamiętam, jak pewnego razu, siedząc w jednym  
z tych foteli, ojciec liczył pieniądze na nowe samochody.  
Pierwszy był zielony maluch, drugi – czerwony polonez,  
później – granatowy golf. Do pierwszego mieściliśmy się  
z dużym trudem, wyglądał jak zabawka. Miałam nadzieję,  
że go dostanę, kiedy rodzice przesiądą się do poloneza, i że  
dzięki temu będziemy mogli się ścigać po szosie lubelskiej,  
miałam wtedy pięć lat. Druga rzecz, jaką pamiętam z salo-  
nu, to pokaz robienia balonów z gumy do żucia przez ku-  
zynów, którzy przyjechali kiedyś z innego miasta, a trzecia  
rzecz to chrzciny mojego brata i że wszyscy mieli brzydkie  
ubrania. Było to w roku 1998, ojciec kupił kamerę i jego  
brat miał nagrać chrzciny, ale nie umiał dobrze trzymać

kamery i nagrały się tylko nogi. W drugiej części pokoju mamy telewizor z czterema kanałami i meblościankę. Pamiętam z niej szczególnie naklejkę z tańczącą parą na drzwiczkach do barku, w którym stoją kryształy, na pewno są drogocenne. Między butelkami, a dokładnie pamiętam ich kształty, zwłaszcza tej, która jest zbudowana z bąbelków ułożonych w kształt winogrona, stoją kartki grające z życzeniami od osób, które mnie bardzo interesują. Nie mogę uwierzyć, że istnieją naprawdę, jeśli składają się tylko z zapisanej kartki, ale jest to bardzo ciekawa forma obecności! Pamiętam też świeczkę na tort. Z jakiegoś powodu dostałam kiedyś na jej widok hysterii, bo wydawało mi się, że jest ona dowodem na to, że jestem adoptowana, ale nie umiem tego wyjaśnić. Niestety moi rodzice są prawdziwi. Robią mi korony z kartonu w litery, to zazwyczaj recykling starej gazety, a bycie królową to moje ulubione zajęcie. Kiedyś moja matka strasznie na mnie krzyczy i mnie szarpie, już nie pamiętam dlaczego, ale pamiętam, że kiedy płaczę w tym pokoju, przychodzi i mówi do mnie: następnym razem, jak będę na ciebie krzyczeć, powiedz mi, żebyś tak nie krzyczała, bo jesteś jeszcze mała. Zapamiętuję to na całe życie i później wiele razy chcę jej to powiedzieć, ale zawsze jest mi z jakiegoś powodu wstyd i wydaje mi się, że jestem już za duża, większa niż wtedy, że jest już za późno. Ojciec nazywa mnie Dorek i jestem jego ulubionym synem. Wiele lat później matka urządza mu awanturę, że nadał mi takie imię, bo uważa, że od tego stałam się lesbijką. W przyszłości próbuje uchronić od tego losu moją siostrę, więc zabrania nazywać ją Ewcik, a dzięki temu jest o nią

spokojna i Ewa może wyrosnąć na kobietę hetero. Chociaż nadal jest mała i jeszcze nic nie wiadomo, młodsza o piętnaście lat. Wczoraj zaprosiła mnie przez Messengera na urodziny i tort. Ale to jasne, że nie przyjadę. Nie byłam w domu od wielu lat i staram się z nikim z rodziny nie rozmawiać. W salonie, do którego przychodzili kiedyś goście, był jeszcze stary zegar, który trzeba było nakręcać, żeby dobrze pokazywał czas, a obok portret Jezusa, podobno z czasów, kiedy był nastolatkiem i miał długie włosy. Wyglądał jak dziewczyna. Pamiętam jeszcze, jak na łące obok glinianek, w których mieszka wodnik wciągający dzieci na dno, matka robi mi wianek z różowej koniczyny, mając nadzieję, że będę bardziej dziewczęca, i że nawet podoba mi się ta zabawa. Później idziemy do sklepu i kupuje mi sok w woreczku, który pije się przez słomkę i można wyobrazić sobie, że ta słomka to sieć wodociągów, a ja zamiast być dzieckiem, jestem wielką stalową wanną na lwich nóżkach i dokądkolwiek idę, to tak naprawdę tylko mi się wydaje, że się przemieszczam, bo w rzeczywistości stoję na niebieskich płytkach w łazience obok umywalki i szumię do kąpielowych zabawek, zamiast z nimi rozmawiać. To mój sekretny język wodny. Jest bardzo skuteczny.

Nie czuję się związana z rodziną. Nigdy nie czułam specjalnej więzi. Przez większość czasu zajmuję się sama sobą, a inne osoby psują mi zabawę, przeszkadzają i zabraniają. Mieszkam w pokoju, w którym jest tapeta z bluszczem oplatającym biały mur, akurat na ścianie, w której są drzwi. Buduję tam dodatkowe fortece: minidomy z krzeseł i koców. Mam swój telewizor, w którym oglądam straszne filmy,

festiwale disco polo, *Śmiechu warte* i *Gęsią skórkę*. Nic z tego nie rozumiem, ale to moje ulubione programy. Wydaję pierwsze książki: na złożonych kartkach A4 albo w zeszytach. Dobrze pamiętam cienki papier w trzech kolorach – białym, różowym i żółtym – dostaję go od ojca, drukuje się na nim rachunki za wodę, ale zostają ścinki i one należą do mnie. Mam też piękny dziurkacz, jest nieskończenie ciężki, z drewnianą, trójkątną podstawą i rączką z zielonego, chropowatego metalu. Dzięki niemu mogę robić w kartkach otwory i za pomocą nitki łączyć je ze sobą, a dodatkowo pozyskuję małe kolorowe kropki. To mój ulubiony przedmiot ze wszystkich rzeczy w domu. Oczywiście mam też zwyczajne zabawki, ale nie do końca wiem, do czego miałyby służyć. Wtedy głównie rysuję litery i interesuje mnie tylko to, jak się nazywają. Mam nadzieję, że kiedy nauczę się dobrze czytać i pisać, będę mogła się już wyprowadzić.

Naprzeciwko tego pokoju jest drugi, cały pomarańczowy. Na ścianach ma lamperię ze styropianu i jak nikt nie widzi, można w niej odbijać paznokcie. Jest tam ciągle rozłożone łóżko, na którym śpi moja matka i brat młodszy o cztery lata. Pamiętam, kiedy się urodził i został przywieziony do domu. Następnego dnia zapytałam, czy moglibyśmy już oddać tego dzidziusia, ale rodzice się nie zgodzili. Ma białe łóżko ze szczebelkami, którym można bujać, jak wyjmie się blokadę, i fioletowy leżaczek w dałmatyńczyki. Pamiętam jeszcze, że z babcią kupujemy mu w kiosku różową gumową zabawkę w kształcie żyrafy, to zabawka powitalna. Już wtedy moim ulubionym sklepem jest kiosk i nic więcej mnie nie obchodzi. Słyszałam, że zanim urodził się mój

brat, mieliśmy mieć inne dziecko, ale ono umarło. Pamiętam matkę leżącą w dużym pokoju i babcię, która robiła jej okłady z zimnego ręcznika zmoczonego w misce. Dostałam wtedy dużo nowych książek, żeby nikomu nie przeszkadzać. W tym pokoju stoi też adapter, a obok niego leżą płyty winylowe, z których można słuchać bajek. Kiedyś bawiłam się tam na podłodze i lepiłam z pomieszanej plasteliny fioletowe niedźwiadki. Była ze mną jakaś dziewczynka, która płakała i też nie umiała się bawić. Jeszcze jedna rzecz: leżałam tam kiedyś na tapczanie i płakałam po upadku z trzepaka. Był to nieszczęśliwy wypadek przy akrobacjach. Wyłam tak, że wszyscy myśleli, że to udar mózgu, że pękła mi głowa, ale jeszcze tego samego dnia wróciłam na drążek przy sklepie, żeby dalej trenować.

To już wszystkie pokoje. Mieliśmy jeszcze tylko łazienkę i osobną toaletę. Lubiłam wymyślać różne sposoby, w które można się wysikać, na przykład stojąc na desce i robiąc różne figury akrobatyczne. Bardzo chciałam pracować w cyrku. Marzyłam, żeby rodzice mnie tam oddali, bo dzięki temu mogłabym mieć dużo zwierząt, na przykład tygrysa, ale niestety się nie zgodzili. W większej łazience również zawsze musiałam się z nimi męczyć i oszukiwać, że myję zęby. Nie cierpię dźwięku szczotkowania. Swędzi mnie od niego całe ciało. Ale lubię się kąpać. Chciałabym móc zasypiać w wannie zamiast w łóżku, a wychodzę z niej tylko dlatego, że boję się wodnika, który przez odpływ wciąga dzieci za piętę do rury. Najbardziej lubię zanurzać głowę i jak woda wlewa się do uszu, tak że nic nie słysząc, a włosy odpływają same daleko od głowy, zawsze sobie wyobrażam, jak

to wygląda z pozycji słońca. Nie lubię włosów i niczego, co się z nimi robi, chociaż fascynują mnie włosy innych osób i lubię z nich wymyślać fryzury. Moje włosy są bardzo krótkie, wyglądam w nich jak chłopiec. W pewnym momencie zaczynają wypadać. Nikt nie wie dlaczego, bo nie ma żadnej jasnej przyczyny, więc zostają tylko jeszcze bardziej skrócone, podobno mają się dzięki temu wzmocnić. Strasznie się ich wstydzę. Wydaje mi się, że nie wyglądam jak prawdziwa dziewczynka i że jestem zmyślonym dzieckiem, całym na niby. Mnie nie robi wielkiej różnicy, czy coś jest naprawdę, czy tylko to wymyśliłam. Najbardziej chciałabym wyglądać jak Jezus z salonu obok zegara. Wydaje mi się, że to ktoś z naszych krewnych. Tyle się o nim mówi, że to nie do zniesienia. Najgorzej, że kiedy chodzimy do kościoła, to nigdy go tam nie ma, a za to jest masa ludzi, więc i tak nic nie widać. Mamy swoje miejsce obok wielkiego kamienia najdalej od wszystkich. Wspinam się na kamień i ciągle pytam, kiedy to się skończy. W domu babcia każe mi mówić do obrazka w plastikowej białej ramce. Ale jeśli mam być szczerą, to bardziej nieziemski i metafizyczny wydaje mi się wyświetlacz od zegara na odtwarzaczu kaset VHS. Widzę go z łóżka, kiedy zasypiam. Ma cyferki ze złota w głębi ekranu. Jak dobrze się przyjrzeć, za każdą cyfrą można zobaczyć kształt ósemki, a to przecież numer bloku i zegar o tym wie.

Mamy też mały ogródek. Pamiętam z niego bardzo wysokie malwy i to, że robiłam kiedyś kołyskę z gałązek wierzby, ale nic z tego nie wyszło. Żeby było się gdzie bawić, budujemy z ojcem piaskownicę. Kradnę do niej piasek. Przynoszę go w wiaderku z sąsiedniego podwórka, zachęcają mnie do

tego rodzice. Spotykam tam chłopca, który chce mi pomóc, ale się nie zgadzam. Na drewnianych poręczach piaskownicy maluję farbami tęcze i księżniczki. Wszyscy je podziwiają. Pamiętam nieznanym kobietom, które zatrzymują się na ulicy i rozmawiają o tym, jaką piękną mam piaskownicę z tęczkami. Często w niej siedzę, chociaż babcia ciągle mówi, że może to od piasku wypadają mi włosy, bo może sikają tam koty, które roznoszą choroby. Wiem, że to nieprawda. Kocham wszystkie zwierzęta. Jeśli mogę używać tego słowa, to tylko dla nich. Pewnego wieczoru znajduję w ogródku kota. Ma kosmiczny wygląd. Jest białym, długowłosym persem i siedzi we wnęce pod schodami na balkonie. Czuję nim straszną fascynację. Wymyślam sobie, że tak może wyglądać tylko książę. Niestety kot należy już do kogoś z naszego bloku. Zanosimy go starszej pani, która bardzo się cieszy, że znalazłam jej kota, i niczego nie rozumie, nie wie, że to jest książę. Jestem załamana, to mój pierwszy moment stuprocentowej pewności, że dorośli do niczego się nie nadają. Książę jej zdaniem ma jakieś głupie imię, ale widzę po nim, że szuka u mnie ratunku. To wszystko dzieje się w nocy. Zaraz muszę iść spać. Później nie umiem sobie przypomnieć, które to było mieszkanie. Chodzę po bloku z torebką budyniu w proszku, wchodzę do różnych mieszkań i pytam osoby, które tam spotykam, czy mogą mi ugotować budyni. Zjadam u jakiejś pani cały garnek budyniu, ona się cieszy. Zastanawiam się chwilę, czy mogłabym u niej zostać, bo widzę, że życie u niej mogłoby być dla mnie łatwiejsze, ale jednak wracam do rodziny. Chciałabym poznać jakiś inny świat. Wyobrażam sobie, że mogę

go odkryć w innym mieszkaniu, więc to moja największa fantazja: myślenie ciągle o tym, jak jest na innych piętrach i w innych mieszkaniach.

Ostatnia rzecz, jaką pamiętam z tego miejsca, to zaćmienie słońca. Właściwie to nie wiem, jak wyglądało samo zaćmienie. Pamiętam, że wszyscy ludzie stali na podwórkach. Mogła to być niedziela, bo byłam ubrana w różową sukienkę z białym kołnierzem z koronki, to był taki komplet, do którego była torebka z koralikami, można w niej było trzymać na przykład kamienie. Tego dnia ktoś mnie szarpnął, kazał mi stać spokojnie i patrzeć. Powiedział jeszcze, że takie rzeczy jak dziś zdarzają się tylko raz w życiu i że koniecznie muszę to zapamiętać. Samo słońce chyba mnie trochę rozczarowało.

## książki

Znam osoby, które nie czytają książek. Taką osobą jest też mój ojciec, człowiek, który ma do słowa pisanego wrodzony wstręt, nie przeczytał w swoim życiu chyba żadnego pełnego zdania. Kiedyś myślałam, że może mogłabym polecić mu *Pustostany* Doroty Kotas. Ale nie umiałam skutecznie przekonać go, że warto, dlatego na razie zgodził się tylko odłożyć jeden egzemplarz w garażu, na starość. Mówi, że może przeczyta, ale na emeryturze. Teraz nie ma czasu, chyba że na słuchanie. Nagrałam więc audiobooka. Ale to też nie pomogło, nie okazał specjalnego zainteresowania i rozmowę sprowadził na temat pszczół oraz teorii spiskowych o tym, że rząd blokuje bezpieczne dla pszczół antybiotyki, dlatego trzeba sprowadzać je z zagranicy, oraz że wywiózł niedawno ule na rzepak, pojechał z nimi nad Bug, chyba musi rozważyć zakup kanu, bo z takiej rzeki szkoda nie skorzystać. Matka podobno zapytała tylko, czy jest tam coś o niej i czy mocno szkaluję rodzinę, ale kiedy dowiedziała się, że nie bardzo, bo wszystko się dzieje w Warszawie, to zrezygnowała z pomysłu, żeby się przekonać. Słyszałam, że czytała mnie daleka rodzina. Ale nikt nie był zadowolony. Zawyrokowali, że coś takiego mógł napisać tylko ktoś chory na głowę i że to wstyd dla całych

pokoleń Kotasów. Kiedy dostałam pierwszą ważną nagrodę, mówili między sobą, że lepiej by było, gdyby zamiast nagrody ktoś dał mi pracę, bo z tego pisania to nic nie będzie, pora wziąć się w końcu do jakiejś roboty. W dniu, w którym odebrałam nagrodę za moją książkę, ojciec wysłał mi MMS-a. Odczytałam go na bankiecie pełnym różnych pisarzy, którzy przy tartinkach i tartaletkach prowadzili rozmowy na temat literatury. Włączyłam telefon, a tam alert, że nowa wiadomość. Ojciec rzadko coś pisze, bo uważa, że ma za duże palce na smartfony, ale czasami wysyła wieloznaczne załączniki multimedialne. W wiadomości, którą dostałam od niego po gali Nagrody Literackiej Gdynia, było zdjęcie końskiego kopyta. W ten sposób chciał dać mi znać, że był u niego kowal, który podkuł konie, i że to jest dopiero prawdziwe życie.

Prawdopodobnie wiele osób uważa pisanie za fanaberię. Ja do nich nie należę, ale mam świadomość, że istnieją, ponieważ zostałam wśród nich wychowana. Dla mnie pisanie to najwyższa konieczność. Jedyne w pełni skuteczny sposób na to, żeby zrozumieć, co się dzieje wokół mnie. Prawie wszystkiego nauczyłam się z książek, łącznie z wiedzą tajemną o tym, jak żyją ludzie, co mnie zawsze niezmiernie interesowało. Spędziłam wielką część życia, czytając, rysując i pisząc. Oglądałam też telewizję, ale to źródło wiedzy było częściowo reglamentowane przez matkę. Robiłam niewiele więcej. Tylko to, co konieczne, i to, co przydatne do opisanego. Chciałam wszystko zapisać, ponieważ wydawało mi się, że nie mogę mówić innymi słowami niż te, które są zapisane. Byłam dziwadłem słynącym w całej rodzinie

z tego, że lubię książki. Każdy to o mnie wiedział i wzbudzało to w moich krewnych specyficzne uczucia – z pogranicza podziwu i pogardy – jak się okazało, granica była bardzo cienka. Ta właściwość przysporzyła mi w życiu wielu obowiązków. Ojciec obdarowywał mnie literaturą fachową na temat łowiectwa, hodowli zwierząt i szkolenia psów. Kazał mi czytać i opowiadać sobie treść, a sam tylko przeglądał ilustracje. Odpytywanie z lektur było na szczęście proste. Mogłam zmyślić wszystko, co chciałam. Nikt nie wiedział, co jest prawdą, a co kłamstwem. W ten sposób z czasem zostałam znaną pisarką.

Raz dostałam karton po lodówce wypełniony książkami, gdy któryś z krewnych likwidował biblioteczkę. Były tam głównie lektury szkolne, niektóre wydane w XIX wieku, wydrukowane na kartkach ciemnych i cienkich jak ludzka skóra. Ułożyłam te książki w wysokich stosach tematycznych na podłodze w pokoju jako dodatkową warstwę izolacji od rodziny. Teraz jest to modne, ale wtedy nikt jeszcze nie słyszał o stylu *cozy* i o zaletach ocieplania przestrzeni przez niechciane książki. U mnie stały tak, dopóki ojciec nie zmobilizował się i nie zrobił półek na długość całej ściany. Wykonał je według mojego projektu. Wtedy zaczęłam sypiać z głową pod biblioteką. Były to półki po sam sufit, a pod nimi wnęka na łóżko. Liczyłam na to, że kiedy deski pękną, to będę mieć bardzo piękną śmierć, jak ze *Zbyt głośnej samotności*, a więc byłaby to śmierć jak marzenie. Rozważałam też samobójstwo polegające na tym, żeby wczesną wiosną zgromadzić w pokoju wielką ilość kwiatów akacji i udusić się od ich zapachu. Zawsze zamykałam się w pokoju

na klucz. Pewnego razu matka zepsuła zamek, uderzając w drzwi siekierą. Zrobiła w nich dziurę, z której sypały się drzazgi. Myślała, że w końcu naprawdę się zabiłam. Może miała nadzieję, że tak, bo byłby to jakiś przełom w naszych relacjach, ale ja znowu tylko nie chciałam nikogo widywać. Pamiętam, że na ścianie równoległej do półek z książkami powiesiłam antyramę z portretem Mrożka wyciętym z gazety i wszyscy, którzy wchodzili do tego pokoju, dziwili się, że chce mi się oglądać takiego dziada. Mówiłam im, że to Mrozek, a oni pytali, czemu musi być taki stary. Było to w pokoju, który dostał mi się po babci Wandzi. Przejęłam go, ponieważ babcia nie wytrzymała z nami w jednym domu i kupiła kawalerkę na innym osiedlu. Wcale jej się nie dziwię. Ja też chciałam jak najszybciej się wynieść.

Może to dobry sposób: historie o zamieszkiwaniu i pomieszczeniach, a przy okazji o tym, co pamięta się z wewnątrz, jakie to coś było w dotyku i jaki miało smak. Jest to trochę jak budowanie domu w grze, zanim wpuści się do niego prawdziwe osoby, to znaczy też zmyślane, ale jednak zamieszkujące i wprowadzające życie. Być może jest to metoda na przypomnienie sobie wszystkiego, bo miejsca pełne rzeczy są dla mnie największymi nośnikami pamięci. Może w ten sposób zdołałabym opowiedzieć o tym, jak to się stało, że w końcu postanowiłam odciąć się od domu i nigdy już tam nie wracać. Decyzja o rezygnacji z rodziny była bardzo świadoma i podjęłam ją dla własnego dobra. Może w tej formule znalazłoby się miejsce na nigdy nie-zapisaną historię o tym, jak przy każdej awanturze matka straszyla, że jeśli zadzwonię na policję, to zabiorą mnie do

domu dziecka, i jak starałam się na to przygotować, planując, co zabiorę. Albo miejsce na opowieść o tym, jak po wyprowadzce matka zrobiła mi niezapowiedzianą wizytę, stała pod domem, a później próbowała taranować drzwi, krzycząc, że chce tylko zobaczyć swoje dziecko.

Znam już tak wiele odważnej literatury i wiem dużo o innych osobach. Niedawno przeczytane eseje *O tym się nie mówi* Emilie Pine uruchomiły we mnie chęć opisanie wszystkich najgorszych rzeczy, najbardziej prywatnych i najstraszniejszych. Dla mnie czymś najtrudniejszym jest dom. Był najgorszym czasem wszech czasów. Kiedy mieszkałam z rodzicami, wydawało mi się, że jestem zbyt słaba na przeżycie. Codziennie czułam swoją słabość, niezrozumienie i samotność. Wszystko było zbyt trudne. Nigdy nie czułam, że ktoś stoi po mojej stronie. Czułam się wielkim zerem. Może udałoby mi się opowiedzieć, jak to jest być osobą nieneurotypową, nieheteronormatywną, nieprzywiązującą wagi do swojej płci i wyraźnie inną. A to wszystko w scenerii lat dziewięćdziesiątych i początku nowego stulecia w kręgu zwyczajnej, słabo wykształconej, katolickiej rodziny prawdziwych Polaków w małym mieście o liczbie mieszkańców siedemnaście tysięcy i o nazwie Garwolin, które znajduje się pomiędzy Warszawą a Lublinem, chociaż bliżej stolicy, co niczego nie zmienia. Opowiedziałabym o dziecku, które chciało umrzeć, bo za bardzo się bało, i o zwierzętach, które były najlepszą rodziną z lasu. Brakuje mi historii takich osób jak ja, dlatego postanowiłam, że napiszę jedną. Rok 2020 wydaje się do tego najlepszy! Jest on jednocześnie czasem zamknięcia się w domu i czasem

wychodzenia na ulice po to, żeby krzyczeć. Nie umiem znaleźć jasnej granicy pomiędzy tym, co można opowiadać, a tym, co jest zbyt prywatne. Ewa Furgał, autorka bloga *Dziewczyna w spektrum*, powiedziała mi, że to nazywa się *oversharing*. Jeśli będę mieć neurotypową redaktorkę, to pewnie wychwyci nadmiarowość. Na razie wolę o tym nie myśleć. Uczucie wstydu jest we mnie znikome.

Przez wiele lat pisałam na bloga. Nazywał się Ambaras. Niestety już nie istnieje, a treść jest nie do odzyskania. Byłam wtedy postrachem rodziny i bardzo mi się to podobało. Kiedy wszyscy zaczęli na siebie krzyczeć, zawsze znalazł się w towarzystwie ktoś, kto przytomnie upominał resztę, że jeśli się nie uspokoją, to zostaną opisani w internecie. Oczywiście była to prawda. Chętnie charakteryzowałam rodzinę, a nikt nie chciał trafić do internetu. Pisałam wtedy wszystko, co i kto do kogoś powiedział i co tamten na to. Miałam wielkie poczucie misji. Wyobrażałam sobie, że kiedyś przeczytają to nowe pokolenia, może moje dzieci, więc mocno angażowałam się w budowanie narracji. Chciałam stworzyć wirtualne drzewo genealogiczne, więc wypytywałam wujków i ciotki o naszych przodków, okazało się to jednak rozczarowujące, bo wyszło na jaw, że nikt prawie niczego nie pamięta. Niektóre osoby miały problem nawet z przypomnieniem sobie imion dziadków, dlatego tym chętniej zapisywałam, co się dzieje. Cieszyłam się, kiedy ktoś napisał komentarz. Co chwila włączałam komputer tylko po to, żeby sprawdzić, czy jest coś nowego. Na lodówce mieliśmy grafik – trzeba było do niego wpisać godzinę, o której zaczęło się siedzieć przed ekranem, i czas, kiedy się

skończyło. Przysługiwało nam darmowe piętnaście minut na samo włączanie komputera i wolny czas na naukę przed komputerem, a to stwarzało pole do pewnych nadużyć. Mój czas był zazwyczaj zerowy, bo składał się z samych godzin pilnej nauki przed ekranem – to znaczy z czasu poświęconego na pisanie, które uważałam za najszlachetniejszą dyscyplinę naukową.

Matka często wpadała do pokoju i sprawdzała, co robię. Kiedy wychodziła z domu i nie mogła tego dopilnować, zabierała ze sobą kabel od zasilacza. Mój brat wpadał wtedy w histerię. Dzwonił do niej i mówił, że się zabije, ale to zazwyczaj nie pomagało, bo matka zwykła traktować nasze groźby nonszalancko: byliśmy tylko dziećmi i nie mieliśmy zbyt wielu przywilejów, ani nawet statusu prawdziwej osoby, z którą ktoś by się liczył. Nikt nie wierzył w ani jedno nasze słowo.

W pisaniu jest dla mnie pewna wolność. Pisząc, daję też znać sama sobie, że moje doświadczenie jest ważne. Czasami mierzę się ze wstydem, kiedy myślę o osobach, które będą mnie czytać, i o tym, jaką wystawią mi ocenę. Wiem, że można mnie winić o wiele: że coś jest niepełne albo zbyt przeciągnięte, niezrozumiałe, męczące, za bardzo. Na szczęście ciągle piszę, za każdym razem jest trochę inaczej. Wiem też, że jest kilka osób, które odnajdują w moich tekstach siebie, i to jest dobra myśl. Robi to na mnie ogromne wrażenie. Sam fakt, że mogę coś napisać, a ktoś może to przeczytać, jest pod każdym względem niezwykły. W pewnym sensie uznaję czytanie za najlepszy rodzaj spotkania towarzyskiego. Nigdy nie byłam z nikim bliżej,

niż czytając tej osobie swój tekst. To kanał komunikacyjny, który omija niewygodę wymyślania na bieżąco słów do powiedzenia na głos, słów niosących ryzyko złego wyboru. Prawdę mówiąc, nadal boję się mówić na głos. Co innego czytanie. To się nigdy nie zmieni.

Od niedawna mam nowe leki. Okazuje się, że świetnie mi się pisze na fluoksetynie. Zасыpiam, myśląc o tym, co jeszcze chcę napisać, i o niczym więcej, a rano po postu budzę się i piszę, nic więcej teraz nie robię. Pisanie w trakcie łykania kwetiapiny było do kitu, a na trittico – bardzo przeciętne. Z mojego rozeznania wynika, że na osoby w spektrum leki często działają zbyt mocno albo nie działają w ogóle. Trudno jest dobrze trafić z rodzajem i ilością. Czasami najmniejsza możliwa dawka okazuje się zdecydowanie za duża, a czasami wcale nie odczuwa się wpływu leku. Ja mam tak, że większość antydepresantów nic mi „nie robi”. Ale niektóre z nich – na przykład mirtagen albo kwetaplex – wprowadzają mnie w osiemnastogodzinny sen tuż po polizaniu jednej małej tabletki. Nowe tabletki przegryzam doraźnie hydroksyzyną, a wtedy wszystko jest jakby łatwiejsze.

Najczęściej jest tak, że to, co uważam za świetny tekst, nikomu się nie podoba, a teksty, które moim zdaniem są słabe, o dziwo podobają się innym. Redaktorki w całości wyrzucają moje ulubione rozdziały. Prawdopodobnie mają rację. Ja mam do dyspozycji wyłącznie mój bardzo zły gust. Niedoskonałość wydaje mi się pełna życia. Dlatego ujmują mnie wyznania napisane na ściance w przejściu podziemnym, różowe samoprzylepne karteczki z wiadomościami

na lodówce i z rysunkiem psa, impulsywnie wysyłane ese-  
mesy, notatki na marginesach książek, pewność życzeń na  
pogniecionej pocztówce z melodyjką, dopiski na ogłoszeniu  
w windzie siedemnastopiętrowego bloku, treść oferty na  
OLX o sprzedaży spodni z printem albo wiadomość na pa-  
pierowej torbie z przetworami wyniesionymi na śmietnik,  
że są smaczne i można zjeść. To moja ulubiona literatura.  
Codziennosc ma w sobie coś takiego, że aż chcę o niej wie-  
dzieć wszystko, nic na to nie poradzę, tak działa mój mózg.  
Wielkie historie nie interesują mnie wcale albo bardzo mało.  
Lubię jednak znać pęknięcia i wszystko, co brzydkie, niemi-  
łe oraz nienadające się na ekranizację, ponieważ jest w tych  
rzeczach mnóstwo nieoczywistego uroku i coś nieskończe-  
nie przejmującego. Wiem, że nie mogę nikogo przekonać  
do tej tezy, coś takiego można tylko poczuć. Chciałabym,  
żeby pisanie składało się z samych wrażeń, żeby dało się  
położyć je na języku i zjeść. Czy gdyby śmietnik był gatun-  
kiem literackim, to czy mógłby nazywać się esej? Mam na-  
dzieję, że tak! Śmietniki dobrze mi się kojarzą. Najczęściej  
znajduję w nich wszystko to, czego mi trzeba. Można się  
z tego cieszyć albo się tym brzydzić. Dla mnie śmietniki  
to sama słodycz. Lubię też wszystko, co stare, ponieważ  
przynajmniej jest to jakieś. Nowe rzeczy są trochę żadne.



Kiedy wyprowadziłam się z domu, zamieszkałam z Ireną. Miała wtedy dziewięćdziesiąt lat. Gdyby dziś żyła, miałaby dziewięćdziesiąt siedem. Na szczęście umarła. To dobrze, bo już nie musi się tak bardzo męczyć ciągłym czekaniem na śmierć i przeczuciami, że to już zaraz. Znalazłam ją przez ogłoszenie. Oferowała najtańszy pokój w Warszawie – za darmo, a poza tym płaciła mi czterysta złotych miesięcznie za to, że u niej mieszkam. Był to duży dom na Sadybie, w samym środku willowego osiedla. Podobno przed wojną zbudował go znany architekt, zaraz przy trasie królewskiej, bardzo prestiżowo. Dom stał w dzikim ogrodzie, mocno już zaniedbanym, ale właśnie takie ogrody podobają mi się najbardziej, bo mają w sobie zapowiedź wielkiej przygody i to się prawie zawsze sprawdza. Żeby wejść do domu, trzeba było znaleźć dziurę w furtce, przełożyć przez nią rękę, sięgnąć do klamki, a potem odgarnąć dzikie wino, które blokowało przejście tak, że zawsze przechodziło się do środka przez wąską szczelinę. Irena mieszkała ze zwierzętami i to mnie do niej przekonało najbardziej. Miała cztery koty i psa. Pies był czarny i nazywał się Cygan. Miał za sobą traumatyczną przeszłość, z powodu której chętnie gryzł gości, nie lubił zwłaszcza panów. Został adoptowany

z racji przekonania, że czarny pies to groźny pies, a Irene był potrzebny akurat taki stróż domu, ponieważ sama nie mogła już chodzić. Koty to Kropka i Perełka. Te były ulubione. Nie pamiętam innych imion, niedobrze! To był dom, w którym koty były na pierwszym miejscu. Na pewno były ważniejsze niż ja. Jadły razem z ludźmi, a ich miseczki stały na stole i nie wolno było iść spać, dopóki wszystkie nie wróciły na noc do domu. Koty decydowały o przyjęciu lokatorki. Na szczęście byłam w ich guście, wybrał mnie ulubiony kot w typie persa. Na pierwszym spotkaniu w domu był mężczyzna, który czasami pomagał w ogrodzie. Kiedy poszłam oglądać poddasze, słyszałam dobiegające z salonu rozmowy o tym, że wyglądam na miłą panienkę.

Dom był zbyt duży jak dla jednej osoby, ale zupełnie odpowiedni dla kogoś, kto wychowywał się przed wojną w pałacu. Od wejścia miał ciemny korytarz wypełniony kapeluszami, kolekcją futer, stertą walizek, pawich piór, zaśniedziałych lusterek, parasoli od słońca i deszczu oraz wieszaków uginających się pod ciężarem zapomnianych ubrań wyjściowych. Były to same szlachetne szmaty. Stroje najwyższej jakości. Niestety mocno już nadjedzone przez mole. Czasami musiałam coś zacerować, ale wełna sweterków była tak przerzedzona, że nie bardzo było co łączyć. Po prawej stronie od wejścia były drzwi do gabinetu nazywanego pokojem Zenona. Zenon był jednym z trzech zmarłych mężów. Miał imponujące biurko i bujany fotel z ratanu, a na biurku wciąż leżało mnóstwo jego rzeczy, na których lubiły spać koty. Z podłogi ciągle trzeba było zbierać porozrzucane papiery. Na ścianie ktoś powiesił

oprawioną mapę Warszawy, a pod oknem w rogu stał tapczan, na którym Zenon mógł odpoczywać w przerwach od pracy. Była tam jeszcze szafa, a dwuskrzydłowe drzwi do sąsiedniego pokoju służyły jako wieszak dla kolejnych rzeczy wyjętych do wietrzenia z przepastnych szaf. Do pokoju Zenona wchodziłam raz w tygodniu, kiedy sprzątałam electroluxem, tak nazywał się w tym domu odkurzacz. Wydawało mi się bardzo zabawne to posługiwanie się szyfrem, w którym zakazane jest słowo odkurzacz, słowo, którego używałam przez całe poprzednie życie. Ale zgadzałam się na to chętnie, ponieważ lubię myśleć, że w każdym domu jestem trochę kimś innym, a electrolux pani Ireny pomagał mi być u niej nową osobą.

Na wprost od wejścia był salon. Grał tam ciągle telewizor, w którym oglądało się powtórki *Bonanzys* na zmianę z TVN24. Za telewizorem było przejście do małego pokoju. Ale teraz o sercu domu: stół, na nim miski kotów i wysypane chrupki, figurki jamników z porcelany, cukiernica pełna zwietrzałych ciastek do częstowania gości, stosik książek, okulary do czytania, zęby do gryzienia, wazon bardziej lub mniej zwiędłych kwiatów, dwa termosy z herbatą jaśminową na zapas, zdjęcia z czasów pałacu i gazetki z promocjami z Carrefoura. W rogu stał szezlong, który wyglądał imponująco, ale służył wyłącznie do trzymania stert swetrów na wypadek nagłego uczucia chłodu. Było też mnóstwo książek w stosach i dwa kredensy. W jednym była zastawa, a w drugim wyeksponowana biżuteria. Ciągle trzeba było sprawdzać, czy nikt nic stamtąd nie ukradł. Na każdej ścianie kilka obrazów przedstawiających konie. W salonie

znajdowało się też wyjście na taras, ale próg był zbyt wysoki, żeby można było wyjechać wózkiem, więc taras był właściwie bezużyteczny, czasami siadało się w drzwiach. Na noc zamykało się kraty, a na dzień wypychało się do ogrodu czarnego psa. Pamiętam jeszcze, że pod stołem w salonie leżała smutna skóra martwego dzika. Służyła za efektowny dywanik, który miał izolować od chłodu podłogi, a przy okazji podnosić renomę domu. Czasami kółka wózka inwalidzkiego blokowały się o pazury i trzeba było dobrze manewrować, żeby wyszarpać je ze zdechłych, splątanych łap. Ale był to dywan godny prawdziwej damy, więc nie można go było wyrzucić nawet pod pozorem domniemanej kradzieży.

Kiedyś Irena jeździła konno i to było jej ulubione zajęcie. Szyła sukienki na miarę u najlepszej krawcowej w Warszawie. Sprowadzała z Paryża koronki i lakierowane bućki, a jej sukienki miały guziki na całej długości i te guziki musiały być obszyte materiałem, żeby pasowały. Chodziła w nich na lody, odkąd tylko pojawiły się u państwa Blikłów na Nowym Świecie, a podawano je wtedy w prostokątnych waflowych miseczkach. Co środę urządzała przyjęcia. Zapraszała do siebie aktorów i literatów. Ciekawe, czy dostałabym zaproszenie. Pewnie nie! Potrafiła przygotować pory pod beszamelem, sos z majonezu i czarnej porzeczki oraz wykwentne farsze do awokado, chociaż nie gotowała zbyt często, bo miała francuskiego kucharza. Podobno umawiała się na kolacje w Bristolu. Raz prawie została porwana, ale uratował ją cocker-spaniel, z którym jechała autem. Kupiła dom za majątek, który zarobiła, otwierając

pierwsze trzy kolektury totolotka w Polsce. Miała wielu przyjaciół i przed świętami musiała wypisywać ich sobie w notesie, a później odznaczać ptaszkiem, żeby się nie pomylić i do każdego zatelefonować w porę. Oprócz pana Bliklego podobno przyjaźniła się z Jandą, ale ona niestety nie odwiedziła nas ani razu, w każdym razie ja nigdy jej nie spotkałam. Wiem jeszcze, że Irena dużo podróżowała po Europie i zawsze flirtowała z ochroną, żeby pozwolono jej zabrać do samolotu ulubionego psa. Wiedziała, jak trzymać wachlarz i co powiedzieć przy każdej okazji. Chodziła na spacer z indykiem, który nazywał się Kubuś, a mieszkał w jej ogródku przy willi na dolnym Mokotowie. Widziałam na zdjęciach, że miała kasztanowe loki i była bardzo piękna. Nosila rękawiczki, a na palcu rodowy sygnet, żeby każdy wiedział już przy powitaniu, że ma do czynienia z damą. Zastanawiam się, czy jej życie było łatwiejsze niż moje. Może byłoby lepiej, gdybym też była już stara. Wtedy mogłabym być jeszcze bardziej ekstrawagancka. Zwłaszcza gdybym była bogata i gdybym znała wiele ważnych osób z telewizji. Na pewno adoptowałabym indyka – gdybym tylko miała do tego warunki. Czy indyk mógłby mieszkać w kamienicy?

Mieszkałam z hrabiną, która od lat nie wyszła z domu, nawet na werandę. Nie wie, jak wygląda jej ogród, ale lubi o nim rozmawiać i dokładnie pamięta, co gdzie rośnie i skąd jest sadzonka. Czasem mówi, że na pewno już kwitną przylaszczki albo że owocuje pigwa, i wysyła mnie, żebym poszła sprawdzić. Płaci mi dodatkowo za drobne usługi ogrodnicze. Tego lata spędzam wiele dni, wrywając z trawnika perz. Tnę nim sobie ręce do krwi, ale po tygodniu wszystko

odrasta i po tej pracy nie ma ani śladu. Wspinam się na stare drzewa, żeby ściągnąć z ich szczytów przerośnięty bluszcz. Ślady tych zabiegów mam na całych nogach. Ale najwięcej czasu spędzam na werandzie i próbuję czytać, rosną tam w donicach najbujniejsze pelargonie w mieście. Mają już dziesiątki lat, bo zimą są trzymane w piwnicy i rozrosły się w wielkie krzewy z małej sadzonki przywiezionej kiedyś z Hiszpanii. Podleвам je raz w tygodniu, to też jeden z obowiązków. Listę prac i zadań dostałam wypisaną odręcznie na kartce. Naprzeciwko naszego domu mieszka pani, która grała w *Czterech pancernych*. Mogę podglądać ją z okna, bo zajmuję poddasze z sypialnią akurat od frontu domu. Mam dla siebie całe piętro plus nielegalne wyjścia na dach. Moje życie jest pełne starych kobiet, które ciągle przychodzą z wizytą i proszą mnie o różne przysługi. Szukam na całym Mokotowie ich zaginionych kotków, chodzę do najtańszej apteki po lek, drukuję w punkcie ksero zdjęcia krewnych, łączę na Skypie z rodziną w Australii i staram się wytłumaczyć, jak działa internet oraz dlaczego go potrzebują.

Irena nosi wtedy mechaty, pogryziony przez mole sweter. Zakłada go na koszulę nocną – to jej stała baza do każdej stylizacji. Gdy spodziewa się gości, przypina kryształową broszkę i jest wtedy wystrojona. Czasami doradzam jej w kolorach i mówię, czy dobrze w czymś wygląda, bo mam lepszy wzrok. Latem dalej chłodzi się wachlarzem, czasami jej pomagam. Lubi mówić o sztuce, a jej słowa są wytworne, przesycone okrągłą manierą salonów. Często jest wyniosła. Ma sto kompletów porcelanowej zastawy i robi mi awanturę, kiedy podam gościom zbyt duże filiżanki,

bo uważa, że duże są nieeleganckie. Lubi porządnie nakrywać do stołu i jeść marcepan, bo dobrze sobie z nim radzą jej zastępcze zęby, których czasami trzeba szukać na podłodze, bo zdarza się, że koty zrzucają je ze stołu. Zęby zakłada zazwyczaj przy gościach. W czasie wolnym od towarzystwa wyjmuje sztuczną szczękę i prosi mnie, żebym opłukała ją wodą, a potem odkłada zęby do wyschnięcia na talerzyku. Kiedy ktoś pyta, czy zaprosić do niej lekarza albo księdza, niezmiennie mówi, że tylko wtedy, jeśli jest inteligentny. Ale traci już poczucie czasu. Coraz więcej zapomina. Opowiada setki razy te same historie i coraz bardziej żyje światem, którego nie ma. Wtedy tego nie doceniałam i złościłam się, że znowu się powtarza. Często przestawałam jej słuchać, a być może dla niej był to jedyny sposób, żeby wdrukować całe swoje życie w moją pamięć z najdrobniejszymi szczegółami.

Reumatyzm wykręcił jej ręce i nogi. Od tamtej pory siedzi na wózku inwalidzkim. Kiedy z wózka przesiada się na łóżko, nie pozwala sobie pomóc i chociaż trwa to całe wieki, a jej ledwo starcza sił, niezmiennie wyrzuca mnie z pokoju. Jej palce są kruche jak gałązki. Nie mogą już nawet pogłaskać kota, zapleść warkocza z przerzedzonych włosów, nie dają rady zaparzyć herbaty ani odkręcić słoika z miodem. Raz w tygodniu przychodzi pani Hania, która myje to bezradne ciało, ciało nieużyteczne, pomarszczone, nie takie, a ja czekam na poddaszu, aż wyjdzie, i staram się nie zaglądać do pokoju zachlapanego wodą z misek. Raz próbowałam umyć jej włosy, ale nie spodobało się jej. Dlatego kiedy pani Hania nie może przyjść, splatam tylko

ciaśniej warkocz i staram się zrobić jej dobierańca, bo taki rodzaj uczesania może więcej wytrzymać i czasami wystarcza nawet na dwa dni. Włosy są cienkie i tłuste. Związujemy je gumką recepturką, których zapas jest zgromadzony na uchwycie wózka. Często przy zdejmowaniu gumki wyrrywam włosy, ale nie do końca potrafię być delikatna. Wiele rzeczy pęka mi w rękach, na przykład szklanki ze zbyt cienkiego szkła, które też czasem rozgryzam zębami przy picciu herbaty, robię to nieumyślnie. Nigdy nie wiem, czy trzymam szklankę za słabo, czy za mocno. Nie wyczuwam tego. Łatwo wszystko niszczyć, ale umownie nazywam ten proces zużywaniem, bo to brzmi lepiej.

Irena siedzi prawie cały dzień przy stole. Nie może już wyprostować nóg. Jej chodziki zamienił się w nieruchomy przyborek do trzymania w pobliżu stołu syropów i tabletek. Kiedyś dostałam od niej buty. Też szyte na zamówienie, u szewca z renomą. Ona nie zdążyła ich już włożyć, więc chodzę w nich czasami zamiast niej. Jej oczy, które przeczytały mnóstwo książek, też są już bezradne wobec liter na papierze. Zaćma zabrała Irenie książki i zostawiła ją z telewizorem, TVN24 cały dzień na żywo. Czasami czytam jej na głos, ona często zasypia w trakcie i zawsze wtedy jestem przerażona, że umarła. Ale dopóki z nią mieszkam, jakoś daje sobie radę i jeszcze nie chce umierać. Mówi, że mój ojciec jest najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego poznała w życiu. Prawdopodobnie trochę gardzi moją matką, ale nie daje tego po sobie poznać. Matka odwiedza mnie tam tylko raz i ta wizyta polega na tym, że rozpaczliwie próbuje zmienić wszystko, co się da. Gimnastykuje

się na drabinie, lawirując nad naszymi głowami ze ścierką, którą za wszelką cenę chce wyszorować okna w pokoju i trwa to cały pobyt. Nie mówi mi nic dobrego. Narzeka tylko, że wolę żyć w takich warunkach, wolę w brudzie niż z nią i że wybieram obcą babę zamiast prawdziwego domu, w którym jest tak czysto, że gdybym chciała, to można nawet jeść z podłogi, a poza tym niemożliwe, że gdzieś w obcym mieście i z dala od rodziny może mi być lepiej. Tymczasem Irena nie przestaje mi opowiadać, a urodziła się w 1923 roku, więc do opowiadania ma dziesiątki lat i nigdy nie brakuje historii.

Kiedyś nosiła w torebce karabiny. Na wierzchu układała pory i selery, żeby nikt się nie poznał na tym, co w środku. Wymieniała: konia na kiszoną kapustę, kapustę na tytoń, tytoń na bilon. Trzymała w swojej domowej szufladzie papierosy, na ich bibułkach wymieniano meldunki, kilka razy mało brakowało, a zostałyby przyłapana, ale jednak zawsze miała fart. Mówiła, że jeździła wozem konnym do Kołbieli, żeby przywieźć ziemniaki. Czasami przebierała się za chłopaka, bo kiedy wokół byli sami żołnierze, tak było bezpieczniej dla młodej damy. Zdarzyło jej się trzymać węgiel w wannie, ale chyba nie w tej samej, w której ja się kąpię. Mówiła mi, że w czasie wojny miała dużo szczęścia przez brzmiące z niemiecka nazwisko, a poza tym jej ojca wszyscy bardzo szanowali. W majątku Niemcy urządzili sobie jednostkę, więc kazali im się wynieść. Płakała, kiedy z dworku wynoszono jej fortepian, i później drugi raz, kiedy mahoniowy stół okazał się za ciężki, żeby go zabrać, więc został na podwórzu, a chłopci urządzili na nim zimą

świniobicie. Urodziła dziecko, które zaraz później pochowała, bo do lekarza było zbyt daleko i nie zdążyła dojechać na czas. Podobno jeździła na dachach pociągów. Wiedziała, jak nie dać się złapać. Po wojnie udało jej się odzyskać dom. Przekazała go miastu, urządzono w nim szkołę, co roku dostaje od niej kartkę z podziękowaniami i życzeniami zdrowia. Zaproszono ją na uroczystość, ale była zbyt chora, żeby tam pojechać. Reprezentował ją bratanek. Niestety ubrał się w brzydki sweter. Pokazuje mi na zdjęciach i pyta, jak można było tak brzydko się ubrać, oraz mówi, że przyniósł całej rodzinie wstyd, aż nie może patrzeć na ten jego sweter. Ja też noszę dużo swetrów i nie umiem się dobrze ubrać, ale nie mówię jej tego, bo chcę, żeby nadal mnie uwielbiała. Chcę, by ktokolwiek mnie uwielbiał. To moje wielkie marzenie. W tym domu jest dla mnie łatwo dostępne, bo dosyć łatwo jest mi spełniać oczekiwania kogoś, kto nie chodzi i prawie nie widzi, kto nie wychodzi już z domu i nie wie, jak duża jest we mnie niezręczność albo dziki strach maskowany iluzją pewności siebie.

Moja matka mówi o Irenie: babcia. Ja się wtedy obrażam i udaję, że nie słyszę. Ciągle jeszcze sprzeciwiam się, że tak nie wolno i że babcia to może być prawie każdy, tylko nie Irena. Babcia brzmi domowo. Takie słowo pachnie ciastem z jabłkami i cynamonem albo kaszą manną. Jest różowe, puchate i okrągłe. Babcia to ktoś, kto nosi kapcie, a nie buty. Rozwiązuje krzyżówki, zimą każe wkładać czapkę i przynosi kakao do łóżka. Opowiada bajki o krasnoludkach, a nie o bankietach ze sławnymi osobami, które zna się z telewizji. Babcia to ktoś ciepły. Może chodzić na różaniec

pod kapliczką w małym mieście, robić czapki na drutach i głaskać dzieci po włosach, ale na pewno babcia nie jest damą, a to zasadnicza różnica, więc nie wolno tak mówić o Irenie. Bronię jej całą sobą. Nigdy nie będzie moją babcią. Kiedy u niej mieszkam, jest najbliższą osobą i najlepszą koleżanką, chociaż co chwilę mam jej dość, a ona wykorzystuje mnie, jak tylko może. Kiedy wychodzę na dłużej z domu, Irena dzwoni do mnie i mówi, że muszę natychmiast wracać, bo jest jej duszno i trzeba uchylić w domu lufcik, inaczej się udusi. Mam dla niej dziwną mieszankę uczuć. Trochę ją podziwiam, a trochę się jej boję. Pierwsza rzecz, jaką robię po wejściu do domu albo po wstaniu z łóżka, to sprawdzenie, czy przypadkiem nie umarła. Zanim zasnę, podgrzewam jej w garnuszku z wodą na dnie obrane jabłko. Codziennie zjada taką samą kolację. Kiedy wyrzucam obierki, myślę o tym, jak bardzo jest prawdopodobne że będzie to ostatni posiłek jej życia, i brzmi to trochę jak historia o Śnieżce, która kiedyś się budzi. Czy to możliwe że tak się nazywał trzeci z czterech kotów? Mogło tak być, ale coraz mniej pamiętam.

Pierwszy dom, w którym mieszkam w Warszawie, jest duszny i brudny. Buszują w nim zwierzęta. Zassane okna nie chcą się otworzyć, więc ciężko wpuścić do niego powietrze. Pękają deski w drewnianym parkiecie. Na ścianach, obok kolekcji portretów i obrazów z końmi, jest tysiąc pajęczyn, jak w starym zamczysku, a kuchnię opanowały mole. Szafki rozsypują się, kiedy otwiera się ich drzwiczki, więc lepiej nigdzie nie zaglądać, bo grozi to tylko wielkim hukiem i rozpadem. Na stole stoi bukiet sztucznych

kwiatów, który Irena miała na biurku w swojej pierwszej pracy. Teraz jest blady i lepki od kuchennego brudu, ale nie wolno go wyrzucić, bo jest artefaktem pamiątkowym, nośnikiem pamięci, jak wszystko w tym domu. Wszędzie wiszą ubrania. Irena lubi je mieć na widoku, żal jej chować do szafy jedwabie i kaszmiry, woli mieć wszystko pod ręką. Figurki pożera kurz, który zmienia kolory i kształty w do niczego niepodobne. Na poddaszu mieszkają studentki, w pokoju z nakastlikiem, skrzypiącym łóżkiem i starą szafą z zepsutymi drzwiami. Dziewczyny często się zmieniają, bo trudno mieszkać w takim miejscu, dusznym od minionego czasu. Irena mówi o nich: panienki, opowiada swoje życie i karmi marcepanem. Studentki z poddasza, tak jak i ja, przesiadają tym domem, bez internetu, w fotelach, na które sikają koty, z lekcjami przy biurku na dwóch nogach przymocowanym na stałe do ściany. Ciągle się zastanawiam: czy ktoś wytoczy mi proces i pójdę do więzienia, jeśli powiem to na głos? Pytałam o to już kilku osób. Wszystkie powiedziały, że nic mi nie grozi, o ile będę pisać prawdę. Co innego, gdybym zmyślała. Ale w tym przypadku nawet nie ma po co. Nie mogłabym wymyślić tego lepiej. W tym domu i z tą osobą jest jak w filmie. Malowniczo do granic możliwości, a właściwie to nie do zniesienia.

W końcu jednak nie wytrzymuję. Kiedy tam mieszkam, ciągle przeglądam ogłoszenia: pokoje, na które nie mam pieniędzy. Próbuję dostać pracę w miejscach, w których nikt mnie nie chce. Prawie każdy pokój jest zbyt drogi. Nie do końca odróżniam ogłoszenia o wynajmie od propozycji seksualnych, więc podczas oglądania mieszkań jest też

wiele wpadek. Inne miejsca są dramatycznie nijakie. Widzę, że nie mają duszy, i czuję przerażenie na myśl o nowoczesnych blokach. Ale jednak znajduję pokój, też jest chyba najtańszy w mieście, i chcę go wynająć z koleżanką na pół, więc mówię Irenie, że zamierzam się wyprowadzić. Ona na zmianę krzyczy na mnie, że jestem przebiegłą wydrą, albo mówi słodkim głosem, że jestem jej bratnią duszą i żebym to jeszcze przemyślała, bo z nikim nie mieszkało jej się tak dobrze jak ze mną, i wyznaje mi miłość. Porzucam ją dla dobra nas obu, bo jest w tym zbyt dużo emocji. Jestem już zmęczona, a ona potrzebuje ciągłego zainteresowania. Jeszcze przez kilka dni podsłuchuję, jak skarży się na mnie przez telefon wszystkim wielkim aktorkom i mówi im, że wbiłam jej w serce sztylet, a teraz chyba umrze. Pakuję swoje rzeczy. Mieszczą się do kilku worków na śmieci. Ojciec pomaga mi przewieźć pakunki na Grochów do bursy siostr szarytek. Będę mieszkać po sąsiedzku z Wedlem i przez następne pół roku oddychać czekoladą. To chyba nie takie złe, ale Irena mocno tym pomysłem gardzi i dla lepszego efektu nazywa bursę kołchozem. Trochę mi przykro. Tym razem do nowego lokum przekonuje mnie sąsiedztwo fabryki czekolady. Upieram się przy tym pomysłe i nie pozwalam sobie na zmianę zdania, mimo że mieszkanie u zakonnic nie brzmi już tak atrakcyjnie.

Później do willi na Sadybie wprowadza się inna studentka. Ja czasami przychodzę w odwiedziny. Raz zaglądam w Boże Narodzenie, bo wtedy obie jesteśmy najsamotniejsze na świecie, ale udajemy, że wcale nie. Często rozmawiamy też przez telefon. Wygląda to tak, że ja się witam, a później nic

nie mówię, ale jednak jest w tym coś miłego. Czuję, że po mieszkaniu razem i dzieleniu domu jesteśmy dla siebie już na zawsze rodziną. Później mam takie samo poczucie z prawie każdą przypadkową współlokatorką. Dzielenie ze sobą domów znaczy dla mnie bardzo wiele, więcej niż genotypy i grupy krwi, jest to też dla mnie bardziej zobowiązujące niż wspólne nazwisko. Domy znacznie lepiej scalają. Mam wrażenie, że osoby, które je zamieszkują, przesiąkają sobą. Jest to proces nieodwracalny. Bliskość na zawsze, taka, że nawet kiedy jest mnóstwo kłótni i kiedy się później nienawidzimy, to z doświadczeniem wspólnego domu jesteśmy dla siebie kimś. To prawie jak czytanie swoich tekstów. Podobny rodzaj oglądania się w całości, ze szczegółami. Mieszkanie z innymi osobami i spędzanie z nimi czasu jest też dla mnie wyzwaniem, ponieważ ciągle staram się być taka, jaką ktoś chciałby mnie mieć. W mieszkaniu z hrabiną jestem młodą arabianką z dolnego Mokotowa. Przymierzam jedwabne sukienki Ireny, a ona chętnie mi je pożycza i cieszy się, że będę miała w czym chodzić na prywatki albo na niedzielne spacerunki po parku Łazienkowskim. Nigdy nie wiem, jak się zachować, ale strasznie się staram spełniać jej oczekiwania i płynnie wchodzę w przewidzianą dla mnie rolę. Robię to z pewną ulgą, bo ta rola jest dosyć łatwa i ma jasne zasady, których bardzo szybko się uczę.

Kiedy odwiedzam Irenę, muszę się zaanonsować. Wygląda to tak, że dzwonię do niej i pytam, czy jest bardzo zajęta. Ona mówi, że dla mnie znajdzie chwilę. To teatr grzeczności, który powtarzamy za każdym razem. Rano prasuję sukienkę, a dzięki temu Irena zawsze chwali, że mam znakomitą

prezencję. Zazwyczaj przychodzę po zajęciach w szkole. Studiuję wtedy polonistykę. Kiedy przychodzę na Orężną, prostuję się jak panna z dobrego domu, chociaż nie jestem z tych czasów, a mój dom był raczej zły. Zawsze przynoszę ze sobą coś słodkiego do herbaty. W tym domu najczęściej są to ciasteczka z marcepanem, ponieważ damy jedzą marcepan. Dbam o to, żeby wszystkie słodczyce, jakie przyniosę, były wystarczająco miękkie i żeby nadawały się do gryzienia sztucznymi zębami. Układam później ten marcepan w kryształ. Przynoszę sobie z kuchni kubek, jedyny kubek, jaki Irena ma w domu i który należy do mnie, i pozwalam sobie nalać z termosu herbaty albo nastawiam wodę na świeżą. Ona znowu patrzy na mnie przez ten kubek z tęczą jak na krnąbrne dziecko, które wymknęło się salonowej kindersztubie, ale jednak z sympatią. Jest to rodzaj rozpychania się w przestrzeni. Sprawdzian z tego, na ile muszę być staruszką, a na ile mogę być nastolatką. Kiedy w gościac jest ktoś jeszcze, podaję mu filigranową filiżankę w różę. Uważam, żeby nie była zbyt duża. Pamiętam o tym, że im filiżanki większe, tym mniej eleganckie. Pilnuję też, żeby nie pomylić łyżeczek do kompotu i łyżeczek do lodów albo konfitury. Czasami przyprawdzam koleżanki, które chcą poznać hrabinę. W dni odwiedzin zazwyczaj rozmawiamy o książkach i teatrze. Mówię wtedy językiem, który nie jest mój, ale Irena nim mówi, a ja łatwo przejmuję słowa, nasiąkam nimi, jestem pełna takich słów, jak: wybornie, doprawdy, wyśmienicie. Jest to całkiem zabawne, bycie inną osobą działa, a Irena mówi: w tych waszych czasach, te wasze komputery. Wtedy ścierają się nasze światy i pojawia

się granica, której nie ma, a jednak jest. Ja zabieram to wszystko: słowa, historie, obrazy. Czuję, że dotykam świata, który umiera, i duszę się wzruszeniem, że w ogóle mogę. Próbuję dać w zamian coś swojego, kawałek tej Warszawy, z której przyszłam, ale wtedy czuję, że moja Warszawa jest jak ciało obce w oku, w źrenicy z roku 1923, które widziało już wojnę, salony, Paryż i Brukselę. Ale jestem potrzebna, bo widzę, jak jednak zapalają się te oczy, kiedy znowu może komuś opowiedzieć o tym, jak było, kiedy mieszkało się w majątku, i uciec w ten sposób z domu na Sadybie, w którym zamknęła ją okropna starość, tak niełaskawa dla dam. Pielęgnowujemy razem marzenia o tym, żeby uciec z domu. Trochę jej w tym pomagam, staram się, jak mogę, ponieważ silnie empatyzuję z uczuciem uwięzienia w domu.

W końcu jednak jej się udaje, ucieka. Nawet nie wiem kiedy. Telefony są coraz rzadsze, aż pewnego dnia wpisuję jej nazwisko do internetu. Jest tam taka notatka: z wielkim żalem żegnamy zmarłą 11 czerwca 2017 roku Irenę Smoleńską-Tarasiewicz z domu Higersberger, przyjaciółkę, wybitną osobowość, miłośniczkę zwierząt. I druga: W dniu 11 czerwca 2017 roku w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat zmarła córka właścicieli majątku Rataje-Gostynin.

Kiedy się urodziłam, mój ojciec zbudował dom. Działkę dostał od swoich rodziców. Najpierw postawił tam ule dla pszczoł, później kojce dla psów, a na koniec wylał fundamenty pod dom dla całej rodziny. Mogliśmy się tam wprowadzić, kiedy skończyłam sześć lat. Bardzo żałowałam, bo sąsiedzi z bloku właśnie kupili jamniczka. Przewoziliśmy ostatnie kartony z rzeczami, a po osiedlu spacerował jamniczek, ja tymczasem nie mogłam chodzić za nim krok w krok co oznacza, że pękało mi serce. Przeprowadzka miała jednak swoje dobre strony. Przy okazji pakowania rzeczy znalazłam wiele książek, których nie widziałam nigdy wcześniej, bo były przede mną pochowane. Wyjmowałam z pudeł wszystko, co włożyli do nich dorośli, i dokładnie oglądałam. Pamiętam z tego czasu baśnie o Sinobrodym, w których były ilustracje z księżniczkami wiszącymi na hakach w piwnicy i zbliżenia na ich gołe, sine nogi. Jak się okazało, mieliśmy też dużo książek o horoskopach i o znaczeniu imion, według których moje imię okazało się zupełnie nietrafione, a także liczne albumy z przepisami. Kochałam przepisy, mogłam godzinami oglądać zdjęcia tortów i karmić się patrzaniem na obrazki. Wtedy myślałam, że kiedy dorosnę, upiekę wszystkie torty. Ale jak na razie nie zrobiłam ani jednego.

W nowym domu mieszkałam aż do dorosłości. Mogłam wybrać sobie pokój, każdy oprócz największego. Kiedy zapytano mnie o zdanie, wskazałam ten, w którym na podłodze leżały sterty styropianu, bo wydał mi się najlepiej umeblowany. Dorosli pochwalili mój wybór. Miałam zamieszkać między pokojem babci Wandy a pokojem brata Jasia. Jego pokój też miał kilka zalet, a największa z nich była taka, że w razie nagłego pożaru można było spróbować ześlizgnąć się po spadzistym daszku na taras, a z niego zeskoczyć na podwórko. Kiedy byłam dzieckiem, ciągle czekałam na pożar. Słuchałam instrukcji, jak w razie czego wydostać się z domu, jeśli spłoną drewniane schody, i dokąd trzeba będzie pójść, żeby dzwonić po straż pożarną oraz pod jaki numer. Było to bardzo ekscytujące. Wierzyłam, że jeśli dom zacznie się palić, to w końcu będzie nam wolno wyjść przez okno i sturlać się po daszku. Tymczasem na podwórku będą czekać strażacy. Rozciągną ogromne czerwone prześcieradło, na które będziemy skakać i odbijać się jak piłeczki. Później dostaniemy od kogoś herbatę i drogocenne koce ze złota i srebra. Będziemy stać na ulicy i patrzeć, jak ogień trawi nasz dom, a ktoś przyniesie nam nowe ubrania charytatywne i komputery, a tym bardziej jeśli ktoś zginie w pożarze, bo wszystkim będzie nas strasznie żal.

Kiedy w telewizji pokazywano jakiś pożar, podziwiałam go i wyobrażałam sobie, jak to jest płonąć. W nowym domu mieliśmy kominek. Był nawet lepszy niż telewizja, bo można było spalać w nim różne rzeczy, na przykład kartki z zapisanymi imionami niemiłych dzieci albo nieudane

rysunki, i wszystko natychmiast znikało. Znikanie i ocalanie to najlepsza zabawa. Wysypywałam zawartość pudełek z zapawkami do szuflady, pod podziałkę na sztuce, pod którą nigdy nikt nie zagląda, albo wciskałam wszystkie zapawki ciasno do jednego kartonika i kradłam pudełka, które miały łatwopalne krawędzie. Gdybym kiedyś uciekła z domu i zamieszkała w lesie, łatwo mogłabym rozpalić tam wielki indiański ogień, który chroniłby mnie od dzikich zwierząt, skorpionów i wilków, a poza tym mogłabym upiec chleb. Lubiłam też wkładać do ognia patyki i robić z nich pochodnie. Kiedy czubek tlił się na czerwono, trzeba było szybko nim machać, żeby palił się jak najdłużej. Patykiem kreśliło się akrobacje powietrzne, dopóki tłący się czubek różdżki nie spłonął. Później zmieniał kolor na śmiertelną szarość i odpadał. Można go było dotknąć, jeśli stygł na śniegu, a konsystencja popiołów przypominała magiczny pył. Dorosli mówili, że jeśli będę tak machać patykiem, to w końcu wydlubię sobie oko, ale to nie zdarzyło mi się ani razu. Miałam też od tego sikać w nocy, ale to zdarzało się sporadycznie i wcale nie łączyło się z zabawą ogniem, tylko ze snami o siusianiu.

Jednej nocy wybuchł prawdziwy pożar. Palił się dom sąsiadów z ulicy Spokojnej. Obudziłam się w nocy, ale nie wolno mi było podejść do okna, dostałam zakaz wychodzenia z łóżka, więc tylko chwilę stałam na stosie z kołdry usypanym przy krawędzi wersalki i wyglądałam na zewnątrz. Wszystko wydawało się czerwone jak czubek patyka, który na cmentarzu we Wszystkich Świętych wkłada się do znicza i podpala, żeby rysować w powietrzu koła. Matka i babcia

próbowały mnie okłamać, że to tylko światło z odległej latarni, co było kolejnym dowodem na to, że dorosli głównie kłamią i zmuszają dzieci do wykonywania ich poleceń. Rano musiałam wstać do zerówki. Nie lubiłam tego i nie bardzo wiedziałam, co miałabym tam robić, ale nie miałam wyboru. Za oknem widziałam z daleka stertę osmolonych mebli zgromadzonych w jednym końcu podwórka. Rzeczy ocalałe z pożaru, ale do niczego się już nienadające, leżały na kupie za szklarnią. Przez całe lata nikt ich stamtąd nie usunął. Zastanawiałam się, skąd wziął się pomysł, żeby składować je na podwórku, i czy to jakiś rodzaj ostrzeżenia dla wszystkich dzieci z osiedla, ale nigdy się tego nie dowiedziałam. Trochę później poszłam do szkoły. Poznałam tam dziewczynkę z płonącego domu, która miała na szyi bliznę od ognia. Blizna miała kształt buziaczka. Zazdrościłam jej, bo wyglądała jak różowy tatuaż poniżej ucha. Wyobrażałam sobie, że gdybym ja miała taką bliznę, to obrysowywałabym jej kształt czerwonym flamastrem, żeby było ją lepiej widać, i mogłabym ją kolorować błyszczkiem z brokatem, byłoby to zabawne, bo miałabym dwie pary ust. Marzyłam też o tatużach w oczy na całym ciele i o tym, żeby mieć bluzę z nadrukiem w małe rysunczki spodenek. Mój mózg na samą myśl o takich rzeczach płonie różowym ogniem, a różowy to mój ulubiony kolor, chociaż trochę się tego wstydzę.

Nasz dom był bliźniakiem. To śmieszne, ponieważ mieszkało się w nim tak, jakby zamiast ściany było lustro, ale po drugiej stronie było trochę ciekawiej, bo mieszkała tam inna rodzina, a byli to nasi krewni. Moglibyśmy ich naśladować i nie trzeba by wtedy ciągle myśleć, co robić i co

powiedzieć, ale nikt nie chciał w to ze mną grać. Przykładałam do ściany szklanę, żeby ich podsłuchiwać – podpatrzyłam to w jakimś filmie gangsterskim. Niestety ściana mocno zniekształcała dźwięk. Wydawało się też, że dobiega on z całkiem innego miejsca, niż było w rzeczywistości. Nasze domy miały ten sam układ pomieszczeń. Zbudowali je dwaj bracia. Wciąż brzmi to dosyć baśniowo i dziwnie. Wyobrażałam sobie, że mieszkamy w książce z rebusami, gdzie trzeba zaznaczyć różnice na rysunkach przedstawiających sąsiednie domy, które wydają się takie same, ale nie w szczegółach. Rozwiązywałam to zadanie w głowie, która ciągle wymyślała odpowiedzi. Nadal jest tak, że nie zdarza mi się nie myśleć o niczym, to niewykonalne zadanie, bo nawet kiedy zasypiam, to sen następuje w wyniku zmęczenia ciągłym wymyślaniem. Podobno nie wszyscy tak robią, nigdy się tego nie dowiem, ale ja najlepsze pomysły mam wtedy, kiedy ktoś mówi, żeby wyłączyć wszystkie myśli, dzieje się tak na przykład na jodze. Większość pierwszej książki wymyśliłam w trakcie sawasany, czyli pozycji nieboszczyka. Specjalnie dla niej kupiłam karnet *open* na zajęcia do szkoły Sztuka Życia. Opłaciło się, bo nauczyłam się stać na głowie, przechodzić do świacy, wisieć na linie z głową w dół i robić drzewo oraz wymyśliłam dziesiątki stron tekstu, ponieważ wyłączenie myśli na zawołanie zazwyczaj działa tak, że mam ich jeszcze więcej i wszystkie myśli staram się zapamiętać, żeby móc je zapisać.

Długo mieliśmy nadmiar pokojów. Z tego powodu wszyscy zawracali rodzicom głowę i pytali, kiedy będą mieć trzecie dziecko, aż w końcu ono się przez przypadek pojawiło.

Ale na początku wszystko było nowe i mieszkaliśmy wtedy całkiem ładnie. Podłoga składała się z gwiazdek z drewna, przez okno w dużym pokoju było widać cały wszechświat, a mebli było na tyle mało, że z łatwością dało się jeździć na rolkach lub hulajnogach. Ganiałiśmy się po wszystkich pokojach, wołając elemele-dudki, ale teraz nie wiem już, co to miało oznaczać. Kiedy bawiliśmy się w chowanego, mieściłam się do szafki pod akwarium albo do pojemnika na pościel w wersalce i to były moje supermoce. Wszystkie ściany były białe i bardzo szybko zapełniały się odciskami brudnych rąk oraz naklejkami szczeniaczek w żółtych ramkach i motorami z gum po dziesięć groszy. Zjeżdżaliśmy ze schodów na poduszkach z wersalki, robiliśmy tory przeszkód z mebli i bazy z kołder, w których układaliśmy na podłodze kozuch miękki jak puszek i chcieliśmy na nim spać, ale nigdy się to nie udało. Z pierwszych dni w domu pamiętam jeszcze ciastka w kształcie gwiazdek z białym lukrem i to, że nie mieliśmy lodówki, więc chyba nie musiałam jeść nic innego. Później trochę się pozmieniało. Matka zaważyła duży pokój zbyt dużym narożnikiem. Ściany pomalowała na jaskrawą zieleń, niebieski, pomarańczowy i róż z dodatkiem tapet w kwiatki ze złotą krawędzią. Wniesiono mnóstwo ciężkich mebli i mało gustowne dywany. Z czasem podłogi zniszczyły się od jazdy na rolkach i trzeba je było wymienić na łatwiejsze w utrzymaniu kafelki. Płytki dawały matce pretekst, żeby ciągle nas napominać, że musimy nosić kapcie, bo inaczej zachorujemy na zapalenie pęcherza i będziemy strasznie cierpieć, a leki będziemy musieli kupić sobie sami, bo ona nie zamierza płacić za naszą głupotę.

Dom łatwo się przeobrażał. Pierwszym miejscem, do którego chciałam się z niego wynieść, było igloo wybudowane przy ogrodzeniu z rzędem bukszpanów. Ubłagałam rodziców, żeby pozwolili mi w nim spać. Oni przekonali mnie, że trzeba to odłożyć na drugi dzień, żeby lepiej się przygotować, bo dziś jest już za późno. Zaplanowałam, że rano zrobię kanapki i kruche ciasteczka, spakuję rzeczy, a później wyprowadzę się do domu ze śniegu. Zakładałam, że wrócę najwcześniej wtedy, kiedy przyjdzie odwilż, a w tamtych czasach zimy były jeszcze porządne. Oficjalnie miałam spać w igloo tylko przez jedną noc, ale mój sekretny plan był taki, że zostanę w nim przynajmniej na kwartał. Dla bezpieczeństwa postanowiłam się z tym nie zdradzać, nie chciałam utrudnić negocjacji z matką i nie chciałam, żeby tęskniła za mną na wyrost. Niestety kiedy obudziłam się rano w najwyższej ekscytacji, że oto zaczynam nową drogę życia, okazało się, że w nocy igloo się zawaliło. Rodzice powiedzieli mi, że jacyś chłopcy rzucali w nie śnieżkami i całe szczęście, że nie było mnie w środku. Już wtedy wiedziałam, że kłamią, żeby mnie zniechęcić. Chcieli podstępem zatrzymać mnie w domu. Co gorsza, nigdy się pod tym względem nie zmienili. Każdą rozmowę o mojej wyprowadzce przeobrażali w awanturę. Twierdzili, że mamy za mało pieniędzy na to, żebym mogła zamieszkać sama.

Zaczęłam gromadzić oszczędności. Wyjmowałam drobne z kieszeni kurtek, które wisiały w przedpokoju, i odwracałam fotele do góry nogami. W takiej pozycji można było włożyć rękę do dziury w podszewce i znaleźć w szczelinach

kompletu wypoczynkowego wszystko to, co może wypadać ludziom z kieszeni, między innymi pieniądze. Ale zawsze było tego zbyt mało. Bałam się, że kiedyś nie będziemy mieli co jeść i że wtedy to na mnie spadnie obowiązek utrzymania rodziny, bo wydawałam się sobie najbardziej zaradna. Moi rodzice ciągle powtarzali, że nie mają pieniędzy. Ja miałam ich chociaż trochę. Zdobywałam je w różnych zapomnianych domowych skrytkach, wylawiałam monety z sadzawek przynoszących szczęście i gromadziłam jednogroszówki w myśl zasady, że grosz do grosza. Oszczędzałam też pieniądze, które dostawałam w niedzielę do kościoła. W parafii przemienienia pana, ale nie wiem w kogo, stał anioł z dziurą w dłoni. Do dziury wsadzało się pieniążek. Była to podobno skarbonka na misję, ale ja byłam z biednej rodziny, więc nie widziałam potrzeby, żeby dzielić się z aniołem latającym do Afryki po to, żeby nauczać o chrześcijaństwie. Moim zdaniem anioł miał napęd na pieniądze. Kiedy robiło się ich dużo, tak że wypełniały mu całe ciało, to wtedy ożywał jak króliczek na baterie z reklamy i mógł zamachać skrzydłami, a zaraz potem lecieć do innego kraju. Był dla mnie dokładnie takim samym rodzajem postaci, jak przebierańcy na starówce, na przykład kominiarze oblani złotą farbą albo z soczewkami w kształcie samolocików w oczach, dziwacy, z którymi dzieci robią sobie brzydkie zdjęcia. Wkładanie pieniędzy do ręki anioła z gipsu było jedną z niewielu przyjemności, dla których opłacało się przychodzić na mszę, ale umiałam z niej zrezygnować dzięki temu, że dostałam od boga silną wolę. Miałam nadzieję, że kiedyś uda mi się zostać kimś

takim jak Sknerus McKwacz i że będę miała specjalny pokój, gdzie będę trzymać mnóstwo pieniędzy oraz sztabki złota, które będę mogła polerować i budować z nich piramidy jak z zestawu Lego, a wszyscy będą je podziwiali.

Moi rodzice zawsze byli biedni. Wymyślali limity cen, do których mogę wybrać w sklepie jogurt albo loda różka. Słodocze wolno nam było jeść tylko raz dziennie, po obiedzie, i zawsze po trochu. Stanowczo dyktowano nam taki porządek, jakby inne zasady mogły nas zabić, sprowadzić na nas straszną śmierć w wyniku otrucia się złą kolejnością jedzenia, na przykład poprzez nieopatrzne zjedzenie deseru przed zupą. Wydawało się to strasznie irracjonalne, w dodatku ciągle słyszałam pogroźki: obys przez całe życie miała na talerzu takie jedzenie jak dziś! albo: jak będziesz kiedyś w życiu głodna, to przypomnisz sobie tego oto mięsnego kotleta i zapłaczesz z żalu, że nim pogardziłaś! Każdy obiad wyglądał tak, że napychałam się do oporu kartoflami z surówką, tylko po to, żeby dostać w nagrodę batona. Po wszystkim było mi niedobrze z przejedzenia, ale oczywiście chciałam jeść tylko cukier i dla tej nagrody mogłam pochłonąć wszystko inne, byłam jak wielki żarłok z wagonu *Lokomotywy*, który zjada nawet fortepiany i słonie. Ktoś tak gruby, że mieszka w wagonie, a jego brzuch jest jak prostokąt, który wypełnia każdą lukę, żeby tylko móc jeszcze więcej jeść. Na szczęście ja byłam tylko dzieckiem. Bez wysiłku mieściłam się w swoim pokoju. Miałam w nim nawet sporo wolnego miejsca. Mógłby ze mną mieszkać przynajmniej jeden mały kotek, a jeśli nie on, to może chociaż jeszcze kilka nowych książek, parę lalek z różowymi

włosami, kredek do rozcierania palcem albo więcej małych domów z kartonowych pudełek po butach, do których co prawda ja się nie mieściłam, ale wymyślone osoby już tak.

Wyobrażałam sobie, że jeśli jakoś to przetrwam, to w przyszłości zamieszkać sama i będę jadła już tylko pączki. Jednak bardziej prawdopodobna wydawała mi się śmierć w młodym wieku i że będę miała białą trumienkę, w której rodzice ułożą mnie jak laleczkę, a w kościele będzie mój wielki portret z czarną wstążką i wszyscy będą nade mną płakać. Myślałam o tym z pewną satysfakcją, bo miałam nadzieję, że po takiej tragedii wszystkie dzieci mogłyby jeść już tylko to, co zechcą, a ja stałabym się legendą i nauczano by o mnie w szkole, a może nawet miałabym jakąś szkołę swojego imienia – można by zabrać którąś papieżowi, bo on ma ich aż za dużo, nawet w porównaniu z klasykami literatury.

Nie lubię przeprowadzek. Zawsze, kiedy biorę w nich udział, mam poczucie, że moje życie zwiększa ciężar. Jest ciężkie jak cała planeta schowana do torebki na psa rasy chihuahua. To bardzo nieprzyjemne cielesne odczucie. Objawia się na przykład bólem rąk, takim jak od dźwigania, bo ze zdenerwowania napinam mięśnie, jakbym trzymała coś strasznie ciężkiego, trzymam to nawet przez sen i w sposób niewidzialny. Czasami rozpala mi się ogień w okolicach mostka i płoną mi żebra, a wtedy wiem, że się boję i że mogę tylko skierować oddech w to miejsce w ciele, gdzie jest pożar, bo nic innego mi nie pomoże. Albo czuję, że mrowią mnie całe nogi, i wtedy muszę podskakiwać, bo jest w moich stopach nagła sprężystość, taki impuls ruchu, można go zatrzymać, ale lepiej nie. Moje uczucia są bardzo fizyczne. Dzięki temu mogę się zorientować, że w ogóle je mam, bo nie zawsze wiem, czy rzeczywiście czuję się zmęczona, czy tylko myślę, że tak się czuję, czy może coś mi się wydaje. To stany prawie nie do odróżnienia, ale da się je rozpoznać w ciele. Mam na ścianie w kuchni miarkę, ale jeszcze lepszą miarką jest moja dziewczyna. Kiedy jestem w dobrym stanie, to cała się wydłużam i przerastam ją o głowę. Czasami mam ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Ale zdarza się,

że czuję się gorzej, a wtedy maleję i mogę się stać o dziesięć centymetrów krótsza, bo zmniejsza się wolna przestrzeń w moim brzuchu, przerwy pomiędzy kośćmi się kurczą, wszystko się kompresuje tak, że aż słyszę chrobot części, z których jestem poskładana, i jak pocierają się stawy.

Kiedyś śniło mi się, że moje ciało to puzzle i że układam je na stole, bo robię takie zadanie na zaliczenie do szkoły. To dobrze pokazuje, jak odczuwam swoje ciało: mnóstwo dziwnych kawałków, trudno z nimi żyć, trzeba się namęczyć, żeby je poukładać i żeby jakoś to razem wyglądało, żeby przypominało umowną postać w kształcie człowieka, bardzo dziwny rysunek ze wzoru. Nie czuję się z tym ciałem mocno związana, ale jestem mu wdzięczna za kilka rzeczy i mimo wszystko jest ono moim ulubionym domkiem. Niestety muszę też mieszkać w czymś większym od siebie. To uciążliwa konieczność. Ciągle muszę zmieniać mieszkania i żadne z nich nie jest na zawsze. Moim życiem nie kieruje los. Rządzą nim umowy najmu na czas nieokreślony zbyt drogich mieszkań w Warszawie, a te umowy rozwiązują się wraz z wdrożeniem planowanego od dawna remontu, w związku ze skokiem cen, przy okazji wyjazdów za granicę albo kłótni rodów, od których coś podnajmuję. To spora zależność, która sprawia, że w dorosłym życiu nigdy nie zdarzyło mi się mieszkać w jednym miejscu dłużej niż dwa lata, a zazwyczaj ten czas jest znacznie krótszy. Za każdym razem dostaję histerii na myśl o przeprowadzce, bo przeprowadzki niszczą moje wizje – jestem w nich poczciwą starą kobietą w polarze, która ma czarny portfel, a w szafkach kuchennych trzyma specjalne talerze dla gości, zawsze

na tej samej półce, i hoduje filodendrony tak przerośnięte, że wrosły korzeniami w dom, a ich doniczek nie można już wcale podnieść z parapetu. Tymczasem moje kwiaty gubią liście po każdej zmianie miejsca na oknie. Są takie jak ja. Niczego nie można z tym zrobić, można tylko być nieskończenie cierpliwym. Ale dzięki ciągłym przeprowadzkom przynajmniej mam wiele przygód. Nie wiem, czy je lubię. Można powiedzieć, że są ciasne, ale własne, czyli mam je na zawsze. To jednak przyjemne uczucie i nieczęste w tych czasach. Do niewielu rzeczy poza opowieściami można się przywiązywać. Nawet ciało jest tymczasowe. Dlatego też w ogóle nie jest mi go żal ani go nie oszczędzam. Jestem wielką chwilówką. Coraz mniej się nastawiam na tę marzoną starość w polarze. Ostatnio jestem stara tu i teraz, bo nie chcę stracić tego etapu. Kupiłam sobie piękny polar. W sklepie z używaną odzieżą w Wałbrzychu, kosztował piętnaście złotych w dniu promocji. Nabyłam go w trakcie krótkiej wizyty, a od tamtej pory nie chcę mieć żadnych innych ubrań i chętnie wszystkie bym wyrzuciła. To zawsze działa tak samo, przywiązuję się bezgranicznie, bez względu na to, czy chodzi o ubranie, czy o dom, bo to one ubrania i domy – wyznaczają w moim pojęciu granice ciała, tak że kończę się i zaczynam tam, gdzie one, wlewam się do środka. Gdy jest mało miejsca, to jestem koncentratem siebie, a kiedy jest przestrzennie, rozmywam się w niewyraźne kałuże porozrzucane tu i tam. Lubię nosić ciągle to samo i mieć mniej, ponieważ dzięki temu tak bardzo nie znikam, a w tym mam i tak łatwość. Wygodniej jest też się przeprowadzać, szybciej można zebrać się do kartonu, nie

trzeba się rozdrabniać ani długo pakować. Pewnie byłoby świetnie, gdybym z całego dobytku miała tylko jeden polar w różowe trójkąty i fioletowe pasy oraz gdyby był to styl wystarczająco popularny, żeby się tego nie wstydzić i nie żałować. Myślę, że żyłoby się wtedy o wiele łatwiej, z mniejszą męką. Miałabym więcej siebie w sobie – jak w pomidorach do zupy. Czy to jest jasne? Oby.

Najkrótszy najem w moim życiu trwał trzy tygodnie. Mieszkałam wtedy na zapleczu zakładu pogrzebowego Florian, naprzeciwko pewnego kościoła na Pradze-Północ. Znalazłam ten lokal na Gumtree. W ogłoszeniu było napisane, że tak naprawdę to nie jest mieszkanie, tylko okręt, więc wprowadziłam się z ciekawości. Miałam trzech współlokatorów. Wszyscy byli narkomanami i artystami. Podobało mi się, że mieszkam w takim towarzystwie, bo wreszcie czułam się młoda. Mieliśmy dla siebie tylko jedno pomieszczenie, a w nim dwie antresole z materacami i jedną rozkładaną kanapę na dole. Być może było nas za dużo, ale nadal było drogo. Wymyśliłam wtedy książkę kucharską. Miały się w niej znaleźć przepisy na proste i pożywne potrawy, które można ugotować w czajniku elektrycznym. Niestety nie zdążyłam jej wydać i ktoś zrobił to za mnie, pomysł jest więc stracony, przynajmniej w Ameryce. Nie było tam centralnego ogrzewania, tylko mały grzejnik olejowy na prąd. Wychodziło to drogo. Nie było tam gazu ani kuchenki, zresztą nie było na nią miejsca. Przyrządzałam wiele dań w termosie. Zalewałam w nim wrzątkiem kaszę albo ryż i czekałam kilka godzin. Robiłam też kluski na parze w czajniku elektrycznym na

kawałku bandaża umocowanym recepturką i jadłam mnóstwo kanapek z najtańszym pasztetem wegetariańskim ze sklepu spożywczego obok baru Rusałka. Pieczywo ciągle ktoś mi wyjadał, mogli to być przypadkowi przechodnie, bo było ich wielu. Przez kilka dni nie szło zamknąć drzwi oddzielających nas od klatki schodowej. Zablokował się zamek, a na naprawę nie było pieniędzy. Czasami nocą ktoś uchylał drzwi do mieszkania. Wtedy zaczynał szczeekać mój złoty pies, a dla lepszego efektu oraz po to, żeby dodać psu odwagi, szczeekałam razem z nim i byłam psem najlepiej, jak potrafiłam. Nikt nie odważył się wejść do środka. Nie wiem, co by było, gdyby jednak wszedł. Chyba rzuciłabym z antresoli książkami.

Żeby znaleźć sobie dom, trzeba się okropnie namęczyć. Należy bez końca przeglądać ogłoszenia z ofertami na Gumtree i Otodom. Spędzać całe godziny na szukaniu i z każdym przeczytanym ogłoszeniem tracić wiarę, że to się kiedyś skończy. Brnąć przez podstrony pełne zdjęć wypełnionych bagażem meblościanek, sedesów w cętki linoleów, książek dla ocieplenia wizerunku i sprzętu AGD o standardzie Ikea albo PRL, ale częściej to drugie, zwłaszcza kiedy filtrowanie zaczyna się od kategorii „najtańsze”. Ogłoszeniodawcy zazwyczaj piszą o tym, że szukają miłej, pracującej i wypłacalnej dziewczyny. Czytając te słowa, wiem już, że się nie nadaję. Brak pracy nie jest moim sprzymierzeńcem. Jeśli dodatkowo nie ma się dobrego internetu, oferty trzeba przeglądać w poczekalniach dworców, gdzie zazwyczaj jest darmowe wi-fi i trzeba tylko logować się od nowa co godzinę, ale komu to przeszkadza? To dobre

narzędzie pomiaru czasu i przywracania kontaktu z otoczeniem.

Dworce PKP do niczego nie zobowiązują i można tam trwać w bezruchu. Można też usiąść za darmo na fotelach dla podróżnych albo wysikać się za dwa i pół złotego, chociaż to akurat strasznie drogo, bo sikania przecież nie da się uniknąć. W przerwach od szukania domu jest gdzie zjeść hamburgera – nawet w wersji wegan i z pikantnym sosem amerykańskim z Chin. Dla relaksu można rysować gołębie w zeszycie z wynotowanymi adresami i numerami telefonów, pod które wstyd zadzwonić, oraz słuchać komunikatów o porzuconych bagażach. Można też zażywać zdrowych porcji ruchu, jeżdżąc po ruchomych schodach w górę i w dół, a dla higieny umysłowej można zrobić sobie miłą przerwę od sieci i dla odmiany przeczytać coś na papierze, na przykład nagłówki dzienników w witrynie kiosku Ruchu. Nagłówki są za darmo i wszystkiego można się dowiedzieć. Na dworcu jest mnóstwo możliwości spędzania wolnego czasu i zużycia całego beznadziejnego dnia z życia. Taka przestrzeń to właściwie oksymoron domu i antyteza miejsca. Wydaje mi się, że jest to idealna sceneria do przeglądania ogłoszeń w sprawie najmu. Atmosfera skutecznie obniża oczekiwania, tak że łatwo się tam zdecydować na cokolwiek, a to duży plus. Na dworcach skutecznie szuka się tego, co z założenia ma być na stałe, chociaż wiadomo, że nic nigdy takie nie jest. Szukając domu, staram się jednak o tym nie pamiętać. Czasami w trakcie tych poszukiwań kupuję przez internet złotą narzutę na przyszłe łóżko albo pluszowe koce i świece o zapachu piżma. Nawet jeśli nie

mam gdzie mieszkać, czuję się dzięki temu jakoś urządzona i od razu jest mi trochę przyjemniej.

Najdłuższy czas najmu w moim życiu trwał rok i dziewięć miesięcy. Zawsze, kiedy się wyprowadzam, wyobrażam sobie dzidziusia, który mógłby urodzić się na początku okresu najmu, i myślę sobie o tym, jak duży byłby przy mojej wyprowadzce. W tym mieszkaniu chyba umiałby już chodzić, a może i grać w szachy. (To mój wstydlivy sekret, ale lubię, kiedy czas to konkret, inaczej czuję się w nim zagubiona i nie umiem odczuwać go bez plastycznej ilustracji w środku głowy). Wynajmowałam niewielką kawalerkę przy Łukach Małych. Mieściła się w kamienicy z dzikim ogrodem. Miałam miłych sąsiadów z parteru, którzy byli rzeźbiarzami i hodowali kury. Trzymali je w domu, bo byli z nimi mocno związani, a w ogrodzie nie było miejsca. Na naszym podwórku zawsze rosła trawa sięgająca prawie po szyję i był tam upiorny suchy pień zmarłego drzewa, na który miałam widok z okna. Jednej nocy ktoś zrobił nam niespodziankę i skosił trawę na krótko przy ziemi. Później właściciel mieszkania starał się nas przekonać, że to prezent od krasnoludków. Był taki poczciwy, że nazywaliśmy go Wujkiem. To było jego tajne imię. Pracował jako konduktor, a że mieszkaliśmy zaraz obok stacji kolejowej, to czuliśmy się wtedy bardzo bezpiecznie, jeżdżąc bez biletów. Wyobrażaliśmy sobie, że jeśli przyłapie nas Wujek, to jakoś się z nim dogadamy i w najgorszym razie kiedyś zapłacimy tę karę razem z załegłym czynszem. Do mieszkania z trudem znajdował chętnych. Podobno raz mieszkała u niego rusałka, ale zapomniałam już, dlaczego sąsiedzi tak o niej mówili.

Szybko okazało się, że w domu są duchy. Najwyraźniej mam do nich szczęście. Przede mną kawalerkę wynajmował chłopak, który umarł nagle w swoim łóżku – a więc także w moim. Okoliczności śmierci nie były do końca jasne. Nie przeprowadzono sekcji zwłok. Podobno od dziecka chorował, a miał już trzydzieści lat, a więc jego rodzice uznali, że i tak żył długo, i nie byli ciekawi, co mu się stało. Przez pierwsze miesiące w domu niespodziewanie włączało się radio lub zaczynała się lać woda pod prysznicem, a nocą słyszano się kroki i ruch bujanego fotela z ratanu, który był jednym z nielicznych mebli w naszym salonie. Postanowiłam, że spać w ogrodzie wersalkę, która była na wyposażeniu mieszkania. To moja sprawdzona metoda spirytystyczna. Kontrolowany pożar błyskawicznie pochłonął siedzisko i zostawił z łóżka same sprężyny. Dzięki rytualnemu spalaniu wszystkie dziwne zjawiska natychmiast ustały i można było mieszkać spokojnie. Przynajmniej do czasu, aż któregoś dnia w piwnicy zaczęliśmy prowadzić sąsiedzkie prace odkrywkowe. Teraz wiadomo już, że lepiej było się przed tym powstrzymać, ale wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, na co możemy się natknąć i jak zgubne może to mieć konsekwencje dla psychiki uczestników zabawy. Urządziliśmy sobie święto wiosny. Był ciepły dzień. Zaprosiliśmy do pomocy gości, żebyśmy nie musieli pracować sami. Chcieliśmy zorganizować w piwnicy pracownię fryzjerską, minikino pod kozami oraz małą salę koncertową, w której można by grać muzykę na żywo i tańczyć. Było nam smutno, że w budynku marnuje się taka wspaniała przestrzeń, podczas gdy ceny lokali na rynku mieszkaniowym skakały w górę, a więc nasz

plan wydawał się genialny. W myśl zasady, że miejsca to zasoby, które nie powinny się marnować i stać puste, mieliśmy wiele pomysłów na to, jak zaadaptować podziemia domu. Zaczęliśmy masowo wynosić z piwnicy niepotrzebne sprzęty i sprzedawać je przez internet albo wystawiać na ulicę: sterty książek Agathy Christie i brzydkich obrazków szybko znajdowały nowych właścicieli w drugim obiegu. Niestety przy okazji wyszło na jaw, że pod nadpaloną wykładziną i spróchniałymi deskami podłogowymi była ziemia, coś w rodzaju klepiska. Wydało nam się to dosyć dziwne, tym bardziej że podłoga była czarna od sadzy i wyraźnie nadpalona. Wyglądało to tak, jakby ktoś palił w piwnicy małe ognisko. Przez ciekawość rozkopaliśmy ziemię i okazało się, że znajdują się w niej ludzkie kości. Nie wiedzieliśmy, co dalej, więc zapraszaliśmy do domu jeszcze więcej gości, funkcjonowało to jak małe muzeum. Przychodziły do nas koleżanki z koła kryminalistyki sądowej Uniwersytetu Warszawskiego oraz osoby ze zdolnościami medium, a nawet jedna dziewczyna z wahadelkiem, która orzekła, że z pewnością są to kości dziecka. Radziliśmy się różnych osób, co zrobić z takim odkryciem, ale nie mieliśmy zbyt wielu możliwości, ponieważ oficjalnie byliśmy tam nielegalni i nie dysponowaliśmy nawet umową najmu. To prawdziwa historia. Właściciel budynku powiedział nam, że nie ma sensu nigdzie tego zgłaszać, bo na pewno są to kości przedwojennych zwierząt. Nie dyskutowaliśmy z tym stwierdzeniem, bo też nikt z nas nie miał ochoty na wyprowadzkę. Gdy mieszkaliśmy u Wujka w promocyjnej cenie, gratis mogliśmy korzystać z ogrodu, urządzać ogniska i podpalać

niektóre meble, a więc była to dobra oferta i szkoda było z niej zrezygnować. Podobno niedawno dom został zburzony. Wujek kupił sobie apartament. Miał już dosyć starego budownictwa i chciał w końcu zażyć luksusu nowoczesności na strzeżonym osiedlu.

Czy to możliwe, że to wszystko wydarzyło się naprawdę? Trudno powiedzieć. Chcę pisać prawdę i tego jestem pewna. Ale często coś sobie wyobrażam albo koloryzuję, żeby sprawdzić, jak coś będzie wyglądało w nowych kolorach, to jak jednorazowa saszetka z szamponem, którą jednak ciężko spuścić. Mam też taką przypadłość, że jestem gotowa uwierzyć w to, co wymyślam, i to do tego stopnia, że zapominam, co wymyśliłam, a co jest prawdą. Przygody, które przeżywam w myślach, są na tyle wyraźne, że w końcu stają się doświadczeniem z przeszłości. Czasami zapominam też, czy ktoś inny coś powiedział, czy to były moje słowa, ponieważ pamiętam tylko ich brzmienie, a źródło dźwięku mi umyka. Moja dziewczyna zrobiła mi wczoraj aferę, bo napisałam na Instagramie, że mówię o kolorze swoich okularów „słony karmel”. Była zła, ponieważ podobno były to jej słowa, a ja wymyśliłam całkiem inną nazwę koloru, przywłaszczyłam sobie jej „słony karmel”. Oczywiście nie wiem, jak go sama nazwałam, ale miks cukru z masłem bardzo mi podpasował. Zabrział jak mój własny, a więc łatwo przejęłam to określenie i wchłonęłam karmel do swojego języka. Pamięć jest nie do opanowania! To rozmyta materia, bardzo trudna. Możliwe, że ona jest ciecżą. Czymś w rodzaju czerwonej oranżady Helena. Musuje i wybucha od potrząsania, zwłaszcza po noszeniu przez cały dzień w plecaku.

Ale jest bardzo smaczna. Mój wydawca wysłał mi wiadomość z pytaniem, czy ta powieść jest *non-fiction*. Odpisałam mu, że chętnie, może być. Prawdę mówiąc, sama nie wierzę do końca w to, co mnie spotyka. Dzieje się to naprawdę, a jednocześnie ciągle myślę: nie, to niemożliwe, to chyba jakiś żart! Świat wyjątkowo dużo ze mnie żartuje. Jest pod tym względem taki sam jak mój ojciec. A jednak jakoś wciąż ze sobą wytrzymujemy. Wydaje mi się, że znacznie częściej mieszkam w wyobraźni niż w rzeczywistości. Ale nie ma tu jasnej granicy. Jest mgiełka. Mój świat składa się głównie z odczuć, ale nie zawsze wiem, czy czuję je naprawdę i jak mogę to poznać. Czasami wydaje mi się, że zniknęłam. Wtedy w myślach zwijam się w piłeczkę pingpongową i turlam się po podłodze. Dzięki temu jest mi trochę lepiej, bo jestem jakby bliżej swojego ciała i znowu czuję jego kontury, mimo że robię to tylko w myślach. Czy to jest cecha autystyczna?

Zanim wyniosłam się z Łuków Małych, strasznie pokłóciłam się z jedną współlokatorką. Atmosfera się zepsuła i było to zbyt męczące. Nie chciałam się dłużej upierać – chociaż to ja zamieszkałam tam jako pierwsza i to współlokatorka wprowadziła się do mnie, ale kiedy zaczęłyśmy się kłócić, przekonywała mnie, że lepiej będzie, gdy to ja się wyniosę, bo mi łatwiej będzie znaleźć nowe mieszkanie. Nie umiałyśmy same tego rozwikłać, nocą przyszedł więc do naszej kuchni Wujek, by zrobić sąd najwyższy. Zapewniał, że bardzo nas lubi i że jest mu przykro, że się kłócimy. Zaproponował, żebyśmy ciągnęły zapałki – wyprowadzi się ta z nas, która wyciągnie krótką. Nie miałam lepszego

pomysłu. Może zapalki były moim ostatnim kołem ratunkowym. Dziewczyna, z którą dzieliłam wtedy mieszkanie, też chętnie się na to zgodziła. Powiedziała, że nie ma problemu i że może ciągnąć zapalki, ale i tak się nie wyprowadzi. W akcie desperacji postanowiłam, że opuszczę dom z własnej woli.

W kłótniach jestem bezbronna i radykalna. Zazwyczaj zastygam z kamienną twarzą. Staram się mówić językiem żyrafy, ale to wywołuje jeszcze większą agresję w osobach, z którymi się kłócę. Kiedyś myślałam, że z książek nauczę się, jak rozmawiać z ludźmi i co im mówić, i już nigdy nie znajdę się w sytuacji konfliktowej, wszyscy będą mnie lubić i wreszcie będzie łatwo. NIE JEST. Kiedy tylko ktoś podnosi głos, zastygam i boję się, a chwilę później zaczynam wymiotować i czuję się fizycznie chora. Cały dzień leżę w łóżku i lecę się wielogodzinnym snem. To wyniszczające i pochłaniające wiele energii. Kiedy sytuacja staje się napięta, profilaktycznie staram się więc zniknąć. Wychożę do pokoju i idę spać. Chcę przeczekać do momentu, aż znowu będzie bezpiecznie. Niestety nie zawsze jest to możliwe. Czasami trzeba zniknąć bardziej i wtedy może być konieczna przeprowadzka.

To też pewien rodzaj szybkiego, chociaż zawsze bolesnego zniknięcia. Pamiętam, że na pożegnanie z tamtym domem przez OLX sprzedałam łóżko współlokatorki. Wystawiłam je za symboliczną złotówkę, bo zależało mi na czasie. Ktoś przyjechał zabrać je samochodem osobowym jeszcze tej samej nocy. Przywiązaliśmy mebel do auta starą pończochą, bo nie mieliśmy żadnej liny, a to musiała być

szybka akcja. Dzięki temu małemu zwycięstwu podczas przeprowadzki było mi trochę mniej przykro.

W życiu zwykle czuję się strasznym przegrywem. Bez względu na to, jak mi się układa, ciągle zdaje mi się, że coś jest nie tak, i mam w sobie niepokój i ciągłą gotowość, żeby w razie czego zerwać się do ucieczki do lasu. Tak naprawdę jestem sarną. Raz byłam u hipnotyzera. Zrobiłam to z ciekawości. Byłam trochę sceptyczna, ale po dłuższym czasie udało mi się wejść w stan, w którym widziałam obok siebie sarnę. Rozpłakałam się na jej widok. Hipnotyzer zapytał mnie, jak ta sarna się nazywa. Wtedy wszystko zniknęło. Zdenerwowałam się i powiedziałam, że ona po prostu nazywała się sarna. Nigdy więcej tam nie wróciłam.

Pewien znany reżyser ukradł mi pomysł i zrobił spektakl, w którym z sufitu jest spuszczana na linach złota sarna. Zamierzenie było takie: wszystko należy podać w wątpliwość, widz przedstawienia nie może ufać samemu sobie i nie wie, czy ulega zbiorowej halucynacji, czy naprawdę doświadcza kontaktu z dziwnymi zwierzętami spuszczanymi na linach z nieba. Nie dogadaliśmy się, nic z tego nie wyszło, szybko skończyła się nasza współpraca, właściwie jak każda, ponieważ nie mam kompetencji potrzebnych do rozwiązywania sporów. Kiedy się pokłócę, to zazwyczaj raz na zawsze. Każda kłótnia to wielki koniec. Każdy, kto kiedykolwiek poważnie na mnie nakrzyczy, jest dla mnie straconą osobą, ponieważ później już nieustannie czuję się zagrożona. Nie umiem naprawiać relacji ani przechodzić w nich do normalności prosto z wielkiej awantury. Nie wiem, jak miałyby to wyglądać. Kiedy ktoś płacze, wymyślam sposoby,

jak to zatrzymać. Brakuje mi umiejętności, które podobno nazywają się „miękkie”, ale też wierzę w to, że najlepsze rzeczy – nawet w relacjach – to te, które są kruche i chrupiące, wyglądają trochę ryzykownie, ale też zawsze są takie same i bardzo transparentne. W najgorszym razie relacje nagle pękają i idę wtedy w nowe. Chyba że ktoś inny jest gotowy pomóc, wziąć na siebie większą część pracy. Ja nie mam najlepszych narzędzi. Jedyne, jakimi dysponuję, to wkrętarka, szlifierka mimośrodowa, wyrzynarka i blender. W kontaktach międzyludzkich są one właściwie bezużyteczne, chociaż to ostatnie przydaje się trochę do okazywania miłości, która dla mnie polega na tym, że robi się komuś naleśniki na śniadanie. W tym jestem bardzo dobra. Jak autystyczna Mama Muminka z jednym prostym zadaniem i ciągle w tym samym ubraniu, chociaż ma torebkę, w której na pewno jest mnóstwo pieniędzy i mogłaby za nie kupować na AliExpress różne modne szmaty, i zapychać nimi szafę w niebieskim domu z latarnią. Na szczęście robię dobre pierwsze wrażenie i mam miły głos. Dzięki temu wiele osób chce się ze mną przyjaźnić z daleka, nie podchodząc zbyt blisko do sarny. Mam nadzieję, że jest to jasne jak złoto. Nie do końca umiem tłumaczyć, ale ciągle staram się mówić ludzką mową. Kiedyś używałam tylko słowa „nie”. Trwało to chyba pół roku. Teraz mówię trochę więcej, ale nadal nie mam w tym wielkiej wprawy. Co innego w pisaniu.

Kiedyś strasznie chciałam mieć kotka. Było to moje życzenie numer jeden, najważniejsze na bardzo krótkiej liście marzeń. Matka oczywiście się nie zgodziła. Wmówiła mi alergię, której nie miałam, a przynajmniej nie była ona na tyle silna, żebym umarła od skradania się na spacerach do bezdomnych kociaków i od przebywania w cudzych mieszkaniach, w których żyły te lub inne zwierzęta. Wiedziałam już wtedy, że moje szczęście jest jej obojętne, w ogóle się nie liczy, ważne są tylko zakazy i zasady. Matka przekonywała mnie, że gdybym miała kota, na pewno byłby z nami strasznie nieszczęśliwy i zdechłby z żalu. Mówiła mi, że są to zwierzęta, które wolą żyć na wolności, spać w piwnicach i polować na myszy oraz że są samotnikami nienawidzącymi ludzi, a szczególnie dzieci. Byłam zrozpaczona. Mieszkaliśmy na małym osiedlu, gdzie w prawie każdym domu żył jakiś kotek. Każdemu współczułam, że nie należy do mnie, tylko męczy się z obcymi dziećmi, których na pewno nie lubi, bo te inne dzieci były głośne, wykonywały gwałtowne ruchy – zero delikatności. Ja byłabym o wiele lepsza dla każdego kotka. Moglibyśmy zostać prawdziwymi przyjaciółmi, bo z dziećmi to się nie udawało. Myślałam, że moje nazwisko do tego właśnie zobowiązuje, że nie mogę

żyć sama, tylko z jakimś kotasem, a wtedy wszystko zacznie się jakoś układać, bo będzie to moja druga połówka, będziemy razem jak asy. Wyobrażałam sobie siebie i kotka jako parę z karcianej gry w wojnę. Z powodu zakazu trzymania zwierząt w domu byłam najniezwyklejszym dzieckiem na całej planecie Garwolin. Czułam, że nigdy niczego nie wygram, ponieważ nie jestem kompletną osobą, nie mogę być sobą do końca, bo moja drużyna wojenna była wybrażkowana. Wiadomo, że nie można być samemu w załodze na wielkiej wojnie.

Upatrywałam pewnej szansy na otrzymanie zwierzątka w szkolnych mikołajkach. Losowaliśmy na kartkach imię osoby, której trzeba kupić prezent za dziesięć złotych, i mówiliśmy, co chcemy dostać. Kiedy była moja kolej, powiedziałam, że chcę małego kotka. Chłopiec, który mnie wylosował, zaczął płakać. Powiedział, że to niemożliwe i że trafił najgorszą osobę z całej klasy, bo do szkoły nie wolno przynosić kotków i nie wiadomo nawet, skąd się je bierze zimą. Nauczycielka pocieszała go, mówiąc, że może mi kupić jakąś zabawkę i że na pewno nie miałam na myśli żywego zwierzątka. Oczywiście dostałam później mechanicznego pluszaka na baterie, który wydawał koszmarnie dźwięki. Był to najgorszy możliwy prezent i poczułam się mocno zawiedziona. Napisałam do Mikołaja list z pogróżkami i pretensjami. Zostawiłam go na parapecie w swoim pokoju, żeby elfy go znalazły i dostarczyły do fabryki. List zniknął jeszcze tej samej nocy. Żądałam w nim rekompensaty. Dostałam książki na temat hodowli. Później matka powiedziała mi, że kotki są drogie i że jeśli chcę jakiegoś kupić,

to muszę zbierać mnóstwo pieniędzy. Wiedziałam, że dam radę, bo miałam już w tym wprawę. Jeszcze zanim zaczęłam zerówkę, miałam zadatki na bizneswoman. W oszczędzaniu była dyscyplina, która mi odpowiadała. Czułam się zdeterminowana. Zamierzałam osiągnąć wszystko, co postanowię. To nigdy się nie zmieniło. Jest w tym pewna moc i jest mnóstwo naiwności, ale nigdy się nie poddaję, jeśli chcę coś zrealizować. Wiem, że wszystko, czego chcę, jest nieuniknione. To tylko kwestia czasu. Świat w końcu mi to da. Trzeba tylko trochę się postarać i trochę namęczyć się brakiem. Być może to jedyny skuteczny sposób na życie.

Zbieranie pieniędzy na kota trochę mi zajęło. Ojciec mówił, że jak już kupować, to najlepiej persa, bo nie ma doskonalszej rasy. Prawdopodobnie w ten sposób chciał jeszcze odwlec moment, w którym dostanę to, czego chcę. Nie znaliśmy żadnych persów, poza jednym, który mieszkał w naszym starym bloku. Ze względu na doświadczenia z przeszłości dałam się przekonać. Uznałam Księcia z osiedla za znak i kiedy o nim usłyszałam, postanowiłam czekać na kogoś podobnego. Gra na moich emocjach jest bardzo prosta. Łatwo się mną manipuluje, wystarczy dotknąć w odpowiednim miejscu, a zostają ślady w głowie i później wszystko robi się samo, jak w nakręcanym piasku. W międzyczasie znalazłam na ulicy czarnego kundla. Był brzydki i brudny. Bardzo mi się spodobał. Kiedy wbiegł na podwórko, siedziałam na drzewie czereśniowym u babci S. Zabrałam psa ze sobą i udawałam, że jest moim kotkiem. Nazywał się Pikaczu. Karmiłam go mlekiem z pokruszoną bułką, bo nie miałam pomysłu na lepsze jedzenie. Pies miał zakaz wstępu

do domu, ale mogłam bawić się z nim w ogródku, a nawet na tarasie i to już było coś. Przychodził do nas przez cały tydzień. Później nagle przestał się zjawiać, jakby się rozplynął. Być może ktoś zadzwonił do schroniska i doniósł, że wściekły czarny pies błąka się po osiedlu Działki i straszy dzieci. Chyba nawet wiem, kto mógł to zrobić. Rodzice mówili mi, że zapewne Pikaczu wrócił do swojej rodziny, która żyje gdzieś w lesie i za którą bardzo tęsknił. Chciałam zamieszkać razem z nimi w szałasie. Mielibyśmy dywany z mchu i dach z gałązek świerku, a do jedzenia moglibyśmy zbierać jagody, a nawet jajka dzikich ptaków i korę drzew, bo gotowana mogłaby być nawet smaczna. Ale chociaż jeździliśmy do lasu bardzo często, to nigdy nie spotkaliśmy tam nawet podobnego psa, psa, z którym mogłabym zostać w lesie na zawsze. Postanowiłam, że jeśli jeszcze kiedyś będę się opiekować jakimś zwierzątkiem, to nigdy nie pozwolę mu odejść i wszystko mu wynagrodzę. Było mi nieskończenie przykro. Nie miałam obok siebie żadnych innych bliskich osób niż psy.

W soboty jeździliśmy z ojcem na giełdę. Wstawałam wcześniej rano, było jeszcze ciemno. Zabierałam wszystkie pieniądze i ruszaliśmy w drogę. To były weekendowe wyprawy. Targ pełen był królików w klatkach, żywych i martwych. Było na nim mnóstwo kurczaków w różnym wieku i trochę świń, ludzie kupowali też dla nich paszę albo narzędzia gospodarcze, ale nigdy nie spotkaliśmy żadnego persa. Wracaliśmy do domu, a ja płakałam już do wieczora. Ojciec mówił, że może za tydzień się uda i że przynajmniej spróbowaliśmy, że było już bardzo blisko i że miał dobre

chęci. Matka patrzyła na mnie z obrzydzeniem za każdym razem, kiedy wybuchalam płaczem. Tak wyglądał prawie każdy weekend. Aż kiedyś znalazłam ogłoszenie w gazecie.

To były dziwne czasy, kiedy jeszcze zamieszczano informacje o sprzedaży kociąt w druku. Gazeta była stara, nie wiem, gdzie ją znalazłam, ale ukradłam cały numer i w domu wycięłam rubrykę ze zdjęciem. Był to czarno-biały kwadracik. Format miał nie większy niż obrazki z zapowiedziami filmów w „Tele Tygodniu”, ale i tak dostrzegłam na nim swojego kotka. Rodzice powiedzieli mi, że na pewno już tych persów nie ma i że to musi być fałszywe ogłoszenie, bo koty są w podejrzenie niskiej cenie. Udało mi się wymusić telefon pod wskazany numer, tylko dlatego, że nikt nie wierzył, że coś z tego będzie. Później rodzice nie mogli się już wymigać, bo podsłuchiłam rozmowę. Oddałam im wszystko, co miałam. Wybudowałam pod schodami wielkie miasto z kartonów, szyłam ręcznie poduszki ze swoich starych ubrań, robiłam zabawki z pustych butelek i wędki z pomponami, które odcinałam od czapek. Tylko tym się zajmowałam, więc w końcu nie dało się już dłużej odwlekać nieuniknionego. Ojciec przywiózł do domu kota. Był on moją najważniejszą osobą. Nigdy na nic nie czekałam bardziej. Myślałam wtedy, że nie ma na świecie wyższej formy piękna niż szylkretowa kotka z długą sierścią i z oczami małej sowy. Była miękka i miła. Nazywała się Rita. To imię czekało przez kilka lat, aż pojawi się u nas w domu, a to czekanie było jak ciąża trwająca prawie całe dzieciństwo. Rita spała ze mną w łóżku. W święta siedziała z nami przy stole i dostawała prezenty zapakowane w połyskliwy

papier z mikołajem, jak prawdziwe dziecko. Była ze mną na wszystkich zdjęciach z tamtego okresu. Czytałam jej książki i objaśniałam, jak działa świat. Raz zaszła w ciążę i okociła się na moich kolanach. Podobno była to najwyższa forma zaufania. Kochałam ją jeszcze bardziej. To prawda, że miałam w głowie głównie kota. Wszyscy się z tego śmiali. To nie była poważna przyjaciółka. Lepiej byłoby oglądać telewizję albo zająć się czymś pożytecznym, może pracą naukową albo rozwojem kariery.

Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i nigdzie jej nie było. Nie wróciła przez kilka następných dni. Ojciec powiedział mi, że matka oddała mojego kota koleżance z pracy. Podobno miała już nas dość i nie mogła na to patrzeć. Leżałam na podłodze w zamkniętej łazience i płakałam przez wiele godzin. Pamiętam brudny brązowy dywan przy wannie. Chciałam na nim umrzeć. Matka była wściekła z zazdrości. Krzyczała na mnie, że to tylko kot i że powinnam się wstydić, że tak się zachowuję, bo gdyby ona umarła, na pewno bym tak nie płakała. Nie wiem, czy miała rację, ale po wszystkim, co mi mówiła w dzieciństwie, łatwo było mi ją znienawidzić. Była zazdrosna o kota, ale też o wszystkie moje ulubione nauczycielki i o czas, w którym zamykałam się w pokoju, żeby czytać książki i z nikim nie rozmawiać. Jednocześnie nigdy mnie nie polubiła. Patrzyła na mnie i mówiła: Och, ale jesteś brzydka! To bardzo dziwny zestaw uczuć. Może gdyby urodziła mnie później, a nie w wieku niespełna dwudziestu lat, to wyglądałoby to inaczej. A tak zrujnowałam jej życie. Może byłoby lepiej, gdybym była później. Nie musiałyby w pośpiechu brać ślubu w pożyczonej

sukience, z Dorotą Kotas w brzuchu. Nie zazdrozczę jej tego doświadczenia, ale to przecież nie moja wina. Chciałam tylko spokoju. Po co było mnie rodzić, żeby mnie nie lubić? Czy gdybym była miła i zachowywała się mniej dziwnie, to byłabym jej ulubionym dzieckiem, czy wszystko i tak było stracone, bo byłam zbyt podobna do ojca? Na szczęście ojciec mnie lubił. Robił to w sposób szorstki i agresywny, ale prawda jest taka, że jeśli ja jestem w spektrum autyzmu, to on jest w nim na dwieście procent. Nie mam co do tego wątpliwości. Gdyby nie mój asperger, pewnie łatwo byłoby mi go nie lubić. Ale trochę ratuje sytuację to, że jesteśmy tacy sami. Tyle że on jest chłopcem, jest trochę starszy i nie znosi czytać książek, więc nigdy się o niczym nie dowie. Gdyby się dowiedział, niczego by to nie zmieniło. Zacząłby się tylko ze wszystkiego śmiać. Kiedy straciłam mojego kota, akurat przyjechała ciocia. Strasznie płakałam, głaskała mnie po plecach, było to trochę dziwne, nie wiedziałam, czy mam przestać, czy udać, że nic nie czuję. Przywiozła mi niebieski golf po swojej córce. Często dostawałam ubrania po kimś. Dzięki temu mogłam poczuć się jeszcze biedniejsza i jeszcze głośniej nad sobą płakać.

Pamiętam, że później miałam jeszcze inne zwierzęta. Łapałam myszy i trzymałam je potajemnie w akwarium. Rysowałam im na papierze tapetę, którą przyklejałam do tylnej szyby. Były na niej eleganckie różowe sofy i zasłony w kwiaty, żeby myszom w domu było miło. Miałam też jaszczurki i ropuchy, ale zawsze bardzo krótko, bo nie chciałam, żeby były smutne, i wypuszczałam je najpóźniej po kilku dniach. Moja kuzynka powiedziała mi, że jak nakarmię

żabę jabłkiem, to zrobi wtedy kupę i urodzi dzieci. Bardzo chciałam to zobaczyć, ale nigdy się nie udało. Miałam też sowę, którą ojciec przywiózł do domu w pudełku po butach, bo należał do towarzystwa ornitologicznego, a jej matka umarła, więc wzięliśmy ją na odchowanie. Karmiliśmy sowę surową rybą i nazwaliśmy ją Papuga. Siadała na ramieniu i można było chodzić tak z nią na spacer, wyglądało się wtedy jak pirat. Pewnego dnia ktoś ją złapał. Przeczytaliśmy o tym na portalu [grajdol.pl](http://grajdol.pl), który był najpopularniejszą stroną internetową naszego miasta. Był tam artykuł o tym, że na osiedlu domków jednorodzinnych odłowiono młodą sowę i że pogotowie z ekopatrolu odwiozło ją do lasu, co jest sukcesem jednostki. W lesie Papuga prawdopodobnie od razu umarła. Nigdy niczego nie upolowała sama. Kupowaliśmy jej jedzenie w Tesco, więc w lesie nie miała dużych szans na przetrwanie, bo nie było tam gdzie zrobić zakupów. Nie udało nam się jej znaleźć. Las był na to zbyt duży. Nie pamiętam, czy po niej płakałam, ale była to naprawdę poczciwa sowa. Byłam jej adopcyjną mamą, więc ona też była trochę człowiekiem. Łatwo było mi tak o niej myśleć – że jesteśmy praktycznie tym samym. Zwierzęta są dla mnie trochę jak ludzie. Tyle tylko, że są od nas lepsze. Ale nigdy nie przejmowałam się granicami gatunków ani granicami płci. W moim świecie wszystko jest bardzo płynne. Mało zwracam uwagę na takie rzeczy. Przy określaniu osoby – nieważne, czy to człowieka, czy sowy – na pierwszym miejscu ważności jest u mnie to, czy ta osoba jest miła i jak spędzamy razem czas. Czuję się połączona emocjonalnie ze wszystkimi psami, którym patrzę w oczy. Dobrze

rozumiem, co chcą powiedzieć. Czytanie z ich twarzy jest prostsze, więc porozumiewamy się skuteczniej niż ludzie. Gdybym mogła, to chyba wolałabym być psem niż sobą. Byłabym wtedy kimś łatwiejszym do rozumienia, nawet dla siebie. Mogłabym być śmiesznym brązowym pudlem, który wspina się po szczytach gór, a ludzie patrzyliby na mnie i mówiliby do siebie: Jezu, co to za dziwne zwierzę, to chyba mokry szczur! Byłabym jednak miła i każdy chciałby mnie dotknąć. Gdybym była sucha, leżałabym na fotelu albo skradałabym się do stołu, kiedy nikt nie patrzy, żeby wyjadać z talerzyka masło. Ktoś mógłby mnie trzymać na rękach, gdybym bała się w nocy ogniska. To by było dobre życie i chyba bym sobie z nim poradziła.

Niedługo później znowu zostałam matką. W moim domu pojawił się szary bocianek. Gniazdo, w którym była cała rodzina, zniszczyła burza. Jego rodzeństwo zawisło na drutach elektrycznych i wszyscy umarli. Bocian zamieszkał w naszym kurniku. Nazywał się Gerald. Zbierałam dla niego ślimaki w krzakach po drugiej stronie ulicy Słowackiego. Co cztery godziny wpychałam mu do dzioba dwa-dzieścia pięć sztuk, razem z domkami, z których robił później wypluwki w kształcie szarych mechatych kulek, które wyglądały jak małe myszki. Trzeba było łaskotać go po szyi, żeby je przełknął, bo sam nie do końca chciał jeść. Może wolałby inne jedzenie, ale nie udało się tego sprawdzić. Ślimaki trzymałam w wiaderku przykrytym deską. Czasami kupowaliśmy mu ryby. Potrafił połknąć w całości rybę, która była wielkości dłoni. Przez całe lato chodził po podwórku i próbował zakraść się do pompowanego

gumowego basenu dla dzieci. Może miał nadzieję sam coś złowić, ale nie było w nim nic, co mogłoby nadać się do jedzenia, tylko trochę brudu, więc był wyraźnie rozczarowany tym zbiornikiem wodnym. Nasi sąsiedzi nienawidzili Geralda. W tym samym roku, kiedy się pojawił, zrobili generalny remont i wymienili dach. Bocian latał nad ich domem i robił kupę na nowe dachówki – już od skrzyżowania z ulicą Kwiatową było na nich widać białe smugi z ptasiego gówna. Chętnie weszłabym tam, żeby je wyczyścić. Chodzenie po dachach było moim marzeniem, więc z przyjemnością zgodziłabym się na taki wolontariat, ale nie dostałam na to zgody. Kiedy przyszła jesień, bocian był jeszcze zbyt niesamodzielny, żeby odlecieć. Ojciec oddał go koledze, który miał dużą stodołę. Gerald miał u niego przezimować. Nigdy więcej go nie spotkałam, chociaż co roku miałam nadzieję, że do nas wróci. Podobno w nowym miejscu było mu lepiej niż ze mną. Do dziś nie wierzę, że to możliwe i że znalazł sobie lepszych przyjaciół, bo tak samo jak ja, nigdy nie był specjalnie towarzyski i nie miał zbyt wielu kolegów. Zazwyczaj siedział wysoko na dachu i srał ludziom na głowę albo na nowy dach. Miał duże poczucie humoru. Odkąd go poznałam, każdy bocian wydaje mi się trochę znajomy i nie boję się już żadnych ptaków, boję się tylko gołębi. Raz gołąb uderzył w okno naszego domu, w szybę, która była tak wielka, że widziało się przez nią wszechświat. Matka włożyła mi gołębia do torby i kazała iść z nim do sąsiada, który miał gołębnik. Sąsiad obejrzał ptaka, którego przerażona przyniosłam mu w torbie, powiedział, że to nie jego, i zamknął drzwi. Nie wiedziałam,

co robić. Chyba za chwilę umarł. Sąsiad trochę później, ale chyba też. Kiedy widzę gołębie, boję się, że stanie się coś strasznego i że mogą na mnie wpaść przez nieuwagę, że mogą się zabić, a ja będę przyczyną ich śmierci jak wielka szyba z salonu na Działkach. Bardzo bym tego nie chciała, dlatego się boję.

Ojciec dostarczał mi te wszystkie zwierzęta, znalezione na szosie albo odebrane od ludzi, którzy zgłosili się do niego po pomoc, bo znaleźli młode i nie wiedzieli, co robić. Chyba chciał, żebym miała jakiegokolwiek zajęcie. Było też widać, że jestem dobrą mamą. Strasznie starałam się robić wszystko najlepiej i łatwo kochałam wszystkie porzucone leśne dzieci. Robiłam dla nich wszystko, co trzeba. To były dobre zadania, a ich efekty bardzo wyraźne. Mogłam się poczuć silna i ważna, ponieważ umiałam je odchowić i się o nie zatroszczyć, kiedy tylko mi pozwolono. W jedne wakacje pojawił się mały dzik. Ojciec przyniósł mi go w nocy na rękach. Był dziewczyną, nazywał się Zdzisława i na początku był tylko trochę większy od chomika. Zajmowałam się nim przez całe lato. Jego prawdziwi rodzice zmarli w niewyjaśnionych okolicznościach. Początkowo co cztery godziny, nawet w nocy, wstawałam, żeby butelką ze smoczkiem nakarmić dzika specjalnym mlekiem dla szczeniąt. Kiedy trochę podrośł i był już silniejszy, zrobiłam mu miseczkę z porcelanowej popielniczki dla gości i dodawałam do mleka dla szczeniąt garść granulatu dla prosiąt. Zdzisława wyrosła dzięki temu na imponującego prosiaka. Była coraz silniejsza. Bały się jej nawet psy myśliwskie ojca. Kiedy ktoś przychodził na podwórko, wkładała mu nos do

kieszeni i sprawdzała, czy są tam jakieś przysmaki. Miała szorstką sierść i kochała drapanie. Ona też została oddana. Rzekomo u nas nie było gdzie trzymać takiego dużego dzika, mimo że mieliśmy spore podwórko i jeszcze większy dom, a ja chętnie podzieliłabym się pokojem, mogłabym go nawet oddać i zamieszkać w kotłowni. Oczywiście nikt nie wziął tego pod uwagę. Mam tylko nadzieję, że nikt nie zjadł Zdzisławy i że rodzice nie okłamali mnie, opowiadając, że trafiła do agroturystyki. Tęskniłam za nią, ale nigdy nie zgodzili się, żeby odwiedzić ją w nowym domu.

Później w naszym garażu mieszkała sarna, ale tylko przez dwa dni. Została znaleziona na drodze po potrąceniu przez auto. Była tak poturbowana, że weterynarz zdecydował się amputować jej zmiażdżoną nogę. Miała najczarniejsze oczy ze wszystkich oczu, jakie widziałam. Przychodziłam tam rzadko, żeby się nie bała, ale ciągle szukałam pretekstów, żeby pójść po coś do garażu. Sarna leżała na słomie, aż w końcu umarła. Nastąpiło to bardzo szybko. Była u nas tylko przez tyle czasu, żeby ją zapamiętać i żeby wiedzieć, jakie miała oczy.

Zwierzęta zawsze pojawiały się znienacka. Mój ojciec mógł je przynosić bez ograniczeń. Miał w tym trochę większą swobodę ode mnie. Ja ze wszystkimi się przyjaźniłam, ale zwierzęta, które sprowadzał do domu, były jednak bardziej jego niż moje. Mogłam ich trochę doglądać, ale nigdy nie mogłam zdecydować, co się z nimi stanie. Żadne nie mogło mieszkać w domu i praktycznie nigdy nie zostawały na dłużej niż letni kwartał. Strasznie chciałam mieć coś lub kogoś na zawsze. Koty bardzo długo były dla

mnie zakazane, więc miałam zapas miłości w wewnętrznej spiżarni i nie bardzo wiedziałam, co mogę z nią zrobić. Z dozwolonych i typowych zwierząt domowych dostałam kiedyś chomika. Miał na imię Poli. Był rekompensatą za to, że nie mogłam pójść na bal karnawałowy w zerówce, bo ciężko rozchorowałam się na ospę. Chyba wszyscy bali się, że mogę umrzeć, dlatego starali się jakoś mnie zmotywować. Poli zniknął któregoś dnia, niedługo po tym, jak wyzdrowiałam. Matka przekonywała, że na pewno uciekł i że chyba był chory na ospę, bo zaraził się, kiedy ja chorowałam, więc to nawet lepiej, że już go nie ma. Dostałam też papugi. Jedną z nich matka wypuściła z klatki, nie pamiętam dlaczego, a pozostałą parkę wyniosła na balkon. Tłumaczyła nam, że nie wolno trzymać w domu zwierząt, bo mamy uczulenie i dostaniemy gruźlicy od pyłu, który papugi wzniesają, machając skrzydłami, a na starość jeszcze jej za to podziękujemy. Na balkonie do klatki zakradał się kot z sąsiedztwa. Kot rozerwał pazurem jednej papudze podgardle. Miała później dziurę w szyi, ale matka nadal nie pozwalała wnieść ich klatki do domu i mówiła, że jest im lepiej na tarasie, bo mają tam lepsze widoki. Któregoś dnia zniknęły. Raz zgodziła się też na psa, ale pod warunkiem że będzie mieszkał w budzie na zewnątrz. Był szczeniakiem, nazywał się Reksio i odprowadzał mnie do szkoły aż na przystanek. Kiedy spadłam ze schodów i rozciąłam sobie brodę, lizał mnie po twarzy. Był jeszcze bardzo mały, trochę większy od mojej blizny. Jednego dnia podobno przejechał go samochód. Był u nas bardzo krótko, ale chyba zdążył dorosnąć, przynajmniej tyle.

W tym czasie ja dorosłam. Byłam już chyba w liceum, kiedy umówiłam się z kolegą z klasy, że dostanę od niego kota, bo akurat okociła się jego kotka. Przyjechał do mnie ze swoją matką i przywieźli Bruna. Był szary i pręgowany. Nie pamiętam, czy moja matka się na to zgodziła. Na pewno nie była zachwycona. Kiedy kotek podrosł, ktoś go otruł. Usłyszałam z mojego pokoju przeraźliwe jęczenie przed domem. Pobiegłam na dwór. Kotek był cały sztywny. Nie wiedziałam, co robić. Ciocia z drugiej części domu zawiozła nas do weterynarza. Lekarz zrobił kotu zastrzyk, żeby się nie męczył, bo nic więcej nie można było już zrobić. Umarł mi na rękach. Nadal nie wiedziałam, co robić. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. To była pierwsza śmierć, jaką przeżyłam. Ciocia przywiozła nas do domu. Grzecznie jej podziękowałam za tę przysługę. Usiadłam na schodach przy drzwiach i płakałam przez wiele godzin. Z ciała Bruna wypłynęły brązowe płyny. Później weszłam do domu, a matka przyszła już z pracy i zrobiła mi straszną awanturę, że ubrudziłam spodnie i nadają się już tylko do wyrzucenia, bo to się na pewno nie dopierze. Pamiętam też, jak umarł jeden z psów mojego ojca, z tych, które były trenowane do polowań i mieszkały w zamkniętych kojcach. Pies padł i leżał na ziemi przy furtce, a inne psy po nim chodziły, bo przechodziłam obok ogrodzenia i wszystkie chciały, żeby je pogłaskać. Szczękały na mnie za płotem. Żaden nie patrzył, że depcze martwą Arietę, psa rasy seter szkocki gordon. To był mój ulubiony pies.

Mieliśmy jeszcze trzeciego kota i ten był już ostatni. Był maleńki, dopiero co pojawił się w domu, chyba też go

od kogoś dostałam albo ukradłam. Odrabiałam w pokoju lekcje i usłyszałam jego przeraźliwy krzyk. Zeszłam na dół, a matka powiedziała, że kotek niestety wymknął się między nogami, jak sprawdzała, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte na noc, i dlatego zagryzły go psy ojca, które przypadkiem były wypuszczone z kojców, to wszystko jego wina. Później wszystkich nienawidziłam i poczułam się tak, jakbym wielokrotnie umarła. Osiągnęłam w umieraniu wielką wprawę. Czułam, że nic nie znaczę i że nie mogę mieć nikogo dla siebie, a przynajmniej nie w domu, a jeśli w ogóle, to tylko w ukryciu. Dorośli mieli nade mną wielką władzę. Nie wiem, czym sobie na nią zasłużyli, bo sam fakt bycia starszym to jednak trochę mało. Myślałam, że może chodzi o pieniądze, że wystarczy mieć ich więcej niż inni i można już wtedy wszystkich lekceważyć. Dlatego przez chwilę chciałam jednak być biedna, ale po chwili znowu bogata. Wiedziałam, że jak dorosnę, będę potrzebować dużo pieniędzy, żeby nakarmić wszystkie swoje zwierzęta, i że będę dla nich najlepsza. Na pewno nigdy nie chciałam mieć dzieci, żeby ich nie zniszczyć, nawet przez nieuwagę.



## telewizja

Wszystkiego, co wiem o życiu, nauczyłam się z książek albo z telewizji. Kiedy byłam mała, z zaangażowaniem oglądałam serial *M jak miłość*. Był on moją największą szkołą życia. Staralam się nie przegapić żadnego odcinka. W tamtym czasie mieszkała z nami babcia Wanda. O Netflixie nikomu się jeszcze wtedy nie śniło. Wspinałam się wieczorami po schodach do pokoju babci. Po drodze śpiewałam piosenkę ze starej czołówki, w której z albumu wysypują się rodzinne fotografie, a Marek Mostowiak całuje Kaśkę w usta. Rok 2000, w którym serial emitowano trzy razy w tygodniu, był najszczęśliwszym rokiem mojego życia. Podobalo mi się, kiedy wszystkie ładne panie płakały, a później nagle były szczęśliwe, bo ktoś do nich zadzwonił, i szybko wkładały czerwone sukienki, żeby zjeść w nich kolację ze swoim pięknym chłopcem. Albo kiedy je zdradzano, a później pod dom podjeżdżał chłopiec, który przynosił kwiaty, i znowu mogli całować się w usta – to było naprawdę wzruszające. Lepsze niż w animacjach dla dzieci, bo działa się NAPRAWDĘ. Wiedziałam, że kiedy dorosnę, będę żyła tak, jak żyje się na kanale tvp2. Chciałam, żeby mój dom był Grabiną. Bardzo zależało mi na tym, aby upodobnić naszą werandę do tej, przez którą wchodziło się do domu Lucjana i Basi, w tym

celu zasadziłam nawet przy wejściu bluszcz, to znaczy wetknęłam w ziemię przypadkowe gałązki. W smutne poranki udawałam sama przed sobą, że nie idę do zerówki, tylko do mojej pracy w pubie. Chciałam też namówić rodziców, żeby adoptowali z sierocińca dodatkowe dziecko, które moglibyśmy nazwać Natałka. Niestety nic z tego nie wyszło. Nie było o nas żadnego serialu, więc nasze życie było trochę bez sensu. Dla mnie to był wielki zawód. Nikt o nas nie opowiadał w telewizji, a to znaczyło, że jesteśmy nieważni. Nie chciałam być nieważna.

Był taki moment, kiedy rodzina Mostowiaków była mi bliższa niż moja własna. Skrycie żywiłam urazę do moich biologicznych rodziców. Ciężko było mi się pogodzić z tym, że nie przypominają postaci z serialu, który chyba kochałam, wymyśliłam takie uczucie i ono mi się spodobało, bo serial też był o miłości, więc wszystko do siebie pasowało. Wypadało go kochać. Kiedy podczas gali Telekamer scenarzystka *M jak miłość* odbierała nagrodę za najwyższą oglądalność, biłam jej brawa i byłam wzruszona, to było jedno z pierwszych wzruszeń – wierzyłam, że świętujemy nasz wspólny sukces. Byłam wtedy przekonana, że w telewizji pracują ludzie liczący wszystkie powtórki, które oglądałam po obiedzie na deser, i że te właśnie osoby zapisują w specjalnym zeszycie, ile odcinków widziałam, a później sumują wszystko na kalkulatorach i wręczają za ten wynik puchar zwycięstwa. To była duża odpowiedzialność, więc sumienie oglądałam wszystkie sezony, a niektóre odcinki po kilka razy dla utrwalenia. Znałam ich przebieg na pamięć, żeby w razie potrzeby perfekcyjnie odwzorować zachowania

bohaterów. Myślałam, że znajomość *M jak miłość* pomoże mi radzić sobie z życiem, a że życie nigdy nie było moją mocną stroną, musiałam znaleźć sposób, żeby się z nim uporać. Chciałam wiedzieć, jak powinnam się zachowywać, kiedy lub jeśli dorosnę. Pomysł posługiwania się w przyszłości konwencją zaczerpniętą z telewizyjnego serialu wydawał mi się rewelacyjny i czułam się trochę bezpieczniej, bo miałam rozpracowany scenariusz, byłam do życia dobrze przygotowana, to się musiało udać.

Co tydzień wybierałam jedną osobę, na przykład tę, która w pierwszej scenie miała najfajniejsze moim zdaniem ubranie. Później przez cały odcinek udawałam, że to jestem ja. Płeć nie miała znaczenia. Często zmieniałam osoby i była w tym spora różnorodność. Dzięki temu w wieku sześciu lat zdążyłam zakochać się kilkadziesiąt razy. Zdradzałam przyjaciółkę z jej chłopakiem i żonę z sekretarką, a później byłam w separacji. Brałam śluby i narkotyki. Piekłam jagodzianki dla wnuków, rozbijałam samochody, dawałam kary więzienia bandytom, rodziłam dzieci, zarządzałam dużą firmą, byłam stalkerką i sędzią, bratem bliźniakiem, sąsiadem z Niemiec, dziewczynką z domu dziecka, a później jej matką, rolnikiem, hydraulikiem i psem rasy golden retriever. Raz czarnym charakterem, a zaraz potem ulubioną najmłodszą córką Małgosią. Jednego dnia rozwiązywałam krzyżówkę w kuchni, a innego przygotowywałam napad. Byłam jeszcze młoda, ale to nie stanowiło żadnej przeszkody. Szybko i wielokrotnie przeżyłam całe życie, a stało się tak tylko dlatego, że bardzo wczuwałam się w to, co działo się w *M jak miłość*. Odkryłam wtedy wiele zasad,

które rządzą życiem. Dzieci w serialu było niewiele, dlatego ciężko mi było być małą dziewczynką w prawdziwym życiu, ale wyobrażałam sobie, że to najgorszy etap przejściowy, a kiedy dorosnę, to może będę sobie lepiej radzić, bo w dorosłości miałam już większe doświadczenie, nie musiałam się tego uczyć od zera.

Byłam dziwnym dzieckiem, a może raczej specyficznym. Najgorszym czasem świata był dla mnie okres wakacji. W szkole były jasne zadania i rytm. Towarzystwo innych dzieci też udawało mi się jakoś wytrzymać, wystarczyło za bardzo się z nimi nie zadawać. Poza licznymi osobami w moim wieku było tam też kilku dorosłych i oni znali się na książkach, a to trochę rekompensowało mi niedogodności związane z przychodzeniem do tego dziwnego, hałaśliwego miejsca. W wakacje nie było co robić. Kończyła się szkoła, więc nic nie miało już sensu. Nie opłacało się nawet budzić, bo co to za dzień, w którym nic się nie dzieje, i jaki to w ogóle ma sens? Zwłaszcza w roku 2000. Cierpiałam wtedy na wielką nudę, nie wiedziałam, czym mam się zająć, chciałam wyłącznie oglądać telewizję. Było to małe i pojemne pudełeczko, a ja byłam przed nim niewidzialna – idealna relacja. Mogłam tylko niezobowiązująco patrzeć na ekran i taka forma uczestnictwa była wystarczająca, nie trzeba było nic więcej robić ani za bardzo się starać. Niestety Dwójka latem wstrzymywała emisję nowych odcinków *M jak miłość*, a ja byłam wypychana na dwór pod pretekstem sprzyjającej temperatury otoczenia i późno nadchodzącego zmroku. Czasami rodzice zmuszali mnie do wstawania z łóżka. Wystawiali mnie półprzytomną

na podwórko i zamykali dom, żebym nie mogła przemknąć się do pokoju i czekać tam na nadejście jesieni. Ich zdaniem miałam zażywać na zewnątrz odżywczej mocy słońca, bawić się z innymi dziećmi, grać w piłkę, budować bazy albo udawać Indian. Do dziś myślę o tych propozycjach z pewną pogardą. Koncepcję zabawy znam głównie z opowieści, ale nigdy do mnie nie przemawiała, nie miała żadnego uroku. Podjęłam wiele prób, ale nigdy nie odnalazłam w tym przyjemności. Byłam wielką niezdarą. Nie wiedziałam, co trzeba robić. Czułam się zbyt stara. Chciałam tylko przyglądać się albo być w swoim pokoju. Dorośli się ze mnie śmiali i mówili, że jak będę czytać tyle książek, to popsują mi się oczy i w końcu oślepnę. Trochę mi się popsuły, więc nie do końca nie mieli racji. Wieczorami wyłączali mi światło, musiałam więc czytać po ciemku albo palić małą lampkę, a szczelinę pod drzwiami zatykać ubraniami, żeby poblask nie wydostawał się z pokoju i mnie nie zdradzał. Telewizor był w naszym domu bardziej poważany. Zajmował miejsce honorowe. Niestety latem w pokoju z telewizją miała prawo przebywać wyłącznie babcia. Do mnie należał świat na zewnątrz, który był o wiele za wielki. Starałam się go unikać, ale nie zawsze miałam wybór, bo moje zdanie nigdy nie było wystarczająco ważne, żeby go wysłuchać. Z tego, co mówiłam, wszyscy się śmiali. Zaczęłam kłamać, ponieważ nie widziałam różnicy pomiędzy mówieniem prawdy a wymyślaniem jej. Ta różnica nie miała znaczenia. Wszystko, co mówiłam, było wyłącznie słowami dziecka, a więc o statusie: powagi zero. Urocze lub głupie, ale najbardziej żadne.

W pewnym momencie już z całej siły nie chciałam z nimi mieszkać. To była chyba pierwsza chwila z etykietą F33. Miałam jakieś szesnaście lat. Byłam naprawdę zmęczona. Chciałam przebywać tylko w swoim pokoju i nigdy nie wychodzić. Moja matka nie mogła się z tym pogodzić. Kupiła mi na giełdzie brzydki rower z dzwonkiem w kształcie głowy tygrysa, bo byłam jeszcze dzieckiem, a taki rower był chyba tańszy niż rowery dla dorosłych. Ale ten dziwny przedmiot nie miał wystarczającej mocy, żeby mnie uleczyć. Nie miałam siły jeździć na rowerze. Odechciewało mi się wszystkiego zaraz po pokonaniu pierwszego metra drogi, a niekiedy jeszcze zanim wyruszyłam. Ojciec próbował zainteresować mnie zwierzętami. To znaczy zabierał mnie na polowania i chciał, żebym naganiała do odstrzału sarny lub trenowała psy. Na te zajęcia niestety byłam zbyt słaba. Miałam cienkie, sflaczałe kończyny. Wyglądały jak pnącza na werandzie u Mostowiaków. Sarny się mnie nie bały, podchodziły blisko i lizały moją twarz. Psy myśliwskie za to gryzły mnie do kości, kiedy tylko zostawałam z nimi sam na sam.

Mój ojciec jest myśliwym. Przynosił do domu czaszki, które okładał ligniną z apteki i prosił, żebym spryskiwała ligninę wodą, bo jeśli wyschnie, to kości szybko żółkną i nie będzie to dobrze wyglądać na ścianie. Mieliśmy w domu wielką zamrażarkę przemysłową, która wypełniała spiżarnię. Leżały w niej owinięte streczem sójki i zimorodki. Ptaki czekały na swoją kolejkę do odwiezienia do garbarni. Wracały stamtąd z oczodołami mniej lub bardziej udatnie wypełnionymi plasteliną i czasami z otwartym dziobem,

do którego można było włożyć palec, a w środku był szary wypełniacz wyglądający jak strasznie dużo kurzu z worka do odkurzacza. Większość ptaków miała skrzydła upozowane w takim ułożeniu, jakby miały za chwilę odlecieć, ale były przydrutowane do gałęzi powieszonych na haku, na wystawce naprzeciwko wielkiego łóżka małżeńskiego zajmującego cały największy pokój. Był to bardzo smutny widok, ale chyba nikt poza mną tak nie myślał, a ja ciągle czułam się jak te ptaki. Ze mnie wciąż tylko żartowano. Potrafię sobie wyobrazić, co w dowolnej sytuacji powiedzą na mój temat rodzice. Nie trzeba do mnie w ogóle mówić, i tak słyszę te rzeczy, które mają sprawić, że poczuję się złamana i słaba. Wszyscy są ode mnie lepsi i zachowują się normalnie. Inne dziewczyny są fajniejsze, ponieważ zawsze się uśmiechają. Najmilsza to Angelika, bo najwięcej pomaga mamie. Gdybym ja częściej się uśmiechała, to każdy by mnie lubił. Ale z taką ponurą twarzą jak moja nie ma szans. Wystarczy raz na mnie spojrzeć i od razu się odechciewa. Patrzę spode łba, jakbym chciała kogoś zamordować. Z taką twarzą nie znajdę sobie żadnych przyjaciół, bo ludzie będą się bali do mnie podejść, spojrzeć na mnie to żadna przyjemność, aż człowieka przechodzą dreszcze, a jakby tego nie było mało, jeszcze sama się oszpecam.

W domu ciągle jedliśmy mięso i każdy je chwalił. Mieliśmy wędzarnię, w której robiło się kiełbasy i wieszano się je nad kuchenką do obsuszenia na kabanosy. Cały dom wyglądał przez to jak cmentarz. Nigdy się nie odnalazłam w tym wyszukany hobby. Przestałam jeść mięso, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Kiedy odmawiałam kotleta, matka

sadzała mnie przy stole i mówiła, że nie wstanę, dopóki nie zjem. Raz spędziłam tak całe dwa dni. W nocy leżałam na ławie i starałam się nie czuć zapachu, żeby nie zwymiotować. W końcu matka przyniosła mi chleb z masłem i kazała go zjeść, żebym nie umarła. Nie sądzę, żeby naprawdę jej zależało, raczej chciała uniknąć poczucia winy. Później mówiła mi, że przez to niejedzenie mięsa, jak kiedyś zajdę w ciążę, urodzę chore dziecko, będzie ono przeze mnie strasznie cierpieć, a ja pożałuję, ale nikomu nie będzie naszkoda. Ona już знаła takie przypadki. Poza tym jestem taka brzydka właśnie przez to, że nie jem normalnie, bo jak mam wyglądać, jeśli jem tak, jak jem? Okłamywała mnie, że polędwica łososiowa jest zrobiona z ryby, jakby łosoś miał polędwicę, a zupa jest zupełnie wegetariańska, bo gotowała się tylko na kościach, które już wyjęła i nie muszę ich jeść, mięsa tam w ogóle nie ma. Zaprosiła też do domu księdza. Możliwe, że było to przy okazji wizyty duszpasterskiej. Mój brat pokazowo jadł w tym czasie kielbasę, żeby zademonstrować, jaki jest normalny. Ksiądz miał przeprowadzić ze mną rozmowę. Usiadł w fotelu i patrzył na mnie podejrzliwie, kiedy matka skarżyła się, jakie są ze mną problemy. Ocenił, że widzi tu niebezpieczne wpływy religii Wschodu i żeby na mnie uważać, bo to może być niebezpieczne, trzeba obserwować i dobrze byłoby zamówić mszę, żeby szatan nie zabrał mojej duszy. Ta ceremonia nie pomogła. Nigdy się nie zламаłam. Miało to swoje dobre strony, bo bardzo szybko nauczyłam się dobrze gotować. To cenna umiejętność. Opanowałam ją, ponieważ nikt nie miał czasu na moje wydziwianie, a musiałam jednak coś jeść.

Kiedy byłam zbyt zmęczona, minimalizowałam ilość ruchu i słów. Miałam skłonność do zastygania w bezruchu bez względu na to, co się działo obok. Byłam w stanie poruszać się w wyobraźni i to tam robiłam wspaniałe rzeczy. Doniosłość czynów z mojej głowy była jednak nieprzekładalna na rzeczywistość. Po latach czytania książek i śledzenia seriali byłam wykończona tym, co widziałam i co w nich przeżyłam. Latem nie miałam siły na nic poza leżeniem w łóżku. Czekałam na nowe odcinki *M jak miłość*. Tęskniłam za rodziną, która żyła w Grabinie. Chciałam być z domu dziecka i żeby ktoś mnie adoptował. Czulałam się bardzo samotna. Chciałam się przenieść do scenerii wyprodukowanej przez TVP2, bo było tam jakby milej. Mój dom był zrobiony z szarych pustaków i mieszkali w nim ludzie, z którymi nie miałam nic wspólnego, znałam ich o wiele słabiej niż rodzinę Mostowiaków, a to, co robili, było nieprzewidywalne. Były to strasznie dziwne zwierzęta. Nie miały w sobie miękkości kotasów. Gdybym miała wybór, wołałabym żyć w stodole pełnej kotów i spać w legowisku zrobionym w stogu słomy. Byle tylko być gdzieś indziej i żeby nie było tego mocnego światła ani tych głośnych dźwięków i wszystkich tych osób, które są niemiłe, a nawet jeśli bywają miłe, to i tak jest ich za dużo i są za bardzo. Mogłabym być kotasem ze stodoły. Wtedy wystarczyłoby mi skrzypienie starych desek albo pisk myszy i nietoperzy. To byłyby jedyne dźwięki, byłoby ich dla mnie w sam raz. Mogłabym też żyć jakimś innym zmysłowym życiem na piśmie w zeszycie z różową okładką z folii o smaku gumy do żucia.

Jednego lata oglądałam na żywo wiele scen jak z serialu. Były szalenie widowiskowe, ale wcale nie chciałam w nich uczestniczyć. Telewizja była lepsza i można było ją wyłączyć – dom okazał się niewyłączalny. Jedynym sposobem było wyłączenie się w myślach. Wymagało to o wiele więcej wysiłku niż wciśnięcie guzika z przekreślonym głośnikiem na pilocie. Rezultat moich usilnych starań nie do końca spełniał oczekiwania, więc starałam się tylko jak najmniej patrzeć. Serial miał takie ujęcia: matka wyrzuca przez okno rzeczy ojca. Jego koszule spadają na trawnik, po którym biegają wypuszczone z kojców psy rasy seter szkocki gordon i niemieckie teriery myśliwskie. Matka zrywa ze ścian w sypialni skóry dzików i saren, piórka bażantów naklejone na plastry drewna i oprawione w ramki kły, a wypchane ptaki wynosi do garażu i rzuca je tam na wielką stertę. Leżę w łóżku i staram się nie przeszkadzać, gdy matka rozbija pięścią szybę albo smaruje gównem drzwi do sypialni, którą dzieli z ojcem. Jestem w stanie półsnu, ponieważ tylko on mnie chroni, to jest mój mały domek w głowie. Można się w nim całkiem znośnie ukryć. Pamiętam, że drzwi miały chropowatą fakturę. Ciężko było je doczyścić i oglądałam je później wiele razy. Brązową plamę było widać z daleka, ze schodów. Któregoś dnia ojciec brzeszczotem wykroił zabrudzone miejsce. Dziurę zasłaniał później plakat z sową i to był młody puszczyk w gnieździe, a pod nim widniał napis: „Chrońmy orły”. Chciałam być puszczykiem.

Rodzice nie potrafili się ze mną obchodzić. Moje oczekiwania nie były wysokie. Chciałam tylko, żeby było przewidywalnie i z jasną strukturą. Żeby każdy odcinek rozpoczynała

ta sama czołówka, a na końcu szły napisy i żeby były dobre zakończenia dla wszystkich dzieci, nawet dla tych, które umierają.

Kiedy tylko miałam taką możliwość, starałam się nie opuszczać łóżka, żeby nikomu nie przeszkadzać. Nie wchodziłam nikomu w drogę, to dobry sposób. Przeczytałam infografiki na plakatach w szkole i wiedziałam, że właśnie tak należy postępować w przypadku zamachu terrorystycznego: nie dyskutować, nie patrzeć w oczy, nie biegać. Przykucnąć przy ścianie, zakrywać rękami głowę i czekać na pomoc. Ta metoda pomagała mi przetrwać. Staralam się robić wszystko dobrze jak na wojnie. Wystarczyło, że byłam osobna, wtedy nie mogło mnie spotkać nic złego. Musiałam tylko zająć się sobą. Miałam swój pokój, a w pokoju duży i piękny zestaw farb. Nie chciało mi się nimi malować, ale często korzystałam z pojemnika do płukania pędzli. Sikałam do plastikowego kubeczka, a siki wylewałam przez okno, żeby jeszcze rzadziej wychodzić na zewnątrz, gdzie działa się rzeczy. Bałam się wynurzać, zwłaszcza w dzień. Nie lubiłam tego, że za drzwiami żyli inni prawdziwi ludzie, którzy wydawali zbyt dużo dźwięków i rzucali przedmiotami. Dorosli nie należeli do moich najulubieńszych bohaterów. Nasze spotkania były raczej przykre. Matka mówiła mi, że jestem taka sama jak ojciec. W dużej mierze była to prawda. Byliśmy tacy sami. Nie patrzyliśmy nikomu w oczy i interesowały nas tylko zwierzęta. Nie wiedzieliśmy, co mają na myśli osoby, które do nas mówią, ani co można z tym zrobić. Mało towarzyscy, nieelastyczni, przewrażliwieni, niezbyt mili i nie do oswojenia. Pełni żartów, które nikogo

nie śmieszą. Kąśliwi dla samoobrony albo na wszelki wypadek. Zbyt spontaniczni, po to żeby już nie myśleć. Ciągłe uciekający wzrokiem gdzieś na bok. Uparcie milczący albo wygadujący rzeczy, które nikogo nie interesują.

Matka szarpała mnie zniecierpliwiona, kiedy zawieszałam się, patrząc przed siebie. Wszystko było dla mnie wtedy trochę przezroczyście. Raz podarła mi ubranie. Usłyszałam, jak pęka szew dekoltu. Ta bluzka do niczego się już później nie nadawała, dziura była w tak głupim miejscu, że nie było jak tego zszyć. Pamiętam też, jak kiedyś matka bardzo mocno uderzyła mnie w twarz, to odcięło mi zasilanie. Widziałam tylko ciemność, migające czarne kropki jak na zepsutym ekranie. Nic więcej nie pamiętam, bo często wyłączało mi się ciało. Czułam, że spadam, i wszystko dla mnie zniknęło na powierzchni, telewizja była wyłączona. Najważniejsza metoda wychowawcza w moim domu była taka, że kiedy zrobiłam coś inaczej, niż chcieli tego dorośli, słyszałam, że zaraz dostanę w dupę. Raz matka uderzyła mnie mocno w rękę, którą się zakryłam. Poczerniał mi paznokieć, bo chyba oberwałam wtedy kijem. Na pewno byliśmy wtedy na podwórku, stałam obok klatki z królikami. Później powiedziała mi, że to była moja wina, bo mogłam się nie zasłaniać i wtedy nic takiego by się nie stało, nie byłoby żadnych śladów. Chyba sama się przestraszyła. Włożyła mi rękę pod kran z zimną wodą. Myślałam, że trzeba będzie odciąć mi dłoń i że będę miała tylko kikut, na który nie da się włożyć żadnego pierścionka, wszystkie będę musiała nosić na prawej ręce i będę miała o wiele mniej miejsca, więc nie mogę być tak bogata, jak zakładałam,

że będę. Nawet nie wiem, co wtedy zrobiłam i za co dostałam. Nigdy tego nie pamiętałam. Paznokiec chyba mi odpadł, a wcześniej odcinałam go po kawałku nożyczkami. Odcinałam sobie też po kawałku piętę. Skóra na początku była miękka, a z czasem robiła się twarda i wyglądała jak okruszki z chleba. Próbowałam ją zjeść, ale nie miała smaku. Były na niej wyraźne linie papilarne. Przez jakiś czas trzymałam je w słoiku na pamiątkę, żeby moim rodzicom zostały jakieś relikwie, gdybym kiedyś umarła, i żeby mogli o mnie pamiętać albo się do mnie modlić, gdybym przypadkiem została świętą. Ta skóra byłaby wtedy warta mnóstwo pieniędzy. Zwłaszcza gdybym na nią napluła, bo w wodzie byłaby dłużej miękka.

Matka zabije mnie, jak to przeczyta. Kilka razy chciałam, żeby już umarła. Zastanawiałam się, czy mogłabym zepchnąć ją ze schodów, ale nigdy się na to nie odważyłam. Ona miała więcej odwagi ode mnie. Śniło mi się czasem, że znajduję martwą matkę w wannie albo widzę jej ducha, który wychodzi z domu i jest strasznie cicho, boję się, a jednak idę za nim na dwór i patrzę, jak skacze razem ze mną na trampolinie. To był największy koszmar. Coś gorszego niż *Gęsia skórka* albo seria horrorów *Czy boisz się ciemności?*. Teraz można znaleźć te filmy na YouTube, ale obraz jest trochę rozpixselowany i ciężko się to ogląda. Mają marną jakość – telewizor z początku tysiąclecia, z czasów, kiedy wszystko było o wiele mniejsze i ludzie też byli jeszcze mali, nie mieli takich dużych oczu ani oczekiwań. Mój ulubiony odcinek to ten o dziewczynce, która zamieszkała w domku dla lalek na strychu. Później uratowała ją koleżanka, która

przyjechała do domu na ferie. Na jej miejscu wolałabym nie zostać uratowana. Domek dla lalek był przestronny, miał bibliotekę i balkon. Ciało z porcelany musiało być miłe w dotyku. Mogłabym takie mieć. Uważałabym tylko na to, żeby nie pękło, i zabrałabym ze sobą spodnie, bo to jednak głupio nosić do końca życia sukienkę z koronki z białym kołnierzem i wstążkę we włosach, nawet gdyby były to sztuczne loki. W byciu lalką też byłabym dobra. Byle nikt mnie nie dotykał.

Zauważyłam, że przez długi czas mogę obyć się bez jedzenia i picia. Jakbym nie była prawdziwa. Zwłaszcza kiedy unikałam nadmiernego poruszania się i gdy przesybiałam większość czasu. Zauważałam dużą różnicę w tym, jaki czułam głód, gdy czytałam książkę, a jaki, kiedy leżałam bez ruchu i nawet nie przekładałam stron, tylko patrzyłam ciągle w to samo miejsce. Do życia wystarczały mi wtedy minimalne ilości pokarmu. Tylko tyle, żeby nie umrzeć. Jadłam sporo jogurtów, a one dawały mi pewną nadzieję. Kiedy otwierałam lodówkę, na wieczkach jogurtów za każdym razem był dalszy termin przydatności do spożycia. Był to dla mnie jedyny przekonujący dowód upływu czasu. Jedząc jogurt, mogłam doświadczać upływu czasu, w którym ludzie kochają się, rozstają i umierają. Warto było to przeczekać, chociaż minęło mnóstwo nabrała.

W końcu nastąpiła jesień. Być może właśnie wtedy zaczęłam powoli zniknąć jako dziecko. Już prawie całkowicie przestałam nim być. Byłam na to już naprawdę zbyt stara. Miałam piersi i miesiączkę. Wydaje mi się, że zaczęła się, kiedy ktoś powiedział mi o niej na głos. TVP2 emitowała nowy

sezon *M jak miłość*. Nie wiem, który z kolei. Weszłam do pokoju babci, żeby obejrzeć z nią odcinek. Nie miałam już siły śpiewać czołówki, bo byłam zmęczona i smutna. Odtwarzałam ją tylko z przyzwyczajenia na taśmie wewnątrz mojej głowy. Miałam w niej takie małe radio. Kiedy się zaczęło i gdy wybrałam postać, którą chciałam stać się tego dnia, stwierdziłam, że zaryzykuję, i powiedziałam o tym na głos: Patrz, to jestem ja. Babcia Wandzia zastanowiła się chwilę i odpowiedziała: No tak, rzeczywiście!

To chyba była Hanka.



Długo szukałam domu. Wiedziałam, że muszą w nim mieszkać koty i ja. Koty mogą być psami – to bez różnicy. Nie jestem bardzo wymagająca. Ważne, żeby można było dużo spać i jeść to, co się chce. Żeby było się gdzie schować, kiedy na zewnątrz jest burza albo śnieżycy, i żeby była dobra patelnia, na której robi się mnóstwo naleśników na prawdziwym niebieskim ogniu, kiedy przychodzą goście, ale tylko tacy, których naprawdę lubię. Miał to być dom, w którym są mile widziane wszystkie zwierzątka. Nawet te, które kradną chleb z zamkniętej szafki w kuchni albo które sikają do łóżka i zostawiają włosy. Długo na niego czekałam. Całe życie wyobrażałam sobie dorosłość, nie mogąc w nią do końca uwierzyć, ale jednak snując liczne plany. Najbardziej prawdopodobny wydawał się taki, że będę osobą w kryzysie bezdomności na dworcu w Garwolinie pod mozaiką ze słońcem. Ale wyszło trochę lepiej. Sama jestem miło zaskoczona tym faktem. Opowiem, kim teraz jestem, ponieważ jestem dokładnie taka, jak moje mieszkanie.

W końcu znalazłam takie miejsce, wynajmuję je do dziś: dwa pokoje w centrum na terenie dawnego getta. To mieszkanie w kamienicy blisko Hali Mirowskiej, która jest prawie jak bazar na Szembeka, tylko że jeszcze lepsza. Podoba

mi się, bo mogę mówić, że jestem babą z Mirowa. Dzięki temu czuję się silna, bo właśnie takie są moim zdaniem baby: wyrosnięte i miękkie, pełne rodzynek, mąki i cukru. Z mieszkania mam dobry widok na Miejsce Pamięci. Obok mojej kamienicy znajduje się ostatni ocalały fragment muru getta, chociaż podobno jest to ściana dawnego budynku szkoły położonego w obrębie getta. Tablica pamiątkowa informuje, że jedna z cegieł z tego miejsca znajduje się w muzeum Yad Vashem. Z tyłu, już za bramą, jest inny mur. Ten drugi jest podobno prawdziwy, ale przylega do niego śmietnik i nie wygląda to zbyt reprezentacyjnie. Czasami goście z zagranicy robią sobie pod nim zdjęcia na tle tabliczki z napisem: zakaz wyrzucania śmieci gabarytowych pod karą administracyjną. W bramie są graffiti z napisami zrobionymi różowym sprayem, które głoszą: tu było getto. W innym miejscu ktoś zaznaczył, że było tu też UFO, a ktoś inny napisał na ścianie domu, że jest to strefa wolna od nienawiści. Zdania są podzielone. Na sąsiednim podwórku jest taki sam napis z dopiskiem: nie sądzę. Ja na szczęście mieszkam w tej pierwszej strefie. Na podwórku są umieszczone małe tabliczki w kilku językach, które wskazują drogę wycieczkom z zagranicy i ogłaszają ciszę nocną do szóstej rano. To dziwna godzina, nie znam nikogo, kto budzi się o tej porze i z rana urządza wycieczki pod mur. Ja śpię przynajmniej do południa, więc chętnie przedłużyłabym tę ciszę o kilka godzin. Ale wszyscy i tak schodzą się w ciągu dnia albo wieczorem. Mam w oknie folię, która sprawia, że jestem niewidzialna, ale widzę wszystko na zewnątrz. Ludzie podchodzą do szyby i poprawiają sobie fryzury albo

robią zdjęcia swojego odbicia i wstawiają je na Instagram. Szczególnie chętnie robią zdjęcia błyskawicy z czerwonej taśmy izolacyjnej i portrety kotka, który pozuje między doniczkami na oknie. Kotek czasami macha do turystów łapką, bo chce, żeby ktoś mu przyniósł jedzenie. Ja w tym czasie siedzę po drugiej stronie na parapecie i się im przyglądam. Niektóre osoby zostawiają mi na parapecie kiełbasę albo chrupki w opakowaniach po jogurcie. Wkładają je do skrzynki, w której miała wyrosnąć łąka, ale wyszły tylko chwasty. Wewnątrz klatki na moich drzwiach są naklejki z kotopsami, tęczę i strajkiem kobiet oraz te od pana Literki, na których tęczą czcionką jest napisane: „To jest też mój kraj”. Wszystko to prawda. Nikt jej jeszcze nie zdrapał, bo moi sąsiedzi są wyjątkowo rozsądni. Oni też wiedzą, że to jest prawda. Chcę, żeby był to kraj dla wszystkich. Może być nawet dla tych osób, które uważają się za patriotów, trudno, może obok innych w końcu się czegoś nauczą.

Obok bramy do niedawna była kawiarnia Crema, która miała menu w jidysz. Już nie istnieje, ponieważ w marcu zachorowała na COVID i umarła. To smutne, bo nie mogę już wykorzystać karty stałego klienta, dzięki której co szósta kawa jest gratis, nie to, co w Nero, gdzie dostaje się co dziesiątą lub jedenastą. Nie ma też gdzie kupować popcornu o smaku karmelu, który pasowałby mi do okularów. Teraz jest tam sklepik. Można tam dostać pyszną bakławę i chałwę, a dawno temu był podobno zegarmistrz. Chętnie ukradłabym z tych miejsc na pamiątkę szyldy. Lubię kraść, ale najczęściej nie nadążam ze zmianami, więc mam tylko jeden pamiątkowy potykacz ze śmietnika, na którym

jest strzałka wskazująca kierunek do sklepiku z *art & gifts*. Na podwórku mam też Plant Shop. Jest to kwiaciarnia z gorącą czekoladą do wyboru z trzech krajów. Robi się tam zakupy przez otwarte okienko. Jest przez to trochę jak w kiosku Ruchu, ale jeszcze lepiej, bo wszystko jest naprawdę ładne, a nie w tak kontrowersyjny sposób jak w kiosku. Na ladzie stoi cukiernica, w której są różowe oplątwy na sprzedaż i czasami dostaje się do kawy pralinę z daktyli. Dla sąsiadów są atrakcyjne zniżki na napoje do własnego kubka, można pójść tam w kapciach i zamówić sobie espresso, a chłopiec za oknem zawsze pyta, co słyhać, i to jego główne powitanie, więc w końcu mam z kim rozmawiać o życiu. W podziemiach działa też sklep maryjny. Kupuje się tam świece sojowe w kształcie czarnych matek boskich z brokatem albo neonowych cipek i kosmonautów. Naprzeciwko jest stolarnia z miłymi panami, gdzie można wszystko załatwić. Na oknie ich warsztatu jest sugestywna naklejka z czerwonych literek układających się w napis *SZYBY*, które opadają skosem w kierunku schodów, uznają to zestawienie za świetny autystyczny żart. Jest bardzo dosłowny, a dzięki temu rozumiem go i mogę się z niego śmiać, co jest rzadkością – przy diagnozie spektrum oblałam test na poczucie humoru. To, co autentycznie śmieszy inne osoby, dla mnie jest zazwyczaj smutne albo brzmi straszliwie seksistowsko. Moje poczucie humoru jest dosłowne. Ulubiony żart, najlepszy, jaki znam, to piosenka z serialu *W trasie z Aspergerem* i ten fragment, w którym ktoś śpiewa: „oczywiście rzeczywiście powiedział, wieszając je na sznur”. To tłumaczenie, które może nie być jasne, ale

dla mnie jest! „Oczywiście” wiszące na sznurze jak suszące się pranie to najlepsza ilustracja tego żartu w mojej głowie.

Wcześniej w podwórku był też sklep z ceramiką o nazwie *Bad News*, ale już zniknął. Prowadziła go Ania Miau, która wyemigrowała do Norwegii, ponieważ okazało się, że Norwegowie kochają jej ceramikę. Ania Miau sprzedaje piękne porcelanowe lalki, które się poruszają, i jak wyjechała, zostawiła w moim pawlaczu sporo swoich rzeczy, dzięki temu teraz jestem trochę nią. Noszę jej biały sweter w paski w kolorach czerwonym, zielonym i żółtym i jestem jeszcze bardziej kotem. To, co opowiadam o krajobrazie, brzmi moim zdaniem jak IDEALNE MIEJSCE DO ŻYCIA. Nie można chyba wyobrazić sobie lepszego sąsiedztwa. Wtedy jeszcze nie wiedziałam wszystkiego, ale bardzo chciałam zamieszkać gdzieś obok i jak zwykle miałam szczęście. Szczęście towarzyszy mi przez całe życie. Niczego już nawet nie planuję. Po prostu biorę to, co dostaję. Biorę wszystko to, co jest. Najczęściej jest to dobre. Nie zawsze jest takie od razu, ale zazwyczaj po jakimś czasie już tak, albo się przyzwyczajam, albo coś zmieniam. Dzięki temu wszystko jest dobre.

Kiedy tylko spojrzałam na ogłoszenie, wiedziałam, że to coś dla mnie. A może to nie było ogłoszenie, może tylko ktoś mnie komuś polecił i trafiłam tam po znajomości? Pomyślałam wtedy, że domy zawsze pojawiają się właśnie tak: w odpowiednim momencie. Wtedy, kiedy trzeba, i dokładnie takie, jakich się potrzebuje. Akurat rozstałam się z dziewczyną. Teren dawnego getta dobrze korespondował z moim stanem ducha. Trzeba też powiedzieć, że jeśli lubię z kimś mieszkać, to najbardziej właśnie z duchami.

Zmarli to moi ulubieni sąsiedzi. Dobrze się razem czujemy. Nie ma z nimi większych problemów i nie trzeba się kłócić, ani nawet za bardzo rozmawiać. Co prawda nasze relacje nie zawsze i nie od początku dobrze się układają, ale idzie się przyzwyczaić. Zwykle udaje się nam zaprzyjaźnić. W Warszawie to wiele ułatwia, bo duchy można spotkać na każdym kroku. Są lepsze niż rodzina. Zostają na dłużej, są bardziej elastyczne, o wiele mniej uciążliwe i zajmują znacznie mniej miejsca w mieszkaniu. Nie muszą mieć własnych sypialni. Nie robią nic głupiego. Nie trzeba się za nie wstydzić. Istnieją tylko trochę – tyle, ile trzeba.

Wprowadziłam się bardzo szybko. W nocy przed oglądaniem nowego lokum przypadkowo przeczytałam wiersz – wyświetlił mi się w aktualnościach na fejsie i okazał się proroczy. Pomyślałam wtedy: boże, to jest o mnie, bo tam są przecież „złote zęby”. Napisał to Tkaczyszyn-Dycki, a ja miałam zamieszkać na Złotej, więc zdecydowałam się błyskawicznie. To był impuls. Właśnie tak podejmuję najważniejsze decyzje. Nie lubię planować ani się zastanawiać. Wy tłumaczyłam sobie, że to piękna paralela fabularna, i z tą myślą podpisałam u notariusza umowę najmu na trzy lata z góry. Oczywiście może on potrwać o wiele krócej lub dłużej. Tego drugiego bezpieczniej się nie spodziewać. Pilnuję sama siebie, żeby nie przywiązywać się do żadnego terminu, a tym bardziej do miejsca. W tym mieszkaniu, w domu, w którym piszę teraz ten tekst, pierwszy raz w całym dorosłym życiu miałam zamieszkać sama i bez niczyjego udziału zrobić sobie z rudery dom. Z tego powodu Złota ma honorowe miejsce w moim sercu. Moje serce jest dzięki niej

złote i ma cętki tygryska, bo mieszka się tutaj jak w domku na drzewie, mimo że to Śródmieście. W moim mieszkaniu jestem tygrysićką i to jest mój ulubiony gatunek kotasa. Mogę chronić wszystkie małe kotki, bo jestem z nich najsilniejsza. Jestem jednocześnie silna i słaba. Dobrze się to uzupełnia, ale się nie wyrównuje. To są dwie skrajności i moim zdaniem jest to najlepsze połączenie, najbardziej przydatne do życia. Coś jak cukier: twarda kostka, ale łatwo rozpuszcza się w ciepłej wodzie, można go zjeść i jest smaczny. Kiedyś myślałam, że jak dorosnę, będę jeść tylko cukier. Nie myliłam się. Jem niewiele więcej. Jedną czekoladę dziennie i dużo naleśników, tyle mi wystarcza. Dodatkowo piję wielkie ilości nieodobrej kawy albo wrzątku z czajnika. Od tych czynności pewnie jestem w środku brązowa i miękka. Ale tego po mnie nie widać. Nie każdy o tym wie. W środku najlepiej zna mnie moja dziewczyna. Z nią prawie nie mam skóry, bo wcale jej nie potrzebuję. Beżowy to kontrowersyjny kolor. Kiedy mogę, wybieram cieplejsze odcienie, a najchętniej róż. Ten kolor ma też miły dźwięk. Dla mnie kolory mają swoje odgłosy. Mają je też poszczególne cyferki. Słyszę je, kiedy o nich myślę albo gdy naciskam przyciski na domofonie, każdy brzmi trochę inaczej. Najbardziej podobają mi się te nieparzyste i te pośrodku klawiatury.

Czynsz był niższy, niż dyktowałyby to przyzwoitość. Miałam tylko przeprowadzić remont we własnym zakresie. Podpisałam umowę w *prima aprilis*, więc nie wiem, na ile była zobowiązująca, ale mieszkam nadal. Następnego dnia po mojej przeprowadzce Patryk Jaki cofnął reprzywytzację, więc zdążyłam wprowadzić się w ostatniej chwili.

To kolejny dowód na to, że mam mnóstwo szczęścia. Wyściowy standard mieszkania był bardzo słaby. Ale to tylko budziło mój zachwyt, ponieważ wierzę w to, że nie ma nic lepszego niż kamienice stulatki. Dopiero po takim czasie dom osiąga pewną dojrzałość. Po setce można poczuć się w domu spokojniej i przestać się martwić, że coś mu się stanie. To miejsca z ustabilizowaną osobowością. Z nieopiętych dla mnie powodów mój ojciec zawsze jednak krytykował mieszkania, które wybierałam. Jeśli pomagał mi przewieźć rzeczy, to niezmiennie patrzył na budynek już z daleka i mówił: O, znowu rudera, wiedziałem!!! Później wchodził do środka i wszystko krytykował, że prowizorka i że nie da się żyć w takich warunkach, a ja cieszyłam się, że będę miała zajęcie i że wszystko będę mogła urządzić po swojemu, więc nigdy nie było mi nawet bardzo przykro. Po prostu mamy inny gust. Mój jest dosyć staromodny i nieestetyczny, ale nade wszystko cenię sobie klimat. Chcę oddychać starym powietrzem i chodzić po rozeschniętych, skrzypiących podłogach. Tylko wtedy jestem zdrowa i jestem sobą, bo naprawdę jestem bardzo stara. Mam duszę PRL. Chociaż wychowałam się później, to nigdy nie pasowałam do swoich czasów. Żadne czasy, w których żyłam, nie były do końca moje. Komuś coś się bardzo pomyliło, że wymyślił mnie w roku 1994.

Każdy mój nowy dom jest jak wielka misja. Udatniam swoje mieszkania do życia poprzez malowanie na ścianach różowych łuków, przyklejanie na skrzynkę na listy naklejek w kotki, wypełnianie ubytków w ścianach płaskorzeźbami z gipsu i przez wymyślanie nowych miejsc na figurki

przedstawiające pingwiny lub gołe panie. To piękne miejsca. Ale ojciec nigdy w życiu za nic mnie nie pochwalił. Jeśli przy okazji odwiedzin robiłam dla niego obiad, każdorazowo mówił: Nie będę tego jadł, bo jeszcze dostanę sraczkę albo się pochoruję w podróży, lepiej zajadę do McDonalda po mięso, bo co to za jedzenie, co ty mi tu dajesz, taką ciapaję. Nigdy niczego nie spróbował, ale i tak mu nie smakowało i nie musiał niczego oglądać, żeby wiedzieć, że mu się nie podoba. Zawsze strasznie się śpieszył do domu. Podjeżdżał samochodem, po czym dyrygował: Ruchy, ruchy! Z czasem zaczęłam ograniczać korzystanie z tej stresującej formy wsparcia. Im mniej widuję ojca, tym lepiej nam się układa, bo nie mówi mi nic głupiego, ale i tak jest najmilszą osobą z całej rodziny i jedyną, z jaką od święta rozmawiam. Mój ojciec też jest w spektrum. Bardzo stara się być żartowni-kiem, dlatego głównie zadaje ból, ale nie wiem, jak mu o tym powiedzieć, żeby nie zaczął z tego żartować. Chyba mogę ukryć tutaj to zdanie. Może nikt go nie zauważy. Ostatnio, kiedy ojciec był u mnie z wizytą, wyjątkowo nie żartował z mojego wyglądu. Chyba zaimponowałam mu tym, że kupiłam sobie wyrzynarkę, więc oszczędził mnie i wygłosił tylko kilka autorytarnych opinii o tym, że mogłam wybrać lepszą firmę i nie kupować tandety, herbata u mnie jest wstrętna, a szczepionki na koronawirusa są jak plaster na dupę. Powiedziałam mu, że zaszczepię się w pierwszym możliwym terminie oraz że piszę książkę o dziewczynie w spektrum autyzmu. Powiedział mi na to: O, to dziwny temat, chyba nie będzie takim wielkim hitem! To mnie zaskoczyłaś. Później oczywiście zaczął się śmiać i trwało to bardzo długo, aż

dojechaliśmy autem z Mirowa na Marymont, gdzie znajduje się moja działka ROD.

Mój ojciec to człowiek żart. Po każdym wypowiedzianym zdaniu bardzo głośno się śmieje, żeby rozbić zdenerwowanie. Okazuje mi miłość w sposób, którego nigdy nie zrozumiałem. Jest to ciągły śmiech ze wszystkiego, co robię, który ma być życzliwy, ale wcale taki nie jest. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedza, mówi te same rzeczy, że herbata jest okropna i że może kiedyś przyjechałabym do domu, żeby wyczyścić konie, bo stoją brudne. Mówi to tak, jakby nie pamiętał, że nie byłam w domu od lat i że za każdym razem odmawiam. Teraz w ogóle na to nie reaguję. Śmieszą go też rzeczy straszne, niebezpieczne i obrzydliwe. Niedawno wysłał mi wiadomość ze zdjęciami ludzi, których rozszarpał niedźwiedź. Zablokowałam jego numer. Później odblokowałam. Później zablokowałam znowu. Nie wiem, jak mam z nim postępować. To dla mnie strasznie trudne. Jest dla mnie jak papier ścierny, a później idzie do samochodu, wraca, puka w okno i daje mi pudełko rafaello. Przez całą wizytę mam ochotę się rozpłakać. Przyjeżdża z nim moja młodsza siostra, która nic nie mówi. Jest najdziwniej na świecie. Rozbija mnie to na wiele dni i nie umiem nawet odebrać telefonu, bo nie wiem, jak się zachować. Mój ojciec jest hydraulikiem i przez ostatnie pół roku był u mnie już trzy razy, żeby naprawić jeden i ten sam zawór z wodą na działce. Wydaje mi się, że szuka pretekstów do tych wycieczek. Ostatnią zrobił tuż przed świętami. Przywiózł mnóstwo narzędzi, ale oczywiście czegoś zapomniał, powiedział, że to moja wina, bo źle mu wytłumaczyłam, że instalacja

metalowa, dlatego będzie musiał przyjechać raz jeszcze. Jak tak dalej pójdzie, to chyba już nigdy nie będę miała na działce kranu z wodą, ale na pewno będę miała mnóstwo nagłych i niezręcznych wizyt ojca, który nie potrafi wymyślić lepszego pretekstu. Nie wiem, co w związku z tym czuję. Jest dziwnie. To najlepsze słowo. Dziwnie i niezręcznie, trochę się z tego cieszę, że jeszcze nie wszyscy zniknęli, a trochę sama nie wiem. Im mniej ich jest, tym jest mi łatwiej i czuję się zdrowsza. Później znowu wpadam w dygot od odwiedzin, jak wańka-wstańka, wszystko dla dzieci.

Teraz powiem, jak było w moim mieszkaniu na początku. Kiedy miałam odebrać klucz do domu, minęłam w bramie trzy wycieczki z Izraela. Młode dziewczyny ubrane w buty, które wyglądały jak do jazdy konnej, pochyły się nad moim psem i witały się z nim: Szalom. W dniu, w którym przywiozłam moje rzeczy do kamienicy obok muru getta, na wszystkich drzwiach wejściowych do kolejnych klatek schodowych wisiały klepsydry. Na kartkach z krzyżem znajdowała się informacja, że umarła Maria Niemiec. Otworzyłam sześć zamków w drzwiach prowadzących do mieszkania i zostawiłam na podłodze worki z rzeczami. Było prawie pusto. W jednym miejscu odcisnęła się na ścianie twarz Maryi, a w drugim pokoju było kilka żółtawych śladów po obrazkach, pewnie były to krajobrazy albo wszyscy święci, ale nie wiadomo. Miałam szaloną liczbę haczyków na każdej ścianie oraz zasłony z nieprzyjemnego poliestru w kolorze bordo, który ktoś chyba wyjątkowo lubił. Znalazłam jeszcze czerwony grzebień na wysokiej półce wbudowanej w ścianę w przedpokoju. Grzebień zostawiłam na pamiątkę.

Później zaczęłam malować wszystko na białe. To była jedna z pierwszych rzeczy, które postanowiłam zrobić w nowym domu. Ale trudno było mi się skupić. Czułam ciągle przymus patrzenia za siebie – irracjonalne uczucie. Wiele razy wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje i że w progu, tuż przy drzwiach do pokoju, stoi mała, niewyraźna starszuszka ubrana w koszulę nocną w kwiaty i że jest zakłopotana moją obecnością, ale też ciekawa tego, co robię w jej mieszkaniu. Ściany były czarne i odpadała z nich stara farba, a na podłodze leżał gruz. Jedynym meblem, jaki miałam do dyspozycji, była żeliwna wanna z wyżłobioną niecką od skapującej z kranu wody, o ile wannę można w ogóle nazwać meblem, więc kładłam się w niej i odpoczywałam, bo podłoga była zbyt brudna. Cieszyły mnie dwa pokoje. Postanowiłam, że jedno z tych pomieszczeń będzie zawsze stać puste, tak żeby dawało domowi oddech i aby przyjemniej się w nim mieszkało – burżujski pokój do niczego. Nie planowałam szukania współlokatorów. Napawałam się samotnością i tyrałam całymi dniami, żeby tylko zbierać pieniądze na czynsz. To był moment, kiedy myślałam, że może uda mi się zrezygnować z ludzi już na zawsze, ponieważ są oni zbyt trudni i nic mi z nimi nie wychodzi. Rozstałam się z jedną dziewczyną – tą z Grochowa – i miałam wielki kryzys życia. Chciałam zamieszkać sama i sprawdzić, czy dam radę oraz co z tego wyjdzie i kim się wtedy stanę.

W dniu, w którym oficjalnie rozpoczął się mój nowy okres najmu, gotowałam jedzenie na bal purimowy. To była jedna z tych fuch, które wpadają mi od czasu do czasu i trochę ratują sytuację budżetową. Purim zazwyczaj wyciąga mnie

z kłopotów na wiosnę. To czas zwycięstwa nad mrozem i śmiercią. Goście przebrani na przekór swojej płci – kobiety za mężczyzn, a mężczyźni za kobiety – tańczą ku czci legendarnej Estery, jedzą uszy Hamana z półkruchego ciasta z dżemem i są bardzo szczęśliwi, że można się razem bawić. Ja krzątam się, roznosząc talerze i dojadając z nich resztki. Tłumaczę, co jest wegańskie, a w czym jest ryba, i przysięgam, że wszystko jest koszerne, więc można bezpiecznie spożywać. W tłumie czuję się zagubiona, ale kiedy mam jasne zadanie, to radzę sobie bardzo dobrze, bo wchodzę w rolę, którą znam. Koncentruję się na tym, co jest do zrobienia, i wszyscy są ze mnie zadowoleni. Pracuję skutecznie i błyskawicznie. To transowe zajęcie. Lubię jego uspokajającą powtarzalność. Krojenie marchewek w plasterki albo obieranie przez godzinę buraków to czynności, które wyjątkowo mnie relaksują. Lubię pracę, w której jest rytm, a jednocześnie za każdym razem jest nieco inaczej, wiadomo jednak, co trzeba robić, bo wszystko jest ułożone w logicznej kolejności i według jasnych zasad. Główna zasada jest taka, że z tej pracy ma wyjść coś smacznego i że ludzie mają być tym nakarmieni. To proste. Ma to sens. Być może jest to jedyna sensowna praca ze wszystkich, jakie można mieć.

W ramach napiwku dostałam od szefa toaletkę z dużym okrągłym lustrem. Był to mebel w stylu art déco, z trudem wynieśliśmy go z jego piwnicy, gdzie przez całe lata czekał na zaplanowaną renowację. Miałam przechować toaletkę, bo piwnicę czekał remont i miała tam powstać winda, dlatego trzeba było ją opróżnić. Był to pierwszy w moim życiu

prezent na nowe mieszkanie. Wynieśliśmy go z podziemi i zaraz później stał się moją ulubioną częścią domu. Nie miałam jeszcze zbyt wielu rzeczy, ale ta była olśniewająca! Dzięki jej okrągłemu lustru mogłam znowu stać się hrabiną. Żeby to uczcić, zmieniłam plany aranżacyjne i postanowiłam przeznaczyć cały drugi pokój dla toaletki. Później każdego dnia stawiałam na niej świeże kwiaty, wierząc, że dzięki temu kamienica oddycha lżej, to jest właśnie oddech. Kradłam głównie malwy z dzikiego ogródka, który już nie istnieje, bo teraz jest tam wysypana kora, posadzono tylko ozdobną trawę w rzadkich i smutnych kępach. Teraz do kradzieży zostały mi w okolicy tylko magnolie. Rosną obok kościoła, więc czuję się do tego upoważniona, wpisałam to na listę swoich obowiązków. Lubię mieć w domu rośliny i przestrzeń, mieć jej dużo, a rzeczy mało. Całe szczęście, że nie mam więcej ładnych mebli zasługujących na osobne pokoje, bo szybko zabrakłoby mi domu i nie miałabym gdzie się podziać, przeznaczając całą przestrzeń dla uczczenia stylowych kredensów i etażerek. Teraz mam tyle, ile mi trzeba. Żyję w najlepszym z możliwych światów. Kiedy myślę o tych początkach, przypominam sobie jeszcze, że pierwszej nocy po przeprowadzce zgubiłam kotka. Nie było go cały dzień. Myślałam, że zabrały go duchy, i napisałam esemesa do syna poprzedniej lokatorki mieszkania, żeby dowiedzieć się, czy jego mama miała jakieś zwierzęta. Rano kotek znalazł się w piekarniku. Nie przyszło mi do głowy, żeby go tam szukać. Nie wiedziałam, że za kuchenką jest dziura i że można wejść do środka przez szufladę na blachy do ciasta. Kotek był na mnie trochę obrażony. Pewnie

najbardziej za to, że poszłam sama na bal, bo on bardzo lubi imprezy, ciągle szuka przygód, a jego najlepsza cecha jest taka, że ma poczucie humoru. Nie wiem, na ile jest to typowe dla kotów. Ale mój kot jest prawdziwym cyrkowcem. Został znaleziony na schodach pubu w Olsztynie, kiedy miał cztery tygodnie, i już wtedy był niemiły, zupełnie taki jak teraz. Zanim się zjawił, wyobrażałam go sobie inaczej. Mój kot miał być wielki jak lew. Miał być rudy i chętnie leżeć na kolanach, dawać się nosić na rękach i cieszyć się na mój widok. Ale kiedy się pojawił i ważył pół kilo, był dziewczyną o trzech kolorach i gryzł za każdym razem, kiedy chciało się go dotknąć, od razu go rozpoznałam. Wiedziałam, że to jest właśnie mój kot. Zabrałam go do domu takiego, jaki był, w kartonie po piwie rzemieślniczym, który dała mi jedna kelnerka. Pudełko wyłożyłam papierem toaletowym, bo nic lepszego nie miałam w podróży. Teraz mieszkam z kotem, który jest niemiły. Pod wieloma względami jest taki jak ja. Bardzo szybko został królem całego mieszkania.

Kiedy leżę w łóżku, mam widok na mur. Oglądam Żydów, którzy przyjeżdżają do mnie z Izraela, stoją pod ścianą albo kucają na chodniku, podczas gdy przewodnicy pokazują im na planszach wydruki dawnych map z przesuwanymi granicami oraz portrety znanych przywódców powstania o czarno-białych twarzach wyrażających rozpacz. Nauczyłam się tych emocji. Na obrazkach są łatwe. Podobno są osoby, które rzucają z okna pomidorami, bo przeszkadzają im hałas i ruch. Ktoś zgłosił do budżetu obywatelskiego projekt, żeby przenieść mur getta na Muranów, ale jego pomysł przegrał, bo zbyt mało osób głosowało. Mieszka

tu jeden pan, który ma koślawe nogi i wszystkim jest go żal, ale chyba niepotrzebnie, bo regularnie montuje on na furgonce łańcuch, żeby wycieczki nie wchodziły na podwórko, żeby wstęp mieli tylko mieszkańcy. Jest też inny pan, który w nocy niezmiennie przecina ten łańcuch piłą, i temu akurat mocno kibicuję. Lubię to, że ktoś przychodzi i pamięta. Zanim zasnę, patrzę, jak turyści składają za moim oknem kwiaty albo znicze. Nie jest to wesoły widok, ale i tak mi się podoba. Nigdy nie zamontowałam prawdziwych firanek, żeby sobie tego nie odbierać, bo pragnę mieć w domu towarzystwo, goście w niczym mi nie przeszkadzają, o ile są niekłopotliwi, i są dobrym widokiem. Patrzę na mijające się grupy wycieczek z przewodnikiem, staram się ich rozpoznawać i wymyślam im sekretne imiona, a w ten sposób możemy się przyjaźnić, mimo że nikogo o tym nie informuję, to kolejna tajemnica. Nigdy nie byłam dobra w podtrzymywaniu przyjaźni, więc wolę się przyjaźnić w sekrecie, tak jest bezpiecznie i to mi wystarcza, bo nie trzeba zbyt dużo robić ani nie popełnia się żadnych strasznych błędów, które wszystko niszczą. Nie trzeba się nawet uśmiechać, chociaż można to robić, ale tylko wtedy, kiedy się chce.

Niestety nadal zdarza mi się czuć samotność. Wtedy zabieram żółtego psa na spacer. Chodzimy razem pod Dworzec Centralny, do którego mamy bardzo blisko, i udaję, że jedziemy na wakacje. Staram się czuć z tej okazji beztróskę. To trudne ćwiczenie, ale nie niemożliwe. Na dworcu jest zazwyczaj bardzo dużo ludzi. Można spróbować być nimi. Wybrać sobie jedną osobę albo kilka naraz, tak jak w *M jak miłość*, i przez chwilę w myślach być nią albo nimi.

Można też sobie wyobrażać, że się ich wszystkich zna, bo są to dawno niewidziani krewni albo dzieci poznane w zerówce, które wyrosły i są już nie do rozpoznania. Trochę mi to pomaga, kiedy przedawkuję czas spędzony w Miejscu Pamięci i kiedy zaczynam się czuć przytłoczona jego atmosferą. Przy okazji zawsze mogę kogoś poznać albo przynajmniej podsłuchać wiele historii, które bardzo mi się przydają. Jednego dnia spotkałam starą kobietę, która powiedziała mi, że na pewno jestem artystką, bo tak właśnie wyglądam. Upierała się, żebym naszkicowała jej portret dla wnuków. Wcisnęła mi do ręki banknot dwudziestozłotowy i pogniecioną kartkę. Kiedy rysowałam, powiedziała, że ma bardzo duży dom i jeśli chcę, to mogłybyśmy w nim razem zamieszkać. Nie czekając na odpowiedź, zaproponowała, że pokaże mi mieszkanie. Zaraz potem wyjęła smartfona i uruchomiła galerię. Ale wszystkie zdjęcia, które miała w albumie, przedstawiały wyłącznie kulę ziemską z perspektywy rakiety kosmicznej. Patrzyłam na rozświetlony ekran i potakiwałam, że jest bardzo ładnie, chociaż był to trochę przytłaczający widok. Wolałabym coś mniejszego. Domek w dziupli bardzo starego drzewa albo wydrążony w ścianie. Może małe, okrągłe gniazdko ze słomy i błota albo środek tulipana w kolorze pomarańczowym. Mógłby też być domek z kołdry. Na pewno mały i ciasny, żeby był jak najbliżej ciała, i mógłby mruczeć jak kot oraz lekko się kołysać. Byłby wtedy dokładnie taki, jakiego potrzebuję. W sam raz dla kotasa. Ale nie chciałam jej tego mówić, żeby nie stracić przyjaciółki. Zazwyczaj mówię ludziom nieodpowiednie rzeczy. To nie do opanowania. Staram się bardzo,

a mimo to ciągle popełniam błędy. Nigdy nie byłam dobra w rozmowach i straciłam już wiele osób. Wszystkie one miały niestety niski stopień wyrozumiałości, więc może to jednak dobrze. Ja mam wysoką wyrozumiałość, ale małą elastyczność i prawie wszystkiego się boję, chociaż wydaje się bardzo odważna.

Nie lubię też podróżować ani zmieniać miejsc. Stresują mnie wszystkie zmiany. Przeprowadzki, zakupy, obsługiwane nowej kuchenki gazowej, rozmowy z ludźmi z zagranicy, zakładanie co trzy dni czystych spodni, słowa w językach, których nie znam, wzrost temperatury na mojej planecie i inne rzeczy. I nie odnajduję się w sytuacjach towarzyskich. Często wyobrażam sobie, że nie jestem człowiekiem, tylko jakimś przedmiotem z okresu PRL, na przykład starym radioodbiornikiem: długo dostrajam swoją częstotliwość do innych przestrzeni świata. Później odbieram sygnał z wielkimi zakłóceniami i trwa to tyle czasu, ile potrzeba, aby poczuć się naprawdę stabilnie. Kiedy to się uda, jestem radioodbiornikiem na całego i mogę zalewać całą planetę historiami: wszystkim tym, co zdarzyło się gdzieś na świecie i o czym wiem, chociażby o tym, jak żyje się przy ulicy Złotej i co powiedziała gruba baba na bazarze albo w hali głównej Dworca Centralnego w Warszawie. Z dworca zazwyczaj wracam w stanie delirycznym, z taką ilością danych, informacji i szczegółów, że nie zawsze daję radę na bieżąco transmitować. Radioodbiorniki to stare urządzenia. Mają ograniczone możliwości przetwarzania, skomplikowaną technologię, w ogóle się na nich nie znam. Ale to dobre ćwiczenie na wyobraźnię: co jakiś czas spróbować być

przedmiotem i zrobić sobie małą przerwę od bycia sobą. To też rodzaj przekąski. Niedawno robiłam w wyobraźni ćwiczenie, w którym sprawdzam, jak to jest być gotującym się mlekiem albo suszącym się na słońcu dojrzałym pomidorem. To pożyteczne zajęcia gimnastyczne. Poświęcam im wiele uwagi, kiedy jestem zaniepokojona i potrzebuję zniknąć. Bycie mną jest dosyć męczące. Ciągłe się do siebie przyzwyczajam, ale z dużym trudem. Pomyślcie o tym, jeśli przyjdzie wam kiedyś do głowy, żeby kogoś uderzyć. Może spróbujecie zostać kiszoną kapustą albo pomarań czową czapką z pomponem, zamiast bić swoje dzieci? Są dżę, że wtedy świat byłby o wiele lepszy – gdyby tylko było na nim mniej ludzi, którzy myślą wyłącznie o sobie, a więcej ludzi, którzy są różni.

Cały czas wkładam też dużo wysiłku w to, żeby uczynić moje mieszkanie domem. Próbuję zaprowadzić w nim ład i wejść w tryb funkcjonowania: stan stały. Wydaje mi się, że tego właśnie potrzebuję. Pragnę porządku, poukładania i spokoju, jednak nie mogę ich dostać. Z jakiegoś powodu te wartości są dla mnie nieosiągalne. Nie wiem, co robić, żeby wyjść ze stanu ciągłego dygotu. Rozbijają mnie nawet małe rzeczy. Staram się robić wszystko, co trzeba, ale to nie działa. Nie pasuję do tego wzoru. Ciągłe mam wewnętrzne drgawki od napięcia gromadzącego się w ciele. To jest nieskończony niepokój. Nie mogę go zatrzymać, a kiedy udzielam sobie na niego zgody, wpadam jeszcze głębiej. Nawet kiedy jestem w sytuacji towarzyskiej, która jest dla mnie miła, i lubię wszystkich otaczających mnie ludzi, po jakimś czasie zacznym pragnąć, żeby to się już skończyło,

bo czuję się tak przytłoczona, że przestaję móc oddychać. To coś takiego, jak życie pod wodą albo raczej tonięcie bez końca. Istnieje jakaś niewidzialna granica, której nie mogę przekroczyć. Za nią są inne osoby, które są z siebie zadowolone i dobrze się bawią. To foki, które mogą być tam, gdzie chcą, a ja nie rozumiem nawet ich śmiechu. Kiedy do nich mówię, z moich ust wydostają się bąbelki i jeszcze bardziej zwiększam ciężar, zanurzam się i zanurzam, tak że nagle jestem w miejscu, z którego nie widać już światła, tylko fioletowe i mgliste głębiny, zatopione okręty, obumarłe rafy koralowe, szkielety płetwonurków, szklane butelki z nigdy nieprzeczytanymi listami rozbitków, roztrzaskane tratwy, obrastające mułem zamknięte skrzynie pełne złota i zaśnieżone klucze, które do niczego nie pasują i do niczego się już nie nadają.

Po przeprowadzce wchodzę do Rossmanna obok domu. Chcę kupić tam ścierkę i posprzątać mieszkanie. Jestem na spacerze, przechodzę obok tego sklepu i nagle zaczynam myśleć, że muszę natychmiast kupić jakąś ścierkę, bo tak się właśnie robi, to jest moje najważniejsze zadanie, a kiedy kupię, co trzeba, i posprzątam, wszystko się ułoży, będzie jak w prawdziwym domu. Wyobrażam sobie, że po całym pucowaniu wszędzie będą małe gwiazdki, takie jak z reklamy, które wyskakują od dobrego płynu. Chcę je w końcu zobaczyć, dlatego wchodzę do sklepu i chcę tam kupić wszystko, co służy do tego, żeby w domu było dobrze posprzątane – mam nadzieję, że zakupy wystarczą, żeby poczuć się jak w domu, więc bardzo się do nich przykładam. Przez godzinę próbuję podjąć decyzję. Mam oczywiście

mnóstwo estetycznych dylematów. Staram się znaleźć produkty praktyczne, a przy tym na tyle piękne, żeby chciało mi się ich używać. Dziewczyna na kasie niszczy jednak cały mój entuzjazm, ponieważ nawet nie pyta, tylko MÓWI MI: poproszę aplikację. Oczywiście nie wiem, co robić. Nie mam ich aplikacji, więc nieruchomieję. Po dłuższej chwili odwieszam się, mówię coś o tym, że strasznie przepraszam, ale niestety jestem już stara i mam tak samo stary telefon, w którym jest mało miejsca, dokładnie jej to tłumaczę. Czuję się tak, jakbym zawiodła całą sieć sklepów Rossmann. Dziewczyna na kasie nawet na to nie reaguje, tylko poleca mi szampon do suchych włosów, których nie mam, bo w ogóle nie mam włosów, więc czuję, że znowu sprawiam jej jakiś zawód. Nie wiem, czy mam odmówić, czy jednak kupić. Co się robi, kiedy ktoś poleca? Może da się znaleźć dla szamponu jakieś inne zastosowanie niż mycie włosów? Chcę się tego natychmiast dowiedzieć, więc wracam do domu z postanowieniem, że sprawdzę w internecie, jakie są możliwości. Ciągłe wpisuję tam jakieś pytania. Znowu czuję, że tonę, chociaż nie stało się nic wielkiego i to uczucie jest zupełnie nie na miejscu. Kładę się na materacu i patrzę na mur. Robię to przez dłuższy czas, bo wtedy nie muszę robić żadnych innych rzeczy. Wchodzę do swojej wewnętrznej poczekalni i liczę wydechy, koncentrując się na historiach, które muszę komuś niedługo opowiedzieć, a tak naprawdę zapisać je, bo opowiadanie w ogóle mi nie wychodzi. Znowu czuję też, że oblałam egzamin na bycie prawdziwą osobą, popełniłam jakiś fatalny błąd i wszystkich zawiodłam, bo nie byłam taka, jak trzeba.

Pierwszej nocy w nowym mieszkaniu nie mogę spać. Nad moją głową odbywa się impreza karaoke. Moi sąsiedzi z góry patrzą przed siebie, kiedy mówię do nich uprzejme powitania, więc nie chce mi się nawet iść na górę i poprosić ich, żeby przestali śpiewać. Podejrzewam, że upominanie i proszenie nie przyniesie żadnego skutku, tylko się wygłupię. Zamiast tego piszę do nich empatyczny list, bo w pisaniu jestem bardziej sprawna. Idę bosą po starych schodach i przyklejam ten list do drzwi. Potem ktoś go czyta i słyszę przez cienki sufit, jak rapuje nad moją głową słowo kartka kartka kartka, a wszyscy bardzo się śmieją. Jestem tym załamana i natychmiast chcę przestać żyć. Ze zmęczenia płaczę, ale to też nie pomaga. Wiem już, że nie będę mieć miłych sąsiadów. Nie będzie tak jak w małych dzielnicach z prawego brzegu, na przykład na Grochowie, gdzie sąsiadów ma się na całe życie. Zасыpiam, myśląc o tym, że Śródmieście jest niemiłe. Następnego dnia ktoś puka do moich drzwi. Budzi mnie ten dźwięk, pies szczeka, nie wiem, co się dzieje i czy jeszcze śpię. Za drzwiami stoi młoda para, wyglądają jak studenci z pierwszego roku. Nie wiem, czego chcą. Włącza mi się ekscytacja, że w ogóle są to żywi ludzie i że wpadli na pomysł, żeby zapukać do moich drzwi. Ludzie na progu pytają: czy to PANI DOROTA? To dla mnie na tyle niespodziewane, że w pierwszej chwili chcę im powiedzieć, że nie, nie jestem prawdziwą osobą, jestem tu przez przypadek, spadłam z kosmosu, to nie jestem naprawdę ja, w ogóle nie bardzo wiadomo, kim jestem. Zawsze muszę się też chwilę zastanowić, kiedy ktoś mówi do mnie: proszę pani. Mija dłuższa chwila, zanim przypomnę sobie, że oni mają rację, że „pani Dorota”

to rzeczywiście ja. Ludzie za drzwiami przepraszają mnie milion razy, życzą miłego mieszkania i dają mi rafaello. Dlaczego wszyscy dają mi to samo? Czuję się, jakby znowu przyszedł mój ojciec, odtwarzają mi się te same emocje. Ludzie za drzwiami ani przez chwilę nie przestają być oficjalni, więc czuję się jak straszna suka, chociaż też napisałam im na koniec empatycznego listu, że życzę wszystkiego najlepszego.

Mało rozumiem z tego, co robią inne osoby. Nie wiem, jak interpretować ich działania i słowa. Dopóki ktoś mi tego nie wyjaśni, jestem zagubiona i nie wiem, co się właściwie dzieje. Teraz moja dziewczyna jest tłumaczem. Czasami czytam jej wiadomości, które dostaję, i pytam, co miały na myśli osoby, które je do mnie wysłały. Pytam też, co mam im odpowiedzieć i czy to, co zamierzam odpowiedzieć, jest wystarczająco miłe. A kiedy moja dziewczyna coś do mnie mówi, to często na koniec pyta mnie, czy rozumiem. To wiele ułatwia. Mogę jej odpowiedzieć, że nie. Wtedy ona parafrazuje i szuka innego sposobu, żeby przekazać mi ten komunikat. Czuję się dzięki temu trochę bezpieczniej i być może dzięki temu w ogóle możemy ze sobą rozmawiać. Ale nie oznacza to, że jestem głupia. Po prostu nie zawsze rozumiem, co ktoś chce powiedzieć, kiedy nie mówi tego wprost. Niedawno nasza znajoma odwoziła nas do domu i powiedziała: Może kiedyś wpadłybyście do mnie, ugotowałybyśmy coś w termomiksie. Później zapytała, czy słyszałam, co powiedziała. Odpowiedziałam, że tak, jasne: mówiłaś, że masz termomiks. Często nie słyszę sugestii albo zaproszenia. Tylko tyle, ile naprawdę ktoś powie. To trudne, chociaż staram się ciągle myśleć i brać pod uwagę wszystkie

możliwości. Ale jest to też wyczerpujące. Nie zawsze mam siłę utrzymywać pełną koncentrację.

Czy ludzie ze Śródmieścia są inni niż inni ludzie? Nie wiem tego, ale chcę sprawdzić i poznać wszystkich. Spędzam dużo czasu u siebie. Wycieram kurz w mieszkaniu, w którym jestem sama i w którym nikt inny tego nie robi, kradnę internet z piątego piętra i planuję wydarzenie pod tytułem PARAPET. Wymyślam je na Facebooku. Niestety nigdy wcześniej tego nie robiłam i nie do końca wiem, jak mam zacząć, więc szukam w internecie porad, żeby poczuć się pewniej. Zaczynam klikać w wyniki wyszukiwania odpowiedzi. Trafiam na czyjś blog, gdzie znajduję trzynaście wskazówek, co zrobić, żeby urządzić idealną parapetówkę. Czytam o tym, że dobrze jest przygotować tartaletki z łososiem i grać w kalambury. Potem wchodzę na inny blog i jest tylko straszniej, a ja przecież pragnę, żeby wszyscy mnie polubili. Być może nie ma na to dobrej recepty, ale chcę przynajmniej poznać te złe. Uwielbiam konkursy. Chcę, by podczas parapetówki odbył się konkurs jednego wiersza, bo w podpowiedziach jest też taka propozycja na wspólne spędzanie czasu. Wiem, że konkurs wymaga nagród, wchodzę więc na OLX i szukam przedmiotów, które mogłyby być nagrodami. Później w ramach przygotowań umawiam się na przystanku tramwajowym z Grzegorzem z internetu i wymieniam znaleziony na śmietniku *Proces* Franza Kafki na pięć magnesów z napisem: „Kocham Polskę”. Grzegorz z OLX-a mówi: One są cieniutkie, ale bardzo fajne. Piszę o tym na stronie wydarzenia PARAPET. Wiele osób pisze komentarze, że chętnie przyjdzie wygrać „Kocham Polskę”.

Niedawno minął rok, odkąd tutaj mieszkam. Znowu zaczynam fantazjować, że oto udało mi się znaleźć mieszkanie na całe życie i że zostanę tu już na zawsze, niewiele wychodząc na zewnątrz. Wyobrażam sobie siebie za wiele lat jako zgarbioną babę w kwiecistej koszuli nocnej i z wałkami na głowie, która patrzy na kulę ziemską przez okno w kamienicy na Złotej i czesze włosy czerwonym grzebieniem – przezornie trzymam go w przedpokoju za lustrem. Minął rok, a ja nadal boję się spać sama w moim mieszkaniu. Prawdopodobnie zawsze jednakowo będę się bała duchów.

Gdyby w dzieciństwie ktoś mi powiedział, jak dobrze będę się bawić, kiedy dorosnę, to nigdy bym mu nie uwierzyła. Teraz mogę być nieskończenie smutna, a jednocześnie spędzić cały dzień w łóżku z kotkiem i złotym psem i nikt nie zmusza mnie, żebym wstała i bawiła się na podwórku w Indian. Mogę upiec w nocy ciasto ze śliwkami i od razu zjeść całe, chociaż jest jeszcze gorące i wiem, że od krojenia zrobi się zakalec, a mnie rozboli brzuch. Mogę też kąpać się przez wiele godzin, dolewając tylko coraz więcej ciepłej wody, chodzić po domu w brudnych brzydkich butach, z których sypie się piach, mogę pomalować wewnątrz szafy różowym sprayem oraz mieć w mieszkaniu niebieski hamak i lekceważyć większość zakazów. Światło w moim oknie gaśnie jako ostatnie ze wszystkich świateł we wszystkich oknach, które widzę ze swojego. Woda w rurach spływająca do grzejników szumi i usypia. W końcu jest najlepiej i to jest szczęśliwe zakończenie. Ale jednak wcale nie.

Ten rozdział jest długi. Miał być jeszcze dłuższy, ale zdecydowałam, że go podzielę. Może wtedy nikogo nie zmęczy. Chciałabym, żeby to, co piszę, wszystkim się podobało. Wiem, że to niemożliwe, ale nie zmniejsza to mojej chęci. Pytałam już wiele osób o to, co chciałyby, żebym napisała w drugiej książce, tak żeby im się spodobało i żeby spełnić wszystkie oczekiwania, napisać coś naprawdę potrzebnego światu, a przynajmniej najbliższym osobom. W końcu postanowiłam, że napiszę książkę tak, żeby wpuścić wszystkich, którzy ją przeczytają, do środka mojej głowy. Mój przyjaciel o imieniu Seweryn powiedział, że mogę napisać cokolwiek, nieważne o czym, tylko żebym dodała coś o Temperaturze, bo inaczej to będzie stracona książka. Miały się w niej znaleźć także małe kotki, chociaż to się chyba nie do końca udało. Nie jestem pewna, czy wyszło tak, jak wyobrażała to sobie osoba, która chciała małych kotków. Ale może ktoś to jednak przeczyta i może nie będzie źle?? Bardzo lubię podwójny znak zapytania. Oznacza on dla mnie tyle, że naprawdę chcę wiedzieć i że to nie jest ot takie sobie zwykłe pytanie. Chyba zrobiło się trochę dziwnie. Ale ostatnio ktoś mi powiedział, że za mało wchodzę w kontakt z czytelnikiem, to prawda, dlatego zdecydowałam się wejść. Czy to działa, czy moja książka jest teraz lepszą wersją siebie i jest lepsza niż pierwsza książka?? Proszę o odpowiedź. Można zakreślić ją tutaj: tak/nie. Sprawdzę to przy autografach. Proszę zaznaczyć tę stronę ładną zakładką, żeby było mi łatwiej odnaleźć to miejsce. To jest praca domowa. Nienawidzę ich, ale zawsze chciałam jakąś zadać, a nigdy nie miałam do tego okazji.

ps: Nie żartuję. Pisanie traktuję bardzo poważnie.

Przez jakiś czas po wyprowadzce przyjeżdżałam do rodziców w odwiedziny. To zdarzało się sporadycznie, ale podejmowałam próby. Na przykład kiedy potrzebowałam książek, które zostały w moim starym pokoju, a była to najlepsza możliwa biblioteka, dużo lepsza niż BUW, bo dokładnie wiedziałam, co gdzie leży, i nie musiałam niczego szukać przez godzinę. Kiedy przyjeżdżałam z wizytą, wszystko sobie przypomiinałam i za każdym razem czułam się znowu mała. Zazwyczaj unikałam zostawiania na dłużej, żeby tego uczucia nie utrwalac. Zostawałam co najwyżej na jedną noc, a i to nieczęsto, żeby tylko było bezpiecznie i żeby nie pozostały w moim umyśle żadne poważne ślady, żeby nie zapomnieć, że jestem już nową osobą, bo mieszkam w nowym domu, a nawet lepiej, przenieśliam się do innego miasta. Wielkie oddzielenie. Dobrze mi to działa na głowę. Wreszcie mogę robić wszystko, czego chcę, i zapomnieć o wszystkim, co słyszałam. Chyba że specjalnie to sobie przypomnę. Ale takie wspomnienie nie ma wpływu na to, jak teraz żyję, ponieważ podjęłam decyzję, że nie będzie miało znaczenia, że na to nie pozwolę. Jestem w tym konsekwentna.

Kiedys cały mój świat miał sto trzydzieści sześć kilometrów kwadratowych, a ja miałam sto pięćdziesiąt osiem

centymetrów wzrostu. Byliśmy dzieciakami. Pamiętam to doskonale. Świat był o wiele mniejszy niż dzisiaj, a do tego ja i on mieliśmy znacznie lepsze proporcje. Żeby w Garwolinie wypożyczyć książkę z biblioteki, wystarczyło zjechać z górki na rowerze. Długie włosy wpadały mi do oczu, które przez chwilę były czerwone, ale nie musiałam zbyt uważnie patrzeć na drogę, ponieważ moje ciało znało ją na pamięć. Całe miasto było położone wzdłuż jednej długiej szosy lubelskiej. Prawie mieściło się na języku. Gdybym oczami rysowała mapę zaczynającą się od domu na osiedlu Stare Działki, to ta droga wyglądałaby tak: małe domki – pan Lis sprzedający chipsy, które trzeba dyskretnie macać, żeby znaleźć w środku żeton pokemona – bardzo zielony park z całe życie nieczynną fontanną – zbyt duża szkoła, do której niepotrzebnie musiałam chodzić – stacja benzynowa, spod której autokary zabierają dzieci na basen – blok z czaszką jelenia nad jednymi drzwiami balkonowymi w mieszkaniu Moniki, której umarła mama – najlepsze bułeczki z wiśnią – rosnące poziomo drzewo wierzbowe – dworzec z zapiekankami z wielką ilością prażonej cebuli – stragany na Zieleniaku i stare baby z jajami – a na końcu biblioteka z małą panią, której nie widać zza biurka, widać tylko jej ręce, które sięgają po papierowe karty i wypisują ręcznie datę zwrotu. To była rzeczywistość linearna. Wszystkie miejsca małego miasta znajdowały się w linii prostej wobec rozpedzonych kół roweru, który wujek Włodek kupił mi na giełdzie z okazji święta rowerów górskich, czyli pierwszej komunii świętej. Na tym rowerze byłam naprawdę szybka. Teraz wszystko zajmuje mi znacznie więcej

czasu. Kiedy oddaliłam się od Garwolina, wyjeżdżając do Największego Miasta, wszystko się zmieniło. Duże miasto jest jak zanurzanie się w rozlanych plamach zbyt dużych do przyswojenia widoków, w ciągle nowych i w niezapamiętywalnych szczegółach. Trudno było uwierzyć, że poza Garwolinem jest jeszcze jakiś inny świat i że tak naprawdę to tych światów jest bardzo wiele.

Do miejscowości, w której się urodziłam, jeżdżą wyłącznie zmęczone biało-niebieskie PKS-y ołożone rdzą, która z roku na rok śmieiej porasta karoserię. Wygląda to bardzo szlachetnie, ale nie wzbudza zaufania. Autobusy ruszają z dworca wschodniego i jadą jeszcze głębiej na wschód. Kiedy się do nich wsiada, nigdy nie ma pewności, jak to się skończy. Bilet zniżkowy do mojego domu kosztował siedem złotych, a normalny chyba dziesięć, ale tego już nigdy nie sprawdziłam. Nie znam aktualnego cennika, bo dawno przestałam przyjeżdżać, jeszcze zanim wyrosłam z uprawnień do zniżki. Należność w PKS-ie opłaca się garścią odliczonych monet. Kierowca przyjmuje wyłącznie drobne. Trzyma je w pojemniku po śledziach. Wszyscy kierowcy są tak samo starzy jak ich pojazdy. Rozsypują się i zakrywają wąsami usta, tak że czasami w ogóle nie wiadomo, co mówią. Wąsy zajmują prawie całą twarz. Jest to moda na Piłsudskiego, który przyjechał z wizytą sto lat temu na jeden wieczór, podobno był w mieście przejazdem. Garwolin jeszcze się z tego zdarzenia nie otrząsnął i nie zmieniły się trendy w modzie. Kierowcom prawdopodobnie szkoda życia na długie odliczanie reszty. Wiele czasu poświęcają na modelowanie wąsów w bocznych lusterkach.

Dlatego mocno pilnują swoich reguł i bezlitośnie czekają, aż wszyscy pasażerowie rozmienią pieniądze w okolicznych sklepach lub między sobą. Dzięki temu autobusy nigdy nie są punktualne – i dobrze, bo to się już robi zbyt popularne. Zasilenie zielonkawej kasy fiskalnej gotówką to inwestycja w jedną z największych przygód. Trzeba przyznać, że niewiele jest równie trafnych sposobów na zainwestowanie ostatnich pieniędzy. Miasteczko, w którym najpiękniejszą rzeczą jest mozaika w dworcowej toalecie, a najpopularniejszą imprezą pielgrzymka na Jasną Górę, jest jednym wielkim opowiadaniem bizarnym. Warto do niego podróżować, bo inaczej trudno w nie uwierzyć. Ale w minimalistycznej wersji wystarczy o nim przeczytać i to też jest styl krajoznawstwa, który szanuję. Podróże bez wychodzenia z łóżka, zawsze na multipropsie. Tak naprawdę mogłabym nigdy nie mieć dzieciństwa. Mogłabym tylko przeczytać o nim w książeczce dla dzieci. To chyba byłoby trochę łatwiejsze do zniesienia i nie byłabym taka zniszczona.

Po opłaceniu należności za bilet można zająć miejsce. Korytarz jest wąski, a na nim torby na kółkach albo w burawą kratę vintage. Każda siedząca w środku baba ma takich przynajmniej trzy. Trzymają je w korytarzu, żeby łatwiej im było na odpowiednim przystanku wylać się z fotela na ulicę. W ten sposób tworzą szpaler wózków na zakupy, paczek z wędliną, koszy szmat i naręczy kozuchów. Przejście między nimi, kiedy fuczają i komentują, nieodmiennie jest jednak zwieńczone nagrodą. Już wkrótce można się ukryć za rzędem zagłówek okrytych pokrowcami frotté, za powtarzalnym ciągiem życzeń milej podróży wyhaftowanych

maszynowo. Można przysiąść w przytulnej szczelinie z ograniczoną przestrzenią, w której ledwo się mieszczą nogi. Fotele obite są tkaniną w ciapki. Wśród fantazyjnych maźnięć znajdują się liczne znaki fabryczne oraz plamy z sosu tysiąca wysp. Jest to bardzo praktyczne zestawienie, na każdym siedzeniu konfiguracja elementów graficznych jest nieco inna, to rodzaj rebusu dla pasażera, który może zająć się w drodze identyfikacją plam: spróbować dla własnej satysfakcji odgadnąć, co było tak chętnie spożywane w pojeździe i w którym roku. Za fotelami można natomiast znaleźć wiele skarbów. Niektóre miejsca siedzące są wyposażone w designerski relikwiarz zachowany od czasów swojej świetności w stanie nieomal doskonałym: kosz na śmieci z gumowej siateczki. Na jego podstawie łatwo stworzyć profil psychologiczny poprzednika, czyli minionego pasażera, który zajmował to miejsce przede mną. Jest to gra, która bawi i uczy, a więc znakomite ćwiczenie na wyobraźnię. Można się w nim bez reszty zatracić, tak że na najwyższym poziomie zaawansowania przestaje się być sobą. Można sobie podwójnie odpocząć.

Tymczasem z głośników płynie disco polo. Jest to rdzenna muzyka ludności ze wschodu. Nie powiem, że jej nie lubię. Lubię, ale z lekką pogardą dla siebie i dla niej. Mam nadzieję, że to w niczym nie przeszkadza. W oknach powiewają poliestrowe zasłonki z przesianego materiału w kolorze bładoniebieskim. Nie dają żadnej ochrony przed słońcem. Na czele pojazdu dynda nieodłączny święty Krzysztof, czasami we fluorescencyjnej wersji pro. Współpasażerowie wyjadają z woreczków parówki z chlebem oraz inne zdrowe

powszednie pokarmy zapakowane na prowiant w siateczki. Ja zjadam zapiekanki, ale robię to w tajemnicy, ponieważ w autobusie są nielegalne. Nielegalne rzeczy to moje ulubione, zawsze bardzo mi smakowały. Całe ręce mam w majonezie, a ubranie w prażonej cebulce, która spada mi na kolana. Wysokość ułożonych piętrowo dodatków jest taka, że bułka nie mieści mi się do buzi, nawet kiedy otworzę ją najszerszej, dlatego zjedanie zapiekanki jest częściowo niemożliwe. Nie da się tego zrobić bez śladów na ciele. Nikt jednak nie zdradza mojej tajemnicy, bo każdy mi zazdrości, ale z pełnią zrozumienia, to w końcu pokarm narodowy, historyczny, wszystko wybaczący. Kołyszymy się na naszych siedzeniach w rytm zakrętów i gwałtownych hamowań, kiedy na drogę wybiegają psy albo dzieci.

Podróż zakończona sukcesem zawsze jest wielką niespodzianką. Czasami jestem tym tak zmęczona, że później przez cztery dni nie jestem w stanie wyjść z domu. Łatwo się męczę. Nieważne, czy dzieje się coś dobrego, czy złego. Przeżywam to jeszcze przez wiele dni. Ale słyszałam też o osobach, które całą drogę płaczą. Coś im się przypomina, na przykład jak jeździły gdzieś wiele lat temu, do szkoły imienia Marszałka, na środowy targ, dyskotekę w Dragonie albo do chłopaka z Puznowa, który został tam na zawsze – bo w takich miasteczkach łatwo jest zostać – i wszystko wyglądało tak samo. Ten sam kierowca z tą samą fryzurą z podkręconych wąsów zaczesanych na twarz, w tym samym autobusie, który już wtedy był tak zużyty, że trudno było uwierzyć, że ruszy i dokąś dojedzie. W tej powtarzalności jest coś strasznego, ale też najpiękniejszego na

świecie. Nie umiem tego dobrze wyjaśnić, bo chodzi o emocje, a nie jest to moja mocna strona. Czuję je tylko w środku ciała, są jak chwilowy paraliż. Na początku podobało mi się, kiedy mogłam pojechać do domu. Przystawało mi się podobać, kiedy już byłam na miejscu. Później znowu wyobrażałam sobie, że może tym razem będzie lepiej i może nie dostanę już ukrytego w ziemniaczkach mięsa ani nowych rajstop, może nie będę słuchać o tym, że chyba nie mam co jeść i czy mam jakąś lodówkę w tej Warszawie, czy może dać mi chleba, żebym nie głodowała, i że byłoby lepiej, gdybym wróciła, bo mogłabym dojeżdżać co rano Halobusem, byłaby to duża oszczędność i żyłabym z rodziną, a nie na wygnaniu z obcą babą i miałabym przynajmniej co jeść. Przyjeżdżałam w odwiedziny, spodziewając się, że może tym razem zastanę inny dom. Ale jednak zawsze było jednakowo. Przestało mi się to podobać. Za każdym razem czułam się tylko coraz bardziej rozczarowana, że nikt nie rozmawia ze mną naprawdę. Coraz mniej chciało mi się wracać.

Gdyby do autobusu linii PKS Garwolin wsiadła jakkolwiek znana osoba, nikt by jej nie poznał. Ale wszyscy podróżni poznaliby każdego, kto urodził się w tym mieście. Komentowałiby między sobą jego fryzurę i jakie ma brzydkie buty, od razu widać, że prowizorka. Później dowiedzieliby się o tym rodzice. Nie dałoby się ukryć wizyty. Tak działają małe miasta. Kilka razy przyjechałam z moją dziewczyną do ciucholandów, żeby zrobić zapasy polarów. Podróżowałyśmy na wszelki wypadek autostopem. Chciałyśmy zaoszczędzić trochę na zakupy i przeżyć przy okazji

jakąś przygodę, którą można by później opowiadać znajomym. Ale zazwyczaj było smutno. Spotykałyśmy kierowców, którzy wypytywali mnie o rodzinę i szukali wspólnych korzeni albo opowiadali o swoich krewnych i o tym, jak świetnie żyje im się w nowych blokach za Tesco, o wiele lepiej niż w Warszawie, powinnam żałować, że już tu nie mieszkam. W końcu zaczęłam mówić wszystkim nowo poznanym osobom, że jestem z Warszawy. Chciałam uniknąć w ten sposób jednoznacznych połączeń z domem, zerwać z nim radykalnie, jeszcze bardziej niż na początku. Problem pojawiał się wtedy, gdy ktoś miejscowy chciał doprecyzować, z której konkretnie dzielnicy i czy od pokoleń. Opowiadałam wtedy, że pochodzę z bliskich okolic stolicy, wychowałam się właściwie pod miastem, w niedalekiej odległości. Miałam nadzieję, że ominę w ten sposób Garwolin i że nikt nie przyporządkuje mnie do brzydkiego domu albo do matki i nie zacznie szukać w nas podobieństwa, tak jakbym była głupią grą w memo, a nie Dorotą Kotas, czyli kimś osobnym, niepołączonym na stałe z nikim innym poza sobą.

Czasami myślę, że pierwszą książkę udało się wydać przez przypadek, ponieważ córka wydawcy ma zdiagnozowany zespół Aspergera, a więc i ja musiałam w szefowej oficynie Niebieska Studnia uczucia macierzyńskie, które sprawiły, że podpisałyśmy umowę. Nie wiem, czy to prawda. Spotkałyśmy się w kawiarni na Powiślu, którą sama wybrałam, ale i tak bałam się, że mogę do niej nie trafić. Mam w sobie zapas pewności siebie, ale raczej na

pokaz. Później przez przypadek dostałam wiele nagród. Łatwo jest mi przyjąć, że dobre rzeczy, które mnie spotykają, są kwestią przypadku albo pomyłki, a złe rzeczy są tymi, które naprawdę mi się należą. Ciągłe spodziewam się strasznej kary za każdą rzecz, jaką robię. Pisząc drugą książkę, myślę o tym, czy pójdę za to do więzienia, i robię małe rozeznanie, czy były takie przypadki w historii, żeby ktoś napisał o swoim życiu i żeby je sobie w ten sposób zrujnował. Trudno mi też uwierzyć, że ktoś mnie lubi. Chyba że znamy się bardzo krótko. To jestem w stanie zrozumieć: nie wiemy o sobie wszystkiego i nie znamy się dobrze, więc chwilowo relacja działa, ale to tymczasowe. Strasznie boję się porzucenia. Boję się też tego, że nikt mnie nie będzie lubił, ponieważ za mało się uśmiecham i nie patrzę w oczy, co może być przesłanką do powiedzenia mi na głos: nie jesteś taka, jak chcemy – wypierdalaj. Zauważyłam jednak ciekawe zjawisko – niemal u wszystkich dorosłych kobiet wzbudzam instynkt macierzyński, u wszystkich poza moją matką, która woli jednak być matką bożą niż matką córki lesbijki w spektrum autyzmu. Może tak oddziałuje na inne osoby moja łatwo zauważalna bezradność w sytuacjach towarzyskich albo wyczuwalny dziki strach i ciągle pragnienie, żeby schować się w domku z koldry i na nic nie patrzeć, a na pewno nie w oczy, chyba że w oczy psa, bo to mnie nie przeraża.

W *Śwince Peppie*, która jest ulubionym filmem animowanym mojego psa, Pan Kaczka głosi tak: pierwszą wielką podróż odbyłem wokół własnego stawu, następną podróż odbędę wokół mojego domu. Szalenie podoba mi się takie

podejście! To dlatego tyle piszę o moim domu. Chyba wiem już, o czym będzie trzecia podróż.

Szanuję małe cele i uczciwe pożegnania. Myślę o tym w drodze: być może tylko te miejsca, które są najbliżej i są najmniejsze, są jedynymi w pełni możliwymi do ogarnięcia głową, bo im dalszymi rzeczami się zajmuję, tym mniej je czuję, tym gorsze są rezultaty. Kiedy jest się w środku, trudno sobie wyobrazić, że może być coś jeszcze, że w ogóle jest możliwe coś więcej. Moja rzeczywistość zazwyczaj koncentruje się wokół domu. W każdym z nich się osadzam, rozplątam się w nich, zajmuję całą przestrzeń między podłogą a sufitem, pępek mam tam, gdzie żyrandol w pokoju. Nawet kiedy wychodzę z domu, to trochę jednak zostaję w środku. Kiedy w domu jest niemiło, jedyny ratunek jest taki, żeby radykalnie się odłączyć. Dystans, jaki stwarza wyjście na zewnątrz, sprawia, że można robić coś zupełnie nowego i być gdzie indziej nową wersją siebie. Świat co chwilę się zmienia i jest dla mnie dużym zaskoczeniem w każdej wersji. Tylko domy i małe miasteczka jestem w stanie przyswoić w całości. Są one najbliżej ciała, więc to chyba normalne. Żeby móc żyć w dużych miastach, dzielę je na mniejsze. Wyodrębniam w nich dzielnice i podwórka, a każde jest trochę innym kontynentem, ma własny, niepowtarzalny mikroklimat. W tej skali świat tak bardzo mnie nie przerasta. Od zawsze jest też we mnie potrzeba dobrych domów. Domy zajmują honorowe miejsca w moim życiu wewnętrznym. To pyszne skrytki na osoby. Są jak pudełka z zapałkami. Małe i rozciągliwe. Nie wiem, czy może mnie zrozumieć ktoś, kto nie jest w spektrum. Ciągle

jeszcze badam, w jakim stopniu jest to możliwe i ile można powiedzieć, a kiedy przestaje to już być zrozumiałe.

Jak mówiłam, nie lubię podróżować. W wyjazdach do innych miejscowości, nawet do rodzinnego miasta, jest jednak pewien folklor, na który czasami sobie pozwalam. Jest trochę wielkich emocji. U mnie wygląda to tak, że bardzo pragnę stabilizacji, ale najlepiej takiej z drobnymi przygodami. Poza bezpieczeństwem potrzebuję też bodźców. Nudzę się, kiedy jest ich za mało. Zaczynam wewnętrznie podskakiwać w miejscu. Źle mi to robi, bo skaczę coraz wyżej. Dlatego czasami zapewniam sobie mikroprzygody. Wybieram na mapie jakieś małe miasto i sprawdzam, jak mogę się do niego dostać, a czasami robię to naprawdę i jadę się z nim zobaczyć. Nie musi to już być Garwolin. On był dobry na początek. Teraz może być jakiegokolwiek miasto. Pomimo całej swojej niechęci i nieelastyczności nie umiem wyobrazić sobie świata bez małych przygód, takich jak: leżenie na ławce w poczekalni dworca, zagniecenia na ubraniu od wielogodzinnego siedzenia w fotelu pasażera, czerstwe bułki za czterdzieści pięć groszy spłaszczone w plecaku oraz siedzenie w miejskim autobusie obok małych starych kobiet głośno wydmuchujących nos. Bez tych wszystkich małych przygód świat byłby trochę zbyt biedny, dlatego czasami ich sobie dostarczam. Dzięki temu mogę patrzeć na siebie trochę z zewnątrz. Nie lubię jednak wielkich i nagłych zmian. Chyba tylko codzienność ma dla mnie jako taki sens, z całym jej nasyceniem zapachem, fakturą, smakiem, grubością i z możliwością ucieczki. W codzienności są jeszcze brzydota i piękno, wszystko razem, lubię

im się przyglądać. A oprócz tego lubię zatrzymywać się na drogach wewnętrznych, robić piknik nad rzeką, sikać przy zjazdach z autostrady, pić kawę kupowaną na stacjach benzynowych, podczas przerw rozciągać w asanach kręgosłup na parkingu, głaskać na ulicy czyjeś koty, robić zdjęcia mgły w lesie, gotować zupę na kuchence turystycznej, oglądać z bliska ciekawe domy, zbierać grzyby, zahaczać o obiecujące miejsca nie po drodze i pustostany, kupować odzież używaną, jeść w zajazdach placki ziemniaczane z cebulą, pytać o drogę i robić przerwy na spacer. To moje ulubione zajęcia. Gdybym mogła, cały czas miałabym przerwę w podróży, chociaż nie lubię podróżować. Najbardziej z tych rzeczy lubię wracać do domu – do tego, który teraz mam, i do domów, które sama sobie tworzę.

Teraz jestem osadzona i jest mi całkiem bezpiecznie. Mieszkam z moją dziewczyną, małym kotkiem i żółtym psem. Mamy dom pełen pięknych książek, miękkich dywaników, sreberka na podłodze, mebli znalezionych na śmietniku, odratowanych roślin, ulubionych filiżanek i sztuczków, ciągłych gości, miejsc, do których można się wspinać, małych lampek, kolorowych piórek, zapachu naleśnikowego ciasta i ciepła. Pod nasz dom przyjeżdżają wycieczki z całego świata. Patrzymy na to przez szybę z lustrem weneckim. Kiedy wychodzę z kawą na dwór, młodzież z Izraela wita się z moim psem, a ja siedzę na schodach i udaję, że to mój ogródek z betonu. Mam widok na ostatni ocalały fragment muru getta. Mur jest trzy razy wyższy ode mnie. Wszyscy chcą go zobaczyć, poczuć tę skalę i wyobrazić sobie, jak można było żyć kiedyś w miejscu, z którego nie można było

się wydostać. Cały świat podróżuje i zatrzymuje się pod moim oknem. Miejsce, w którym mieszkam, zatrzymuje mnie u siebie. Jest w nim energia. Dla mnie jest dobra i potrzebuję jej. Daje mi stałość z dobrym widokiem na ruch. To rodzaj równowagi. Kiedy szósta wycieczka danego ranka przyjeżdża pod ścianę, a pan Czesław Lewandowski, który ma dziewięćdziesiąt pięć lat, nadal stoi w podwórku i podlewa szlauchem aksamitki, czuję, że w moim życiu panuje wielka równowaga. Tak naprawdę pan Czesław zmarł w zeszłym roku. Dla mnie jest jednak wieczny. Czasami widzę go w wyobraźni, ponieważ znajdował się w czółowce moich ulubionych sąsiadów. Nosił polarowe spodnie od dresu, doskonale grał w siatkówkę i opowiadał, że jego największe miłości to rachunkowość i piękne dziewczyny. Mieliśmy wiele wspólnego, na pewno jeśli idzie o to drugie. Kiedyś urządziliśmy na podwórku kino letnie. Wyświetlaliśmy w bramie film na prześcieradle, a pan Czesław przyszedł ze swoim taboretem i wytrzymał z nami do samego końca. Czy te wszystkie osoby są moją nową rodziną, rodziną z wyboru? One o tym nie wiedzą, ale dla mnie tak. Na szczęście to do niczego nie zobowiązuje. Potrzebuję ich do budowania sobie w wyobraźni małej stabilizacji, dzięki której jeszcze trochę nie tonę. Jeszcze przez chwilę i nie tak bardzo.

Raz przyjechała moja matka, ale nie wpuściłam jej do domu. Nie wiem, co chciała zrobić i jak wyobrażała sobie nasze spotkanie. Czy myślała, że zaparzę herbatę i że będziemy miło rozmawiać przy stole? Zamknęłam się w mieszkaniu i byłam galaretką truskawkową. Sąsiadka,

cała w kolczykach i tatuażach, będąca osobą niebinarną, która kiedyś chciała się zabić, ta sąsiadka wyszła do mojej matki. Za oknem siostra młodsza o piętnaście lat płakała i prosiła, żeby już stąd iść, ale matka wściekła rzucała się na drzwi, krzycząc, że przyszła tu tylko po to, żeby zobaczyć swoje dziecko. Chciałam zadzwonić na policję, ale bałam się i nie byłam w stanie. Zbyt mocno galaretka. Moja przyjaciółka zadzwoniła do ojca, ale powiedział, że nic na to nie poradzi. Sąsiadka tłumaczyła, że to nie wystarczy, że ona chce, bo ja nie chcę jej widzieć, i żeby skupiła się lepiej na tym, żeby nie niszczyć życia drugiej córce. Ale mojej matki chyba to nie obchodziło, że dziecko płacze. Nigdy nie była na takie sprawy specjalnie wrażliwa. Jak zawsze, była zbyt mocno skupiona na sobie. Po prostu przyszła po swoje. Zjawiła się po to, żeby znowu zrobić tak, jak chce, i powiedzieć mi, jaka jestem głupia, jeśli chcę inaczej. Nie można inaczej, kiedy mieszka się z nią w Garwolinie. Ale ja już tam nie mieszkam.

Nigdy nie zostałam przez nią uszanowana taka, jaka jestem. Nigdy za nic mnie nie przeprosiła ani nie pochwaliła. Raz dostałam wiadomość na Messengerze od trzyletniej siostry z pytaniem, dlaczego nie lubię mamy. Wiem, że to raczej nie ona pisała. Nie umiała jeszcze pisać. Dziwne, że nikt się nie domyślił. Czy miałam odpowiedzieć, że oddała mojego kotka i zniszczyła siekierą drzwi do pokoju? Trochę później, po wielu latach nierozmawiania ze sobą i niespotykania się, matka wysłała mi SMS-a z nowego numeru, że jest na Saskiej Kępie w przychodni i żebym przyniosła jej sweter, bo chłodno, będzie czekać za pół godziny

w drzwiach. Nawet ja czuję, że to dziwne i nie w porządku. Raz wysłała mi też zdjęcie ze szpitala. Nie umiem na to reagować, niby nie zrobiło to na mnie wrażenia, a jednak zepsuło mi cały weekend. Po jednej ważnej nagrodzie dostałam na Facebooku wiadomość od brata, a właściwie to od wujka, mojego ojca chrzestnego, który poprosił brata, żeby przekazał mi, że żaden sukces nie jest wart więcej niż łyzy mojej matki. Załączył do tej wiadomości cytat z Marii Dąbrowskiej. Ciekawi mnie, czy wiedzą, że Dąbrowska też była lesbijką. Pewnie nie dotarli do tej informacji. Nie wiem, co ja miałabym zrobić z Dąbrowską w wiadomości i komu właściwie odpisać.

Babcia Wandzia też ma szalone pomysły. Każdego sms-a, dopóki nie zablokowałam jej numeru, zaczynała od słów: „moje biedne dziecko”. Dla niej jest to bieda, że jestem sobą i że jestem szczęśliwa. Babcia pisze, żeby błogosławił mnie bóg i obdarzał mnie swoją łaską. Czasami kupuje mszę i wtedy ksiądz w kościele czyta, że to za odkupienie duszy biednej wnuczki Dorotki, którą zabrał szatan. Na osiemnaste urodziny babcia dała mi rzeźbę z Jezusem cierpiącym wystruganym w drewnie. Podobno pobłogosławił ją biskup. Powiedziała, że to do mojego przyszłego domu. Ale Jezus od babci gdzieś mi się zgubił. Może szkoda, pewnie dałoby się go jakoś przerobić i może wymyśliłabym dla niego jakąś nową funkcję. Może mogłabym go wywieźć na działkę i zrobić z niego stracha przed szklarnią. Do tej roli chyba by się nadawał, ponieważ był głównie postrachem na niedobre dzieci. Po marszu równości w Białymstoku, podczas którego nacjonaści rzucali petardy i kamienie

w maszerujących ludzi, babcia wysyła mi sms-a: haniebne są czyny twoich wyuzdanych, zniewolonych przez szatana 'przyjaciół'! Wróć do BOGA Dorotko moja droga... RATUJ SWOJĄ DUSZĘ! Bo szatan spycha ludzi w przepaść piekła i bardzo się z tego cieszy! Odpowiedziałam, że jestem lesbijką, a więc chyba w jej słowniku szatanem. Babcia napisała: miłość Boża potężniejsza jest... Wkrótce zniszczy diabelską SODOMĘ I GOMORĘ! CZYTAJ Rz 8, 35.37-39 obejrzyj Par. Matki Bożej Cz. w Garwolinie na Żywo dziś o 17. Dobrej nocy, biedne dziecko. Dalej znajdował się link do kościoła online, w którym babcia czyta wymodulowanym głosem święte pisma i ze spuszczoną głową, w białym sweterku wchodzi na ambonę. Nikt nie wie o tym, jaka jest zła. Nikt nie wie, jak bardzo nienawidzi ludzi i że posyła ich do piekła, nawet mnie, chociaż kiedyś myślałam, że trochę mnie jednak lubi. Ale byłam lubiana tylko wtedy, kiedy mówiłam pacierz i należałam do ruchu światło-życie. To była wysoka cena za sympatię mojej rodziny. Chodziłam na pielgrzymki do Częstochowy, na których było wiele ładnych lesbijek, niektóre spotkałam później na Tinderze, a kiedy byłam młodsza, wyjeżdżałam na letnie obozy dla dzieci bożych. Każdy dzień był jedną tajemnicą różańca, więc trwało to piętnaście dni i dwa dodatkowe na przyjazd oraz powrót do domu. Rodzice mogli nas odwiedzać tylko w niedziele, ale najczęściej tego nie robili. To trochę długo. Kiedy byłam tam pierwszy raz, płakałam i chciałam do domu. Leżałam na górnym jednoosobowym łóżku piętrowym przy oknie z klerykiem, który pocieszał mnie, żebym nie płakała. Byłam nieruchoma i było bardzo dziwnie. Nosiłam wtedy

spódniczki za kolana. Co rano dziewczyny musiały klęczeć na stołówce. To był sprawdzian, czy spódniczka dotyka podłogi, a jeśli nie, trzeba było iść się przebrać, nazywało się to moda maryjna. Pisaliśmy w zeszytach nasze duchowe refleksje. Kilka razy miałam problemy z powodu moich refleksji. Chciano mnie odesłać do domu, ale w końcu jednak refleksje zostały mi wielkodusznie wybaczone. Kiedy wyprowadziłam się z domu, babcia zadzwoniła do mnie raz w nocy i powiedziała: Czy pamiętasz jeszcze, jak się modli? Powtarzaj za mną: ojciec nasz któryś jest w niebie... Mam wrażenie, że to jedna wielka choroba psychiczna pod tytułem: kościół. Poznałam ją chyba najbliższej, jak tylko można.

Jeśli ktoś jeszcze chce mnie zobaczyć, jeśli ktoś chce sprawdzić, jak teraz wyglądam – proszę bardzo, jestem taka jak mój tekst. Nie trzeba przyjeżdżać pod mój dom ani nachodzić mnie na podwórku. Tak wyglądam: lesbijka z aspergerem. Zwykła osoba. To jestem ja. Jestem już silniejsza niż kiedyś, chociaż nadal słaba. Kiedyś było mi trudno i nikt niczego mi nie ułatwił, dlatego teraz przetrwam już chyba wszystko, co mnie spotka, wszystkie najgorsze rzeczy. Cytując ważne słowa z ulicy, mam tylko taką radę: nie trzeba wszystkiego rozumieć, wystarczy nie być chujem. Oraz nie ma litości dla chujowych gości.

Nigdy nie poznasz mnie lepiej niż teraz.

A teraz można się rozejść do domu. Albo jeszcze nie, za chwilę.



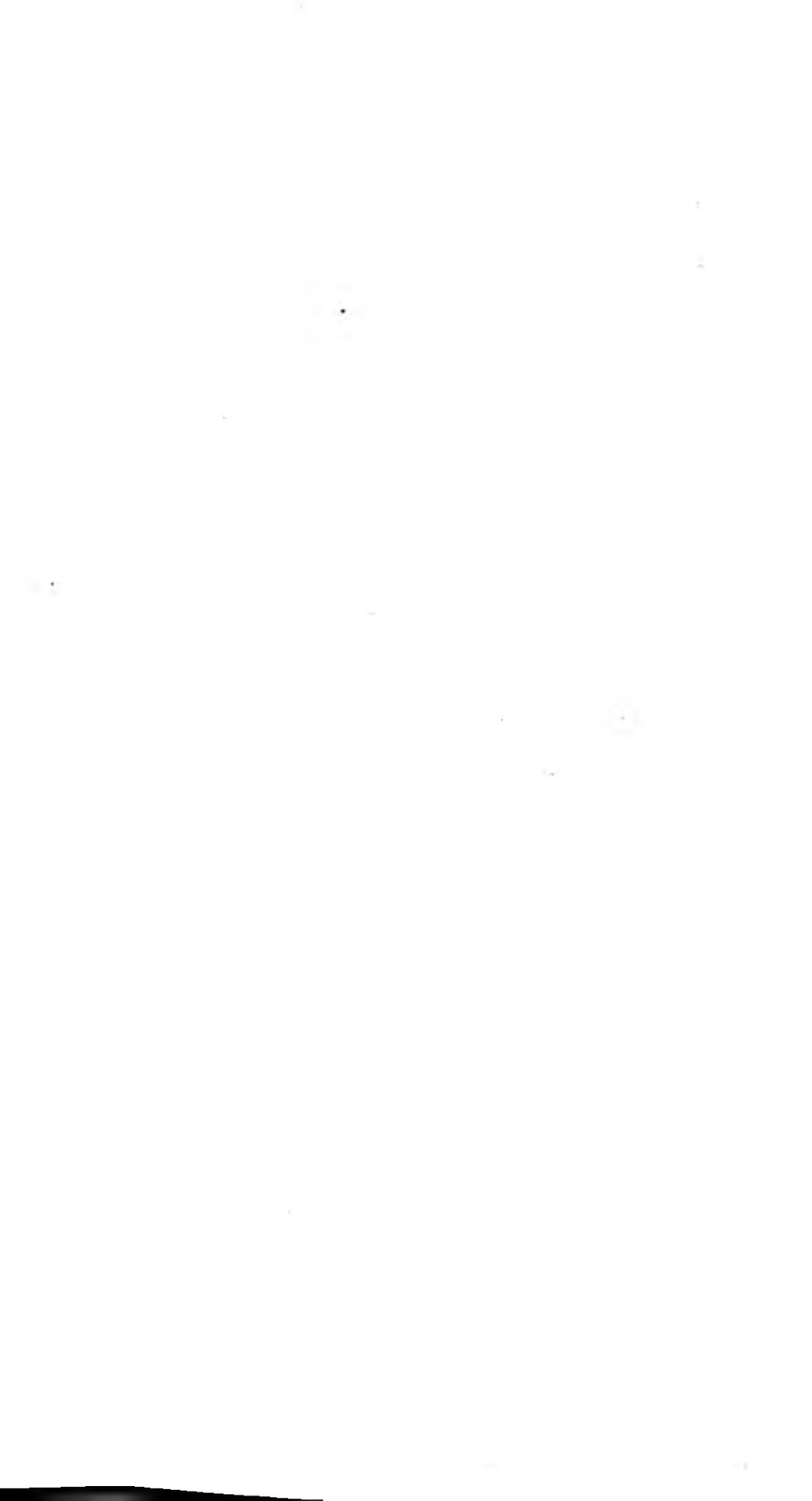
Napiszę jeszcze jedno zakończenie, żeby nie było smutno. Chyba nikt nie lubi smutnych książek. Chcę napisać jeszcze o mojej dziewczynie, ponieważ ona na to zasługuje i czuję, że jest w tej książce niezbędna. Jest moją najważniejszą osobą. Jest też najlepszą osobą, jaką znam. Kiedy jestem smutna, ale nie wiem dlaczego, pyta mnie tylko o to, czy zrobić mi kakao z karobu, bo wie, że innych rzeczy mogę nie wiedzieć albo nie móc mówić, zdarza się. Jeździmy razem w różne miejsca autkiem, w którym są makramy, białe girlandy zrobione na szydełku przez jej mamę, zasłony indiańskie i naklejki z Muminkami na desce rozdzielczej, a na fotelach są koce i podgrzewanie. W nocy moja dziewczyna pożycza mi swój najgrubszy czerwony śpiwór, bo kiedy śpię, jest mi zawsze zimno, nawet latem. Na wyjazdach nasz pies nosi kamizelkę z napisem: *alaskan boy* i śpi na siedzeniu kierowcy. My śpimy z tyłu na żółtych plastikowych skrzynkach ze sklepu, w których mamy duże zapasy ogórków kiszonych. Mamy żółtą kawiarkę i w różnych miejscach nagrywamy filmy: ja nalewam kawę do kubka, a P. to nagrywa – jestem więc niezbędna w podróży i musimy wyjeżdżać razem. Rano ona budzi się wcześniej. Czasami z tego powodu za nią tęsknię, bo wydaje mi się,

że spędzamy razem mniej czasu, kiedy za dużo śpię, a chcę robić wszystko z nią i chcę jeść razem długie śniadania, które za każdym razem są wielkim świętem, nawet kiedy nie ma żadnych świąt. Moja dziewczyna ma najpiękniejsze swetry. Kupuje je w ciucholandach na wschodzie. Na jej swetrach są góry, pandy, literki i wzorki w dywan. Kiedy oglądamy filmy albo jeździmy samochodem, drapię ją po szyi. To jej ulubione miejsce. Jej ręce są zazwyczaj zajęte. Przynajmniej jedna z nich, bo zawsze trzyma rożek. To są stymy, które ją uspokajają: P. składa wieczka od jogurtów albo autobusowe bilety w małe trójkącki, którymi kłuje się w opuszki palców. Wieczka są do tego lepsze. Kiedy rożek wypada z ręki, to natychmiast kradnie go mały kotek, który też lubi rożki. Nauczył się już przychodzić na dźwięk odkręcania słoiczka, w którym moja dziewczyna trzyma rożki i stopery do uszu. Kotek kradnie też zatyczki, to jego ulubiona zabawka, a P. prawie zawsze ma je przy sobie, bo przeszkadzają jej zbyt głośne dźwięki, szczególnie w nocy, słyszy nawet to, czego w ogóle nie słychać. Nie wolno na nią krzyczeć ani głośno przy niej mówić, boli ją od tego głowa i trzyma ją wtedy rękami. Ma brązowe włosy. Jej włosy falują. Dwa razy pozwoliła mi je trochę obciąć, bo wie, że ja lubię ich jak najmniej. Prawie ich nie czesze. Nie lubi tego robić, podobno nie może, czesze je tylko ręką i tylko kiedy są mokre. Kiedy jest zmęczona albo zła, musi być sama. Nie można wtedy być obok. Ale mamy dużo wspólnego czasu. Lubimy prawie te same rzeczy. Moja dziewczyna lubi mandarynki i dania z kiszanej kapusty, a wszystkie posiłki, które robi dla mnie, posypuje

prażoną cebulą po to, żeby były chrupiące. Kupujemy ją w delikatesach Doroty, które są moim własnym sklepem pod naszym domem, przez głośniki jest tam nadawana specjalna muzyka, a lektor mówi: witamy w sklepach Doroty i dzięki temu od razu wiadomo, że jesteśmy u siebie. Moja dziewczyna robi duże zapasy. Gotuje najlepiej ze wszystkich osób, jakie znam. Wymyśliła od nowa wszystkie przepisy z *Jadłonomii*, ale tak, że są dwa razy lepsze, niż były na początku. Chodzi dosyć wolno i denerwuje się, że ja chodzę zbyt szybko. Chodzi wolno nawet, kiedy chce jej się siku. Zazwyczaj jeździmy razem na naszych rowerach. Jej rower jest różowy, a mój niebieski. Rowery stoją w małym pokoju i przytulają się do siebie tak jak my. Chcę ją ciągle przytulać. Jest najmilsza w dotyku. Najbardziej lubi pączki z matchą, które są całe zielone i kupuje się je w różowych pudełkach, zawsze kiedy jest się na ulicy Oleandrów. Czytam jej na głos książki i zawsze mnie słucha, chociaż szybko zasypia, ale słucha też przez sen i ja o tym wiem. Nie boi się skakać do wielkiego jeziora. Czekam na nią na pomoście i ją podziwiam. Próbowwała nauczyć mnie pływać, ale nic z tego nie wyszło. Jest bardzo odważna. Jeździ też na deskorolce, która nazywa się longboard. Wtedy trochę się o nią martwię. Raz miała wypadek, bo wjechała kółkiem na kamień i spadła. Spadła też raz z roweru, bo jego koło zaklinowało się w torach tramwajowych. Złamała wtedy prawą rękę, ale pojechała z gipsem na Islandię, bo nie chciała rezygnować z wyjazdu marzeń kilka dni przed podróżą. Moja dziewczyna spełnia wszystkie marzenia. Często boli ją miejsce złamania. Kiedyś grała też w piłkę.

Była supersportowcem i jeździła na zawody. Była w tym najlepsza, tak jak we wszystkim. Chciałabym zobaczyć, jak gra w piłkę, bo na pewno ma wtedy szczęśliwą twarz. Lubię na nią patrzeć i jak pracuje z domu, bo wtedy mogę do niej co chwilę przychodzić i przeszkadzać jej, żeby ją całować. Nie lubi niebieskich skarpetek. Denerwuje ją ich kolor. Ale jest najbardziej stylową osobą, jaką znam. Najlepiej wygląda w legginsach. Nigdy nie widziałam lepszych nóg niż nogi mojej dziewczyny. Zasypia odwrócona do mnie tyłem, ale często przez sen przytula mnie w nocy i szuka mnie w łóżku, więc muszę leżeć blisko i zawsze po tej samej stronie. Kiedy wstaję, żeby czegoś się napić, moja dziewczyna natychmiast się budzi, nawet kiedy robię to bez żadnego dźwięku. Nigdy nie chce się kłócić. Potrafi rozwiązać każdą sytuację, unikając kłótni. Ma też najlepszy gust. Wybiera same piękne rzeczy i najlepsze kolory. Słucham z nią w kuchni radia RMF Classic i moja dziewczyna zna wszystkie piosenki oraz pamięta twarze wszystkich aktorek z filmów, ja nie pamiętam żadnej. Oglądamy razem mnóstwo programów o remontach domów. Widziałyśmy już chyba wszystkie. Doradza mi też w każdej rzeczy i umie robić w komputerze domy 3D. Kupiła mi szlifierkę mimośrodową – piękny i kobiecy prezent. Ciągle czegoś się od niej uczę. Nauczyła też małego kotka aportować i wymyśliła kolor moich okularów. Zabiera nas na pikniki w różne tajemnicze miejsca, które znajduje na mapie. Jest najlepsza w planowaniu, chętnie robi to za mnie. Lubi też miękkie i pastelowe kolory. Chodzi na każde spotkanie autorskie, nawet jak jej się nie chce. Robi też najlepsze

tosty i najlepsze ciasto czekoladowe z malinami z zamrażalnika, a czasami z wiśniami. Dobrze jest się w nią wtulać. Zawsze jest ciepła i nigdy nie mówi, że jej przeszkadzam. Kocham ją najbardziej. Wszystko jest z nią o wiele lepsze i o wiele łatwiejsze. Chcę, żeby nie zniknęła nigdy. Niech tak będzie, proszę. Kiedy przyjdzie wiosna, zbudujemy razem szklarnię. To już niedługo. Będziemy miały tam fotel i będzie można na nim siedzieć w środku, kiedy pada deszcz, a w ziemi będą rosły różne jadalne i pyszne przekąski, na przykład jarmuż i pomidory. Szklarnia będzie różowa. Mamy już dla niej duże stare okna z czyjegoś domu, które ktoś ogłosił dla nas na śmieciarce i przywiozłyśmy je, kiedy był największy deszcz świata, prawie wszystko tego dnia spłynęło i wsiąkło w ziemię. Ciekawe, co będzie przez te okna widać. Niemożliwe, że to samo co teraz bez szklarni. Pewnie będzie widać jakieś inne światy, w których mieszkają tylko rośliny i owady, a może jeszcze małe kotki albo psy całe ze złota. My jesteśmy małymi kotkami, ale trochę też tygrysami miłości.



## Spis treści

wstęp	5
dziecko	21
książki	33
hrabina	43
starsza	59
przeprowadzki	69
kotasy	83
telewizja	99
złoto	115
PKS do domu	141
małeństwo	159



Projekt okładki Jakub Zasada

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Redakcja Małgorzata Poździk

Korekta Katarzyna Rycko, Anna Zygmantowska

Skład Patrycja Pączek / d2d.pl

ISBN 978-83-957838-7-6

Druk i oprawa: Opolgraf

Wydawnictwo Cyranka

ul. L. Nabelaka 15/1A, 00-743 Warszawa

wydawnictwocyranka.pl

sprzedaż: [marysia@wydawnictwocyranka.pl](mailto:marysia@wydawnictwocyranka.pl)

redakcja: [konrad@wydawnictwocyranka.pl](mailto:konrad@wydawnictwocyranka.pl)

## Dorota Kotas

urodziła się w Garwolinie w roku 1994. Studiowała filologię polską, animację kultury oraz socjologię stosowaną i antropologię społeczną. Za swoją pierwszą książkę *Pustostany* (2019) otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii proza, Nagrodę Conrada i nominację do Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza za najlepszy debiut. Jest członkinią rady Fundacji Dziewczyny w Spektrum. Mieszka w Warszawie ze swoją partnerką i zwierzętami.

To książka o kimś innym. Można się z niej dowiedzieć, jak jest w środku czyjejs głowy i czy to miłe miejsce, czy raczej ponura nora. Jest też o tym, czy zaćmienie słońca może trwać przez całe życie i gdzie znikają papużki faliste. Jak wyglądał Jezus, zanim został gwiazdą, czy lepiej jest mieszkać w igloo niż w domu rodzinnym, i co zostaje po nocnym pożarze. Bohaterka jest dziewczyną i dostała diagnozę: zespół Aspergera. Ale co to właściwie oznacza?

*Cukry* – z uwagi na podobieństwo doświadczeń między mną a autorką – mogę traktować nieobiektywnie. Podobnie jak Dorota jestem osobą nieneurotypową i jedyne, o czym marzę w kontekście tej książki, to to, by przeczytali ją wszyscy, którzy chcą zrozumieć inność.

Natalia Fiedorczuk

projekt okładki  
Jakub Zasada

**CYRANKA** 

Cena: 39,90 zł

ISBN 978-83-957838-7-6



9 788395 783876

[www.wydawnictwoeyranka.pl](http://www.wydawnictwoeyranka.pl)



fundacja  
**Dziewczyny  
w Spektrum**